

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XLIII

ROK XI.

TOM III. — ZESZYT I.

Lipiec.

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1886.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 2 Lipca 1886 r.

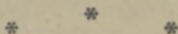


KAZIMIERZ BRODZIŃSKI WOLNOMULARZEM.

W dotychczasowych życiorysach Kazimierza z Królówki prawie zupełnie przemilczano fakt jego wolnomularskiéj działalności w zakresie piśmiennictwa. Tłómaczy się to przedewszystkiém okolicznością, iż pierwsze jego biografie powstały w czasach, kiedy niewolno było zrobić wzmianki nawet o wolnomularstwie, a późniejsi żywociarze nie znajdując nic pod tym względem u poprzedników, nie mieli wskazówki, któraby ich na ślad owéj działalności naprowadziła. Powtóre, w pierwszém zbiorowém wydaniu pism swoich z r. 1821 Brodziński lubo pomieścił parę poezyi wyniкłych z uczestnictwa swego w towarzystwie a raczéj w „zakonie“ masońskim (jak wtedy mówiono), zatarł przecież starannie ślady ich pochodzenia, wyrzucając nie tylko właściwe znaki wolnomularskie, ale nawet najdrobniejsze napomknienia wyrazowe, któreby charakter utworów owych zdradzały. W ten sposób, gdy i dalsze wydania według tego pierwszego robiono, same Pisma autora nie mogły obudzić myśli o należeniu jego do „zakonu.“ A że druki pierwotne wierszy wolnomularskich, odbijane w małéj liczbie egzemplarzy, następnie niszczone, trudne były do nabycia, mała więc tylko garstka spółczesnych o fakcie samym ich istnienia wiedziała. Wreszcie, masonerya zostająca z początku tylko pod interdyktem państwowym, dostała się następnie, przy zmienionym nastroju umysłów, pod interdykt społeczny pewnych sfer, tak, iż przemilczano nieraz umyślnie o należeniu do niéj wszystkich niemal znakomitszych mężów naszych z końca przeszłego i początku bieżącego stulecia, uważając to za pewnego rodzaju *malam notam*, którą w interesie czci dla owych mężów zasłużonych ukrywać należało starannie.

Ale jak w wielu innych sprawach, tak i w téj nowsze czasy dotarły do prawdy. Hipolit Skimborowicz gromadził materyały do hi-

storyi wolnomularstwa w Polsce, zbierał wszelkie odnośne druki i tym sposobem doszedł do posiadania wolnomularskich wierszy Brodzińskiego. Nie wiem, czy cokolwiek ogłosił o nich drukiem, ale ze zbiorów jego sam za jego życia korzystałem. W r. 1872 p. Karol Estreicher w 1-szym tomie „Bibliografii polskiéj XIX stulecia" wymienił kilka z tych wierszy (str. 152, 153). W poznańskiém wydaniu pism Brodzińskiego (1872—74) napomknięto o właściwém pochodzeniu dwu dawniéj znanych poezyi i podano ich odmianki z pierwodruków. Tym sposobem nazbierało się trochę materyału autentycznego, który pozwala nam obecnie zarysować główniejsze szczegóły z piśmienniczéj Brodzińskiego działalności jako wolnomularza.



Niewiadomo dotychczas, czy Brodziński, przybywając do Warszawy w drugiéj połowie r. 1814, był już wolnomularzem czy nie. Zdaje się wszelako rzeczą prawdopodobną, iż do „zakonu" wstąpił już dawniéj, gdyż niebawem po przyjeździe do stolicy Królestwa występuje jako brat bardzo czynny, układający wiersze obrzędowe. To w każdym razie pewna, że wolnomularstwo ułatwiło mu zawiązanie stosunków literackich i towarzyskich w nieznaném mieście. Zalecony zaledwie kilku wierszami, nie mógłby Brodziński stosunkowo dość szybko osiągnąć pewnego w Warszawie znaczenia, gdyby nie związki masońskie. Wszedł on w związek z „katedrą świętobliwości i doskonałości" w świątyni Izys, któréj mistrzem, trzymającym młotek od r. 1812, był Ludwik Osiński, znany tłomacz arcydzieł dramaturgii francuskiéj, wsławiony kilku odami poeta i poważany krytyk. Na samym tedy wstępie do Warszawy zetknął się Brodziński z literatem głośnym tutaj i wpływowym, który nie omieszkał jego talentu i pracowitości spożytkować wielostronnie.

Już z r. 1815 znamy trzy wiersze Brodzińskiego spowodowane uroczystościami wolnomularskiemi.

Jeden z nich ma napis: „Śpiew w czasie obchodu uroczystego św. Jana przez W. Wschód narodowy pod wschodem Warszawy d. 24 mies. szóstego r.·. p.·. s.·. 5815 czyli ery zwyczajnéj 24 czerwca" (w 4-ce, kart 2). Wiersz ten znam tylko bibliograficznie, treści więc jego podać nie mogę (1).

Zaraz nazajutrz odbywała się w świątyni Izydy uroczystość imienin Ludwika Osińskiego; na niéj śpiewano i deklamowano wiersz Brodzińskiego, przy towarzyszeniu muzyki ułożonéj przez brata Ka-

(1) K. Estreicher: „Bibl. pols. XIX st." t. I, 152.

rola Kurpińskiego (1). Całość składa się ze śpiewów chórowych i solowych, z recytatywu 3 pokolei występujących *uczniów*, z deklamacyi namiestnika loży i dwu dozorców, z dwuśpiewu i trójśpiewu. Rozpoczyna się od śpiewu chórowego, wzywającego „prawdy“:

Kapłanko mularzy święta,
W łonie wieczności poczęta,
O Prawdo! niech twe natchnienia
Ożywią mularskie pienia.

Na co solowy śpiew odpowiada:

Tajemna jest twoja brama;
Mądrość trzyma w niéj pochodnie,
Blask ich zniesie cnota sama,
W proch przed niemi nikną zbrodnie.

Chór śpiewa znów swą zwrotkę, a pierwszy uczeń w czterowierszowéj strofce, któréj 2 ostatnie wiersze chór powtarza, prosi namiestnika loży „filaru mądrości“, siedzącego „obok tronu“ mistrza, aby wypowiedział chwałę „zakonu.“ Namiestnik w przydłuższéj deklamacyi, złożonéj z wierszy poważnych 13-zgłoskowych, przypomina owę smutną chwilę w dziejach świata, kiedy wiek szczęścia na nim minął, gdy „pod żelazem“ znikły „plony Saturnowe“, a wśród burzy runął kościół prawdy; dodając, że wówczas kapłani „od niebios wybrani“ unieśli „zaród prawdy z zatopów, jak Noe w arce“, że sterowała im „mądrość“, w żagiel dęła „siła“, a „piękność“ ułagadzała burze. Następnie przedstawia powolne ale skuteczne działanie owéj prawdy uniesionéj przez kapłanów, od niebios wybranych, na świat pogrążony w ciemnocie, oraz wzmaganie się znaczenia mularzy:

Pod berłem nocy spał świat w milczeniu głębokiém;
Prawda wyszła — i z światłem szybkim przeszła krokiem,
A złym sen przedłużając, jéj moc tajemnicza
Wzbudziła mężów prawych, godnych jéj oblicza.
Głos jéj, kornie na skrzydłach *tajemnic* (2) niesiony,
Wieki wiekom, a stronom podawały strony.
Wnet się zeszli *mularze licznego narodu*,
Od zachodu na północ, z południa do wschodu,

(1) Tytuł: „Wiersz obrzędowy w święto Imienia N.·. i N.·. B.·. Ludwika Osińskiego, Mistrza Katedry ś.·. i d.·. □.·. Świątyni Izys d.·. 25go m.·. 6go r.·. p.·. ś.·. 5815 w téyże □.·. śpiewany i deklamowany. Poezya B.·. Kazimierza Brodzińskiego; Muzyka B.·. Karola Kurpińskiego. 4 karty w 4-ce. Na odwrotnej stronie tytuły: cyrkiel, trójkąt kielnia i inne symboliczne znaki wolnomularstwa otoczone kwiatami. □ znaczy: *loża;* N.·. znaczy *Najdoskonalszy;* B.·. znaczy *brat;* ś.·. znaczy albo *świat* albo *świętobliwość;* d.·. *doskonałość;* .·. (trzy kropki) zastępują trójkąt symboliczny wolnomularstwa.

(2) Przez to ogólne wyrażenie rozumieć prawdopodobnie należy *misterya* kapłanów egipskich, eleuzyńskie i t. p., z któremi nicią powinowactwa duchowego łączono wolnomularstwo.

Rozciągnęli *budowę trwałą nieśmiertelnie.*
Z tronów zeszli królowie, wzięli z niemi kielnie;
Jéj obwód i kościoły i trony zamyka,
Tam jest cześć i dla bóstwa i praw śmiertelnika.
Jéj ołtarze już ziemi zajęły przestrzenie:
Gdzie blask rzucą, złość mdleje, ustępują cienie.
Gdy pyszne niegdyś grody teraz porze radło;
Kiedy tysiąc towarzystw i narodów padło:
Zakon nasz wolny, mocny przez zgodę jedynie.
Spokojny, cichy, wiedzie mur po ich ruinie.
Tak słońce, zawsze jedno, stałe i spokojne,
W kuli świata rozlewa strugi światła hojne,
Gdy piorun, niosąc błyski, które chwila nieci,
Grzmi, śpieszy — aby zgasnął wtenczas, gdy zaświeci.
Zakon pewny w zasadach, w skutkach nieomylny,
Pracuje jak czas — tajny, nieustanny, silny,
On-to kiedyś opasze ziemię w łańcuch zgody,
Z nim od morza do morza uklękną narody
I wielkim hymnem niebios wstrząśnie się sklepienie,
Z prawdy *krytéj przez wieki* opadnie odzienie,
A gdy pierzchną ciemnoty aż na świata końce,
Niebo dachem świątyni, lampą będzie słońce.

Gdy namiestnik loży, ów „filar mądrości“, skończył swą deklamacyą, chór intonuje zwrotkę na cześć „władcy świata“, a śpiew solowy zwrotkę na chwałę zakonu oraz mistrza sterującego w tym dniu berłem w świątyni Izydy, najstarszego członka loży i jéj wskrzesiciela za czasów pruskich, Piotra Reicha, który niedawno (w r. 1814) obchodził pięćdziesięcioletni jubileusz należenia do zakonu. Dwa ostatnie wiersze chór powtarza; a deklamator (bliżéj nieoznaczony, prawdopodobnie namiestnik loży) wzywa mistrza, ażeby dla uczczenia zasług i cnót zakonu dziewięćkrotnie w trzech stronach odezwały się młoty. Co gdy się stało, drugi *uczeń* recytatywem zwraca się do „filaru siły“, do pierwszego „dozorcy“, ażeby o zasadach wolnomularstwa (równości, zgodzie i sile) oraz o jego zaletach opowiedział. Dozorca w pięknych, pełnych mocy wierszach wywiązuje się ze swego zadania:

Kiedy duma na karku podłości niesiona,
Świętą jedność z ludzkiego wypędziła grona,
Kiedy z rodzinnych szranków, równości i zgody
Lud rozdzieliły stany, wyznania, narody,
Gdy przesąd oczy związał, przemoc rękę spięła
By ludziom cechę rodu braterskiego zdjęła;
Kiedy człowiek poniżon jak narzędzie czynny,
Myślał myślą drugiego, czynił, jak chciał inny:
Wtenczas wzniósł się nasz zakon, gdzie blask prawdy świeci,
Tu pod dachem rodzinnem gromadzą się dzieci;

Tu duma w więzy spięta leży w jego ziemi,
Na którą płaczą w świecie ludzie poróżnieni;
Tu w progu tłuką kielich z światową goryczą,
Tu smutnych dzwonów czasu, przestrogi nie liczą,
A świętéj tajemnicy okryci obłokiem,
Codzień jednem do wschodu zbliżają się krokiem;
Tam z nadzieją o *przyszłem szczęściu ziemi* nucą,
Który jéj Bóg dał niegdyś, mularze powrócą;
Tam litość, nieodstępna od pracy bogini,
Łzy pociech w świecie zbierać wychodzi z świątyni
Miłość bratnia równości ozdobiona cechą
Zewnątrz im murem, wewnątrz pierwszą jest pociechą.
Wśród nich szczerość przy boku łagodności chodzi,
Ona mowę serdeczną do serca przywodzi.
Szczerości! jakże szczęście tego miejsca głosić,
Gdzie tobą mówić wolno, gdzie cię lubią znosić?
Wesołość, córka światła, cnót i niewinności,
Przy powadze zakonu szanowana gości:
Jéj wdzięki, ni powagi, ni siły nie zmniejszą,
Piękność czynią prawdziwszą, a prawdę piękniejszą.
Tu człek w świecie cierpianą zasłonę z ócz traci,
I przy świetle we wszystkich poznaje swych braci,
Czyli tam, kędy słońce szczerym ogniem ciska,
Czy gdzie ludzie dalecy natury ogniska,
Tu w zgodzie do jednego gromadzą się stołu,
Spuścizną matki światła, dzielą się pospołu.
Tu w ogniwach braterskich wszyscy sobie bliscy,
Jeden wsparty na wszystkich, a na jednym wszyscy.

Po ukończeniu deklamacyi wypowiedzianéj przez „filar siły“ chór powtarza zwrotkę na cześć „władcy świata“, a dwuśpiew składa mu dzięki za to, że dał „synom Izydy“ takiego mistrza jak Piotr Reich. Deklamator zwraca się do przewielebnego (Ludwika Osińskiego), ażeby oklaskiem wyraził uczucia zebranych względem mistrza. Oklaski odzywają się sześciokrotnie (1). Wtedy trzeci *uczeń* wzywa drugiego dozorcę, „filar piękności“, siedzącego przy trzecim młocie, ażeby o cnotach wolnomularza opowiedział. Dozorca ten kreśli w deklamacyi swojéj niebezpieczeństwa, na jakie narażony jest człowiek słaby w podróży życia, a zarazem doniosłość wsparcia moralnego, jakie mu dać może wolnomularstwo, cnotę oświecając rozumem, a wolność łącząc najściśléj z „niewolą“ obowiązku:

Człek z czuciem i pojęciem na brzeg życia wchodzi,
Lecz ciemny, słaby, musi oddać się powodzi,
A gdy dzika namiętność pcha łódkę od lądu,
Doradzcy rozum zasnął na łonie przesądu.

---

(1) W druku wyrażono to tak: „Oklaski p. 3. † 3.“

Tak człek — jak mara — szybko drogę w grób przeminie,
I on niepoznał życia i po nim ślad zginie.
Lecz szczęsny, komu w życiu na morzu goryczy,
Opiekuńcza mularstwa gwiazda przewodniczy.
Jazon za runem, Uliss za Itaką dąży,
Mularz po głębiach myśli za prawdami krąży:
Świat myślą, a miłością objął całą ziemię
Jednéj celem jest wieczność, drugiéj ludzkie plemię.
Jak, gdy Morfej senliwy mak sieje po osi,
Opiekuńcza noc nad nią swą zasłonę wznosi:
Tu śle wiatry z ochłodą, owdzie spuszcza rosy,
I skromny blask księżyca wiedzie przez niebiosy;
Tak wolny mularz rzuca tajne światło—rady,
Nędzę morzy przez litość, błędy przez przykłady.
Oświecona w nim cnota uczy życia użyć
I przez samo użycie na przyszłość zasłużyć
W wszystkich wiarach chęć jednę ku Twórcy wyznaje,
Cnocie jednéj nad drugą pierwszeństwa nie daje,
A bacząc, czém on z ludźmi, z nim ludzie złączeni,
Czci wolność, i niewolą powinności ceni.

W końcu swéj deklamacyi „filar piękności“ robi zwrot do mistrza sternika, Piotra Reicha, wystawiając go jako wzór wolnomularzy, jako chwałę Izydy i ozdobę zakonu. Trójśpiew omawia jednę z myśli przez drugiego dozorcę wyrażonych:

Próżno na piasek słońce śle oświaty;
Zła ziemia nic nie urodzi;
Próżno grunt żyzny wyprowadza kwiaty
Tam, gdzie słońce nie dochodzi.
Tak próżne światło tam, gdzie niéma cnoty,
Próżna cnota wśrzód ciemnoty.
Szczęsny, kto łącząc cnotę przy rozumie,
Jedno drugiém wesprzeć umie.

Po tym trójśpiewie znowu ale po raz ostatni występuje pierwszy dozorca, „filar mądrości,“ poświęcając swą deklamacyą na uczczenie Piotra Reicha, a przy nim i Ludwika Osińskiego, któremu Reich w r. 1806 udzielił stopień pierwszego święcenia, a który ze swéj strony podczas jubileuszu Reicha w 1814 podawał mu z tronu „narzędzia ucznia.“ Przypominając te okoliczności, dozorca powiada:

Uścisk mistrzów i uczniów, jaki w szczęsnéj dobie
Po dwa razy nawzajem dawaliście sobie,
Niechaj dziś w trzeciem miłym dla braci obrzędzie
W imię wszystkich raz trzeci powtórzony będzie;
Niech się stanie uściskiem, wszystkich braci społem!—
My bratniego łańcucha opaszmy ich kołem!

Chór wreszcie życzeniami kończy cały obrzęd:

W tym świętym obwodzie braci
Przepędzaj wiecznie wiek złoty;

Niech ci nasza miłość płaci
Twoje zasługi i cnoty.

Jak z powyższego widzimy, wiersz w święto imienia Ludwika Osińskiego wygłoszony różnił się z gruntu od podobnych utworów pisanych za czasów Stanisława Augusta i za Księstwa Warszawskiego przez rozmaitych mniejszéj i większéj zdolności poetów; bardzo mało bowiem ma w sobie pierwiastku osobistego; solenizant ledwie wspomniany, Reich tylko doznaje uczczenia, jako mistrz; zresztą całość ma na celu pokrzepienie moralne za pośrednictwem przypomnienia podań, zasad i postępowania wolnomularzy, jako rzeczników światła, wolności, prawdy i szczerości, słowem prawdziwego humanizmu.

Tegoż r. 1815 w sierpniu raz jeszcze Brodziński wystąpił jako wolnomularz, pisząc wiersz na obchód żałobny po zmarłym dostojnym członku zakonu, Józefie Orsettim (1). Budowa tego utworu daleko jest prostsza niż poprzedniego; składa się tylko ze śpiewu solowego trzykrotnego, z chóru występującego trzy razy i z deklamacyi dwukrotnéj. Wypowiedziawszy bolesny powód zgromadzenia się członków, wyrażono w „śpiewie" spostrzeżenie, że jak „noc wstępuje w dniowe ślady", jak „prace lata jesień roni", tak „za radością smutek blady, a za życiem śmierć zaś goni"; chór zaś w słowach prostych ale przejmujących do głębi kreśli dolę człowieka:

Ach! po jak smutnéj kolei
Losy człeka wyprawiły!
Iść po cierniach do nadziei
Trafić w bólach do mogiły.

Deklamacya pierwsza maluje obrazowo prawo ciągłéj i wiecznéj przemiany: „Ta ziemia jest cmentarzem—powiada—gdzie czarna królowa wysłane sobie twory na zatratę chowa; z jéj zniszczonéj ofiary robak utworzony żyje zniszczeniem, aby *wnet żywił zniszczony.*" Gdy śpiew wyraził żal, co zaciemnił świątynię Izydy, po śmierci członka, „co świątyni spajał ściany" i gdy chór zawezwał obecnych do zanucenia „pieśni żałoby," deklamator boleje nad losem śmiertelników, którzy za kroplę pociech topią się w morzu goryczy i muszą być szermierzami, co na śmiertelną walkę w szrankach stając, otrzymują poklask wtedy dopiero, gdy padną; ale niebawem spostrzega

(1) Tytuł: „Wiersz na obchód żałobny po N.·. i N.·. B.·. Józefie Orsettim, pierwszym wielkim Doz.·. W.·. W.·. Polskiego, członku N.·. kapituły, mówcy □ .·. kapitularnéj, członku ś.·. i d.·. □ .·. Izys w Warszawie w dniu 16 M. VIII. r. p.·. ś.·. 5815." Utwór ten znajduje się w pismach Brodzińskiego pod tytułem „Pogrzeb przyjaciela" albo téż: „Wiersz żałobny", ale z wielkiemi odmianami i z wyrzuceniem wszelkich wspomnień wolnomularskich.

się, że żal jest bezpłodny, więc czerpie otuchę w zasadach wolnomularstwa:

Ale precz o obrazie! tyś nad śmierć smutniejszy;
Niech pochodnia mularstwa twą okropność zmniejszy.
Mularz smutnych przybytków prawdy się nie boi
I samo widmo śmierci śmiało w kwiaty stroi,
To widmo, co go drogą podziemną prowadzi,
Blizn jego nie obmyje, ufności nie zdradzi.
Jest przyszłość, bo w cierpieniach człek żyje i kona,
Bóg wieczny, bo nadzieja nasza nieskończona.

„Śpiew“ podejmuje ten ton otuchy i wysławia spokój zmarłego w przybytku wieczności:

Minąłeś już, drogi bracie!
Smutną ścieżkę niepewności,
Przy Jehowy majestacie
Duch twój wolny wieczny gości.
Smutna świątyni twa strata
Łzy żałosne braciom roni,
Lecz co każe miłość brata,
To mularskie prawo broni.

W tym samym nastroju, chór zachęca do ukojenia żalu:

Bracia! kto powinność ceni
Z męstwem żal pojednać trzeba,
Na grobowiec zasmuceni,
Lecz wesoło patrzmy w nieba.

Z roku 1816 znany mi jest jeden tylko wiersz wolnomularski Brodzińskiego. Jest to „Kantata w dniu obchodu imienin B.·. L.·. Osińskiego M.·. □ .·. S.·. Izys, d. 26 M.·. VI r.·. p.·. s.·. 5816 Poezya B.·. K.·. Brodzińskiego, Muzyka B.·. K.·. Kurpińskiego“ (kart dwie w 4-ce). W pismach Brodzińskiego znajdujemy ją pod napisem: „Radość“, naturalnie zmienioną i wolnomularskich wspomnień pozbawioną. Z tego wcielenia jednak do pism widać już, że znajdowały się w kantacie przeważnie myśli ogólne, które mogły mieć znaczenia same przez się, po obcięciu wszystkiego, co wiersz wywołało. Istotnie oprócz dwu miejsc wyłącznie uczczeniu „najlepszego z braci koła“ poświęconych, reszta opiewa zalety radości. Brodziński znał niewątpliwie wiersz Schillera „An die Freude“; myśli niektóre tu i tam są jednakowe; ale bliższéj zależności pomiędzy temi utworami zaznaczyć nie można; każdy poeta po swojemu potęgę radości wyśpiewał. Schiller wysławia ją, iż zarówno złym jak dobrym służy i dlatego pragnie poeta, ażeby w chwili upojenia przebaczono wszystkim grzesznikom; gdy Brodziński pociechy jéj dla zacnych i szlachetnych tylko zachowuje. Ponieważ zmiany w téj kantacie zaprowadzone przy drukowaniu jéj w zbiorze pism nie są zbyt wielkie,

przytoczę tu z „deklamacyi“ króciutki jedynie ustęp, ku wolnomularstwu i solenizantowi zwrócony, którego w wydaniach zbiorowych niéma:

Radości, przystąp do tronu,
Tam zanieś braci uczucia święte!
Niech przy Ludwiku żyją bez zgonu
Czcią i przyjaźnią przejęte.
Spełznijcie w blasku, wy, chwały mocarze!
Niech możność szczytu swojego zazdrości:
Tu widzi wielkość—bo *cześć wśrzód równości*,
Bo prawa jest cześć, która serca niesie w darze.
. . . .
Ty będziesz z nami wiek złoty...
Niech twoje kwiaty tę świątynię stroją;
Zatrzymają cię Mistrza zasługi i cnoty,
A przyjaźń nasza będzie częścią twoją.

Z roku 1817 znane są dotychczas trzy utwory wolnomularskie Kazimierza z Królówki.

Pierwszym z rzędu jest „Kantata w dzień uroczystości installacyjnéj W.·. W.·. Urzędników W.·. W.·. Królestwa Polskiego, R.·. p.·. s.·. 5817 M. III. 4-go.“ Składa się ona z chóru na początku i końcu śpiewającego też samę zwrotkę, z dwu deklamacyj, z 3 recytatywów i dwu śpiewów. Poeta zwraca się po kolei do najwyższego mistrza, do namiestnika zakonu i wreszcie do ogółu innych urzędników.

Mistrzem najwyższym Wschodu Polskiego był Stanisław hr. Potocki, wówczas już minister oświecenia Królestwa Polskiego. Jemu przyznaje Brodziński zasługę, iż zakon w najburzliwszéj dobie uchował przy jego pomocy „kwitnące swe nadzieje,“ porównywa go ze wschodzącém słońcem, które do nowéj pracy budzi i zachęca, powiada, że kraj i zakon chlubi się nim, gdyż mu powierzył „dwie najpierwsze oświaty pochodnie“, to jest zapewne przewodnictwo w zakonie wolnomularskim i ministeryum oświecenia, wysławia wreszcie jego talenta i działalność:

Pierwsza jest jeniuszu na ziemi potęga!
Jako ożywcze słońce, wszystkiego dosięga,
Pamiętne na moc cedru i na barwę kwiatu
Światłem nadaje siłę i ozdobę światu;
Tak gieniusz przez kunszta, nauki, zachody
Tchnie ducha, którym żyją wieki i narody.
Wszędzie duch pięknych celów jak cień nieoddzielny
Zjawia mu się i na ślad wiedzie nieśmiertelny.
Mężu! niech cię do celu wiedzie chęć stateczna;
Sława jednego w dobru powszechném jest wieczna.
Niech z źródła twego światła czerpają pożytki
I mularstwa polskiego i nauk przybytki.

A marzenia cnotliwych i wielkich dusz chęci
Piękny skutek twą palmę na wieki uświęci.

Namiestnikiem zakonu musiał być wówczas jakiś wojak; ku niemu wystosował poeta recytatyw:

Wita cię, namiestniku, zakon obok tronu;
Nowa cię czeka chwała u nowego plonu,
Na oliwnéj gałęzi *zawieś ciężkie zbroje*,
Łagodną kielnię wezmą dłonie twoje.

W „śpiewie“ zaś rozprowadza myśl wyrażoną w dwu ostatnich wierszach recytatywu:

Chlubę dla męża w wojennéj wrzawie
Dać krótkie życie wieczystéj sprawie;
Huk trąb, co jego zwycięstwo głosi,
W potomne wieki echo roznosi.
Lecz i przy miłém pokoju pieniu
Pięknie, w oliwnym spocząwszy cieniu,
Do mularskiego śpieszyć warsztatu
I błogi pokój przybliżać światu.

W ostatnim wreszcie recytatywie Brodziński ma na myśli wszystkich urzędników mularskich i przemawia do nich z radosną otuchą w dobrą, pomyślną dla zadań masońskich przyszłość. Widocznie w roku 1817 nie przewidywał jeszcze chmur, jakie nad zakonem zebrać się miały; mówi bowiem:

Jak troskliwi wieśniacy
Przy nowéj wiosny pogodzie
Słońcu na swojéj zagrodzie
Powierzają skutek pracy:
Równą chęć, urzędnicy! nadzieja w was nieci.
Poświęcać zdolność i czas dla zakonu.
Ufajcie słońcu, które z góry świeci;
Bez niego i bez pracy nie zyskacie plonu.
Sam Bóg wielką mularstwa pochodnię rozniecił,
Sam będzie w drodze przeznaczenia świecił:
Na wszystko przyjdzie pora, wszystko owoc zrodzi,
Gdzie jeniusz, czas, praca na pomoc przychodzi.

W dniu 24 kwietnia 1817 roku ofiarował Brodziński wiersz swój Jerzemu Wilczewskiemu, członkowi zakonu, w dzień jego imienin (1). Wiersz ten znany jest w zbiorowych wydaniach poezyi Brodzińskiego p. n. „Prawdziwa wesołość“; ale naturalnie ze zmianami i opuszczeniami, gdzie było można zamiast „mularstwo“ wstawiono „ludzkość“, a gdzie zbyt wyraźne były cechy okolicznościowéj natury utworu, tam strofy całe pominięto. Myślą zasadniczą wiersza

(1) Tytuł: „Wiersz ofiarowany N.·. N.·. B.·. Wilczewskiemu Jerzemu w dzień imienin d. 24 kwietnia 1817 przez B.·. K.·. Brodzińskiego.“

jest, po przedstawieniu krótkotrwałéj i zwodnéj radości dziecięcia, młodzieńca i dojrzałego męża, odmalować błogość i boskość, a więc wieczną trwałość téj radości, jaką roznieca w sercu człowieka miłość bliźnich i wspieranie „świętego celu mularstwa," bo „kto cały świat umiłował, ten i cały świat posiada, ten równy bóstwu w nieśmiertelném niebie, przeszłość i przyszłość zhołdował dla siebie."

Dnia 5 września tegoż roku śpiewany był w loży ś. Jana pod nazwą „Astrea" wiersz Brodzińskiego na uroczystości imienin mistrza katedry sprawiedliwości i doskonałości w téj loży, Karola Wojdy. Znam go tylko bibliograficznie (1).

Rok 1818 stanowi w dziejach naszego wolnomularstwa dość ważną i ciekawą chwilę; powstały bowiem wówczas starania ludzi ukształconych i rozumnych, dążące do reformy „zakonu"; wiemy o tém trochę, co w téj mierze przedsiębrano w Wilnie (2). A że stosunki wolnomularskie były u nas dość ścisłe, przypuścić można, że i w królestwie, a mianowicie w Warszawie usiłowania podobne istniały. Jakie stanowisko zajął wówczas Brodziński, nie wiadomo na pewno; prawdopodobną atoli jest rzeczą, iż nie będąc zwolennikiem zmian gwałtownych wogóle, umiarkowanie to swoje zachował téż w sprawie wolnomularstwa. Dowodziłoby tego najprzód domyślnie przez p. Estreichera (3) r. 1818 odniesione wydanie broszury podpisanéj przez Brodzińskiego p. t. „Akt ogłoszenia i Ustawy Wielkiego Wschodu Królestwa Polskiego i W. X. Litewskiego," a powtóre miana przezeń „Mowa w dzień instalacyi Urzędników Jsis w roku 5818 d. 5 m. XI," którą znam z odpisu jaki się znajdował w zbiorach Hipolita Skimborowicza. Ponowne ogłoszenie Ustaw Wielkiego Wschodu było dowodem, że Wschód Polski, a zarazem i nasz poeta, który widocznie został wtedy sekretarzem zakonu, nie chciał wyrzekać się zasad dawnych wolnomularskich; mowa zaś okazuje, jak poeta nasz zasady te rozumiał, jak je do wymagań czasu stosował: warto się więc nad nią bliżéj zastanowić.

Brodziński wykładając zasady masońskie, rozpoczyna od twierdzenia, iż „nie jest dziełem człowieka utwarzać cnoty w bliźnich lub w sobie" lecz że „każde serce oznaczone już jest od natury mularskiemi znakami i hieroglifami," które „nie na kolumnach, nie przez

---

(1) K. Estreicher w „Bibl. XIX st." I, 152 podaje taki napis: „Śpiew na obchód uroczystości imienia P.·. i N.·. B.·. Karola Woydy mistrza katedry S.·. i D.·. □ ś. Jana pod osob. nazwiskiem Astrea w d. 5. M. IX r.·. p.·. ś. 5817. Muz. Elsnera. W 4-ce str. 4 strof 7.

(2) Zob. *Ateneum* z r. 1883 t. II, str. 172 w mojéj rozprawie „Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi."

(3) „Bibl. pol. XIX st." I, 11.

dalekie morza doniósł czas pokorny wiekom naszym", ale przekazał je pokoleniom we krwi, gdyż „z mularskiego tajemniczenia rodzi się człowiek, a staranie jego nie może być inne, jak tylko aby też tajemnice odgadywał w sobie." Szeregi prawdziwych rycerzów, związki prawdziwych uczonych, zakon wreszcie wolnomularzy właściwie nic nie wytworzyły i nie wytwarzają, ale „różnemi hasłami, pod jedne sztandary, do jednego ołtarza prawdy, pod jedno sklepienie zwołują przez długie wieki lud błąkający się w tęschnocie do wzajemnéj miłości, do powszechnego dobra," tak, iż nie nad zasiewaniem cnót, ale nad trudną sztuką połączenia się wszystkich pracuje człowieczeństwo.

Po tych uwagach ogólnych przechodzi mówca do przedstawienia ulubionéj myśli swojéj, wykazując potrzebę umiarkowania, a więc znalezienia środka, „do którego wszystko wpływa i z którego wszystko się rozpływać powinno." Nie brakło ludzkości ani „najwyższych chęci, ani najwyższych zdolności", ale zbywało na tém umiarkowaniu złotém, które wszystkie czynności odważać musi. W myśl téj zasady mówi Brodziński: „Miłość Boga powinna się łączyć z miłością dzieci jego, całego rodu ludzkiego, miłość wolności powinna dać się okować w ścisłe posłuszeństwo prawu, *miłość prawdy niech będzie wstrzemięźliwą, miłość światła pobłażającą, a miłość równości niech ma granicę rozsądku i sprawiedliwości.* Bracia moi! Dość już ksiąg butwieje, które marzenie dla tego powszechnego dobra kreśliło; dość słów o niém przebrzmiało, które wychodziły może z ust próżności, albo niestety, z ust saméj obłudy; dość nawet silnych i szczerych przedsięwzięć upadło; i jeżeli korzyści wszelkich usiłowań są widocznemi; to zapewnie najważniejsze będzie przekonanie, że jak całość z części się składa, tak całość bez samych drobnych części być dobrą nie może. Każdy zatém mularz, na jakimkolwiek punkcie postawiony przeznaczenia, powinien dla dobra całości starać się wprzód być dobrym członkiem; nie poświęcenia się, ale łączenia dobra swojego z dobrem powszechném wymagamy po nim. W tém rozumieniu *każdy dobry ojciec, sąsiad, obywatel, urzędnik rządzący i posłuszny dobrym jest mularzem.* Nierówność polityczna trwa tylko przez ciąg krótkiego życia, a często w krótkiéj jego chwili, gdy równość ludzi zaczęła się u Boga i trwać będzie w wieczności; przeto niech ten pozór przemijający ani budzi zazdrości ku wyższym, ani wyższych nad niższymi unosi. Równie nieszlachetnie jest uznawać w dostatkach przymioty, jak dla dostatków chcieć ubliżać przymiotom, i wzajem nieprzystojną jest rzeczą, aby możny nie uznawał powodu do szacunku w niższym, lub gorzéj, aby przez ten pozór chciał tylko być niewolnikiem ducha czasu, lub chęci dobrego o sobie mniemania..."

Szczegółowsze wyłuszczenie tych myśli znajdujemy w przemowie Brodzińskiego do nowo przyjmowanego brata. „W jakiémkolwiek powołaniu i zdolności—powiada on—każdy jest w stanie przykładać się do rozszerzania tych zasad. Coś pełnił jako syn, jako Polak dla rodziny i ojczyzny, to wypełniaj jako mularz dla całéj ludzkości. Dążenie to wymaga ciągłego śledzenia siebie i ludzi, poszukiwania światła, skarbienia sobie wdzięcznych ludzi i przyjaciół, przez wytrwałe do dobrego chęci, a najwięcéj przez otwarte postępowanie. A gdyby nawet los nie dozwolił czynić tyle, ilebyś chciał dla dobra powszechnego, dość będzie, gdy sam żyjąc według tych zasad, pomnożysz liczbę cnotliwych, gdy kiedyś tak wzory z ciebie czerpane będą, jak ty z szanownego ojca twojego czerpałeś. Nie myśl, ani jako rozsądny myśléć możesz, ażebyś we wszystkich, z którymi się teraz połączasz, znalazł w zupełności te wszystkie niczém nieskażone przymioty. Pomnij, że łączysz się z ludźmi, którzy nie śmieją się nazywać zupełnie cnotliwemi, ale tylko przyjaciołmi i uczniami cnoty, *że nasze powołanie jest ciągła walka ze skłonnościami, jakie natura od serca naszego nieoddzielne mieć chciała*. W tém to rozumieniu ulegamy zawsze większości woli, używamy najwyższéj delikatności względem sądu o sobie, jesteśmy wzajem otwartymi, abyśmy się dali poznać drugim, a zatém i poprawić, zgoła przebaczać sobie, tak jak każdy najcnotliwszy człowiek czuje potrzebę, aby jemu przebaczono. To znajdziesz w nas; tego wymagamy po tobie. Doskonałości zupełnéj nie żądamy po tobie, bo doskonałość aż *tam* nas czeka, a na ziemi jesteśmy tylko podróżnikami do niéj. Podaj nam więc braterskie dłonie, abyśmy się wzajemnie wspierali i oświecali; to jest jedyna możność nasza, obok któréj dosyć nam mieć nadzieję, że tym czystym chęciom zechce W.·. Budownik świata pobłogosławić.“

Jak tu starał się Brodziński wskazaniem moralnych i podniosłych dążności wolnomularstwa udowodnić przeciwko nowatorom w łonie samegoż Zakonu, iż obowiązki mularza są tylko wsparciem obowiązków dobrego obywatela; tak w roku 1819, kiedy się zaczęły pojawiać pozewnątrz zakonu objawy dla niego coraz nieprzychylniejsze, uznał za rzecz konieczną wystąpić w obronie zagrożonego związku.

Mamy dwa z tego roku świadectwa działalności poety naszego w tym kierunku.

Jedném z nich jest przemowa miana w świątyni Izydy 22 lutego na powitanie brata Dłuskiego (1), jako przedstawiciela Wschodu li-

---

(1) Z rękopiśmiennych zbiorów H. Skimborowicza.

tewskiego, który mu „nie tylko świetność swoję, ale i nowy byt zawdzięczał". Oprócz słów serdecznego powitania brata w zakonie, mówca wypowiedział pochwałę dla samego zakonu, używając środka niejednokrotnie stosowanego w czasie, kiedy pewne idee narażone są na ostre zarzuty ze strony zwolenników dawnego porządku rzeczy, starał się bowiem świetne i drogie narodowi czyny przodków jako objaw wolnomularskich dążności przedstawić. Wątek ku temu wysnuł Brodziński z téj okoliczności, że Korona przyjmowała Litwina. Wspomnienie więc połączenia Litwy z Polską nasuwało się samo przez się. Podnosząc je, mówca-wolnomularz zawołał: „Niezbędna pamięci na przodków naszych, gdzież mię chcesz w téj chwili unosić? Ponieś mię, ponieś moje serce pełne teraz radości w te błogie czasy, kiedy nie rozlew krwi, nie polityczna rachuba, ale czysty zapał do cnoty połączył Polaków z ziemią litewską! Tak jest; córka Kazimierza, owego króla, *co wszystkie zasady mularskie nie z nauk, ale z serca swojego czerpał*, wyrzekła się skłonności ku jednemu z książąt niemieckich, odrzuciła związek z rodakiem i rządców sąsiednich narodów o jéj rękę się ubiegających, wybrała dostojnego księcia Litwy, aby rody słowiańskie bliżéj połączyć; Władysław Jagiełło objął berło na tronie Polaków dlatego, aby błogie światło wiary chrześciańskiéj uświetniło ziemię Litwinów." Z tém wspomnieniem nie waha się Brodziński zestawić drugiego, mówiącego o połączeniu Korony z Litwą za pośrednictwem związku wolnomularskiego.

Nie myślę wdawać się w krytykę wyrażonych tu poglądów; każdy łatwo spostrzeże, iż tylko zajęcie myśli jednym w danéj chwili przedmiotem t. j. sprawą wolnomularską, nie dozwoliło Brodzińskiemu dojrzéć trwalszych i głębszych nad masoństwo węzłów łączących narody; zaznaczam więc jedynie, że myśl rzucona przezeń w gronie braci o sposobie utrwalania i uświęcania zasad wolnomularstwa wśród ogółu przez powoływanie się na przeszłość krajową mogła mieć pewne praktyczne w owym czasie znaczenie, kiedy masoneryą jako rzecz obcą, przywoźną z naciskiem potępiać zaczęto. Dla oddziaływania atoli na masy trzeba było użyć i innych, doraźniejszych środków. Za jeden z takich słusznie uważano teatr.

Brodziński od roku 1816 pełnił bezpłatnie przez lat sześć obowiązki sekretarza dyrekcyi rządowéj teatru narodowego, mając sobie w części powierzoną przez Ludwika Osińskiego, który był dyrektorem teatru, „cenzurę literacką dzieł dramatycznych." Przez ten czas oddał do repertoaru sceny narodowéj „kilkanaście dzieł teatralnych przez siebie tłómaczonych lub ułożonych" (1). Z tych kil-

(1) Autobiografia Brodzińskiego, zawarta w „Opisie biegu życia profesorów i nauczycieli szkół publicznych w Król. Polskiém" (rękopism).

kunastu dzieł znamy dziś zaledwie kilka, a między niemi znajduje się przekład utworu Kotzebuego p. n. „Wolny mularz“, przedstawiony w teatrze i drukowany r. 1819. Jest-to zręczna, dowcipna fraszka z celem poważnym. Karolina i Hrabia (jéj wuj) chcą się dowiedzieć, co to jest wolny mularz; Hrabia po daremnych usiłowaniach wyszpiegowania czynności masońskich gotów sam zostać wolnomularzem, ale odstrasza go od tego zasada równości, bo czémże byłby, gdyby przestał być hrabią... Karolina wypytuje Barona (swego narzeczonego), który jest masonem; ten daje jedno poważne i jedno żartobliwe określenie (robienie złota, drogich kamieni, lekarstw uniwersalnych i t. p.), lecz ponieważ nie chce jéj zwodzić, mówi w końcu, że nie myśli zdradzać tajemnicy, a tą dyskrecyą serce jéj podbija. Rzecz się kończy wesoło; a Baron w następnych słowach daje obraz prawdziwego masona:

Wolny mularz dla chluby nie prawi o cnocie,
Nigdy nie dba o pozór, kto ma rzecz w istocie.
Stały, rozstropnych zasad nie odmieni
I człowieka jedynie jak człowieka ceni.
Wiernemu bratu pomoc braterską podaje
I prawdę, gdy ją kocha, bez trwogi wyznaje.
W milczeniu dobrze czynić jest jego rozkoszą,
Żądze w nim nad rozsądkiem władzy nie podnoszą.
W nim serce—światła, światło umie serca użyć
I obudwoma pragnie współbliźnim usłużyć.
Przyszłość mając w pamięci śmierci się nie lęka,
Niższym gardzić nie umie, przed wyższym nie klęka;
A w sobie godność ceniąc, w drugich ją uznawa.
Cześć jego mają wieczną Bóg i król i prawa.

Ta publiczna już nie w kole samych wolnomularzy, ale ze sceny przed zgromadzonemi widzami ze sfer różnych wypowiedziana obrona zasad masońskich, jest szczytem działalności Brodzińskiego w zakresie mularstwa.

Dla zakonu nastały chwile niepomyślne. Z każdym miesiącem zwiększały się podejrzenia jak względem innych stowarzyszeń i związków, tak i względem masonii. Gorliwcy religijni połączyli się z obskurantami państwowymi, ażeby zohydzić w oczach rządu i ogółu towarzystwo „liberalnemi“ zasadami rządzące się. Wolnomularze naturalnie stawali w obronie swego zakonu; a najznaczniejszym w tym względzie objawem jest głośna „Podróż do Ciemnogrodu“, napisana przez mistrza Wschodu Polskiego, Stanisława hr. Potockiego. Ale i Brodziński rąk w tym czasie nie założył; lubo szczupłe, mamy jednak ślady jego wolnomularskiéj działalności piśmienniczéj w roku 1820 i 1821.

W r. 1820 miał on w loży świątyni Izydy mowę do Zeltnera, długoletniego przyjaciela Kościuszki i Polaków. obywatela szwajcarskiego, kiedy ten przybył do Krakowa za zwłokami Naczelnika, by garść ziemi rzucić na jego grobowiec, a następnie i do Warszawy zawitał. Złożywszy w słowach wymownych i serdecznych hołd wiernéj przyjaźni Zeltnera oraz cudom natury, któremi słynie jego ojczyzna, i przywiązaniu do wolności, zestawił Brodziński z tym obrazem pięknym i wspaniałym zarys własnego kraju tylu nieszczęściami skołatanego, ale zawsze wiernego temu co Szwajcarzy hasłu. „Ziomku téj ojczyzny — mówił — którą rolnik oswobodził i wsławił. przybyłeś do narodu rolniczego, który w nagrodę gościnności kmiotka królem swym obrawszy, przez wieki rodzinę jego na tronie szanował; przybyłeś do ludu, co równie jak twój gościnnością zasłynął, równie jak twój pałał dla wolności, któréj zawczesne rozwinięcie przywiodło go o nieszczęście i zgubę, który jak twój czci wiarę i ostatni walczył w jéj sprawie, co jak twój nie puszcza się z nawami na dalekie brzegi za zyskiem, ale z trzodami swojemi i pługiem szuka skarbów własnéj ziemi i jak twój zachowuje niczém niezatartą swoję prostotę, swoję miłość do zagród ojczystych.“ Kierując się zasadą, którą w mowie do Dłuskiego w roku zeszłym zaznaczył, i teraz kilku mężów lubo nie masonów, wystawia jako działających w duchu zakonu. Wielbi Tytusa Północy (Aleksandra I), który „stałością i nieszczęściami zwyciężonych ujęty, przywraca dawne imię, swobody, tron osierocony zasiada i z tronu tego ogłasza zadziwiające Europę zasady tak godne mularstwa i wieku naszego i jego wspaniałości.“ O Kościuszce powiada, że nie nosił on wprawdzie nazwiska mularza, ale że „czyny jego wojenne i domowe, jego skromność w świetności a stałość w nieszczęściu mularskie były“, że był-to „rzemieślnik, który około mularskiéj budowy bez nazwiska, bez odbierania nadgrody nie ustawał pracować.“ Zwracając się wreszcie do Zeltnera wprost jako do przyjaciela Kościuszki w imieniu wolnomularzy, położył nacisk na głębokie uczucia narodowe wolnomularzy: „My błogosławimy związkowi naszemu, że nie tylko jako bracia podróżnemu bratu mamy sposobność oświadczyć zakonną życzliwość, ale że nadto jako mularze, ojczyznę i jéj obrońców nad życie kochający, możemy ci w tym skromnym przybytku, godnym jednak twojéj i twego przyjaciela skromności, złożyć tę najczulszą narodową wdzięczność za rozrzewniające twoje przywiązanie do znakomitego ziomka naszego“ (1).

(1) Mowa ta znajduje się w Pismach Brodzińskiego, ale znacznie skrócona i z opuszczeniem lub przeróbką ustępów wolnomularskich. Ja podałem tu wyjątki według odpisu z autografu, który się znajdował w zbiorach H. Skimborowicza.

W roku 1821 nareszcie znajdujemy w „Pamiętniku Warszawskim“ (t. I, 79—109), którego współredaktorem był wtedy Brodziński, artykuł „O towarzystwie wolnych mularzy“, przełożony z niemieckiego, a podający oprócz krótkiego zarysu historycznego bardzo pochlebną ocenę działalności zakonu, jako „jedynego związku, poświęcającego się wyłącznie czystéj ludzkości i czynnie torującego drogę przyszłym, wyższym dążeniom społeczności ludzkiéj.“ Artykuł ten widocznie w myśli obrony zakonu pomieszczony, redakcya zaopatrzyła bardzo znamiennym przypiskiem. W pierwszéj jego części wyraziła swe spółczucie dla zakonu a zarazem potępienie spotykających go zarzutów: „Nie tylko w Polszcze—pisano tu—ale i w innych jeszcze krajach europejskich, gmin przywiązuje do wyrazu *farmazon* toż samo znaczenie, co do słowa czarnoksiężnik, albo człowiek w zmowie z dyabłami będący... ale gmin jest wszędzie gminem.“ W drugiéj części przypisku, wywołanéj niewątpliwie wymaganiem cenzury ówczesnéj, obiecała redakcya pomieścić późniéj drugi artykuł o wolnomularstwie, a wystawiający szkodliwy wpływ tego związku na religijność“; ale tego się nie doczekano....

Nadchodził czas, kiedy zabiegi gorliwców i „obskurantów“ odnieść miały zwycięstwo; państwo uznało związek masoński za szkodliwy, rząd kazał w r. 1822 zamknąć wszystkie loże wolnomularskie; odtąd nawet wspominać o nich przez czas długi nie było wolno. Rzecz naturalna, że i Brodzińskiego działalność wolnomularska niemniéj piękna i szlachetna jak i całe życie poety ustala, a w Pismach jego zbiorowych wtedy drukiem ogłoszonych, nie ukazały się nawet jéj ślady.

P. Chmielowski.





LARIK.

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH, Z MOTYWÓW DZIEJOWYCH.

AKT DRUGI.

Scena przedstawia jedną z dróg, wiodących do nowozbudowanego z drzewa amfiteatru, w którym właśnie odbyć się mają pierwsze w tem mieście igrzyska na sposób rzymski. Na tylnym planie, w oddali, widać ów amfiteatr. Na samym przodzie sceny, przed drogą, murawa. Tło obrazu z zieleni i nieba.

SCENA I.

WAR, PAN i SAK.

War. No i cóż?

Pan. Dobrze. Kogom tylko spotkał z młodych, wszyscy się zgadzają, że nadeszła godzina wyzwolenia.

Sak. Ja rozdałem trochę mieczy.

War. Trochę — to mało. Ale to nic, bo lud ma broń, choć w ukryciu. Gdy przyjdzie czas, wydobędzie ją. Gdzie Friland?

Pan. Nie wiem.

Sak. I ja nie wiem.

War. Uważacie — Friland chce cyrk spalić?!

Pan i Sak. Spalić?

War. Nie spodoba wam się to?

Pan. To nam może pokrzyżować szyki.

War. Nie obawiaj się. Wysłałem kilku ludzi, aby po drogach odwodzili lud od widowiska. Ci, co pójdą, nie warci są życia.

Sak. To prawda. Rzymianie chcą w nas wmówić, że nam jest dobrze. Ci, którzy tam pójdą, mają widocznie ochotę w to uwierzyć.

War. Z pewnością! Nie wiem, czy się Friland nie zawaha w ostatniéj chwili, ale wątpię. Jest to dzielny chłopak. Wczoraj Kuno był u mnie i on to w rozmowie powiedział, że gdyby ten cyrk spłonął podczas widowiska, stałoby się nieszczęście. Ńikt na tę myśl nie zwrócił uwagi. Ale potém, gdy Kuno wyszedł, przypomniał ją sobie Friland i uczepił się jéj. Nie odwodziłem go, owszem dałem przyzwolenie. Kuno ani przypuszcza pewno, w co się jego przelotne słówko obróci.

Sak. W ruiny i zgliszcza. Więcéj nam takich słów potrzeba. Niech żyje Kuno!

War. Więcéj takich czynów, powiedz i nie zapominaj, że czyn wyjdzie z mojéj woli.

Sak. To mi już wszystko jedno, byle się spełnił.

War. Ale mnie nie wszystko jedno.

Sak. Mniejsza z tém.

War. Proszę cię raz na zawsze, nie rozdrażniaj mnie.

Sak. No—dobrze, dobrze....

War. Powtarzam, na wszelki wypadek trzeba zawracać idących. Czém mniéj będzie, tém lepiéj, a ci, co pójdą, przekonają się, jak dalece głupia ich ciekawość była nie na miejscu.

Pan. Lecz jeżeli się wyda, że to nasza sprawa?

War. Jeżeli się wyda? Ha, to trudno! Jeżeli się wyda, może będziemy zmuszeni odrazu za broń chwycić. To jest w każdym razie lepsze, jak pozwalać na widowisko. Kilka takich widowisk, a możemy stracić połowę sprzymierzeńców.

Sak. Masz racyę. Lud jest głupi jak dziecko.

Pan. Może to i prawda.

Sak. Tak jest! To wszystko na zgubę naszą! Chcą nas rozdwoić! Zdławili nas, obdarli, wyssali wszystkie soki z narodu—i teraz chcieliby, abyśmy zapomnieli o tém, abyśmy ich pokochali! Czy ich nie znasz jeszcze! Wiedzą, że Galgakus się zbliża! Chcą lud przekupić! Jeżeli ciągle będziemy na to pozwalali, zginiemy z rąk motłochu!

War. Tak, nie możemy zwlekać.

Sak. Idę podburzać tłum. Będę z drogi zawracał! Hańba byłaby, żeby się to widowisko udało!

War. Masz racyę! Zaczekajno. W którą stronę pójdziesz?

Sak. Pójdę tu, ku cyrkowi (*wskazuje na prawo*).

War. A ty, Pan?

Pan. Ja także pójdę. Kiedy inaczéj być nie może, niechże tak będzie. Mówiłem przez ostrożność. · Ale skoro powiadacie, że tak trzeba robić, poddaję się. Pójdę w tę stronę (*wskazuje na lewo*).

War. A więc idźcie (*rozchodzą się w przeciwnych kierunkach*).

Sak (*odchodząc*). Zaraza na tych zbrodniarzy!

SCENA II.

WAR.

War. Gdy Friland podpali cyrk, steroryzowany motłoch nie będzie śmiał nam się sprzeciwiać. To już będzie wielki zysk. A potém co? Co daléj? Jakoś to będzie! Nie mogę się oryentować w położeniu, którego nie znam. Zobaczymy, jakie to wrażenie sprawi. Zastęp młodzieży, posłusznéj na moje skinienie, jest znaczny. Męstwa tylko, męstwa nam potrzeba (*wchodzi Kuno*).

SCENA III.

WAR I KUNO.

Kuno (*wchodząc*). Czołem, War!

War. Witaj, Kuno!

Kuno. Szukam cię. Czy to prawda, że kazałeś cyrk spalić?

War. Przyszedłeś tu, aby zarażać mnie swoim przestrachem? Wszak sam mówiłeś wczoraj, że cyrk może spłonąć.

Kuno. Powiedziałem, że byłoby to nieszczęście.

War. Które chciałbyś odwrócić! Co, tak?

Kuno. Nie, War. Wiem, że cokolwiek zrobisz, jest dobre. Ale pragnę wiedzieć, czy to prawda?

War. A więc prawda!

Kuno. I w jakim celu?

War. Co znaczy to badanie?

Kuno. Dowiesz się zaraz, ale błagam cię, powiedz mi!

War. W jakim celu? W tym celu, aby usmarzyć niektórych Rzymian i tych łajdaków z naszych, którzy tam pójdą dzisiaj, i którym wogóle zdaje się, że im jest pod Rzymianami dobrze. Oto w jakim celu!

Kuno. Dziękuję ci!.. War, nie gniewaj się za to, co powiem. Ale widzisz, nie z siebie mówię, lecz przysłał mnie tu człowiek doświadczony, któremu można ufać. Twój cel jest dobry. Czy jednak nie byłoby także dobrze, żeby winę spalenia na Rzymian zwalić? Wybacz War... ja nie śmiałbym ci rad dawać... Wiem, że sam wszystko przewidzisz. Ale czy nie byłoby dobrze mówić potém ludowi, że to Rzymianie podstępnie sprowadzili lud do cyrku, aby go wygubić? Pomyśl nad tém. Lud dałby wiarę i odrazu mógłby się obrócić przeciwko Rzymianom. Tym sposobem miałbyś odrazu

w swoich szeregach tych, których dziś musimy straszyć dlatego, że się ich sami obawiamy.

War. Kto ci tę myśl poddał?

Kuno. Nie mogę ci powiedzićć, nie pytaj. Jeżeli ci się wydaje dobrą, skorzystaj z niéj...

War. Myśl jest dobra. Rzeczywiście dobra. Nie lubię cudzych pomysłów, ale ten, chociaż nie mój, jest dobry.

Kuno. Wszak kazałeś odwodzić lud z drogi?

War. Kazałem.

Kuno. Czy wiedzą twoi ludzie, że cyrk spłonie?

War. Nie wiedzą.

Kuno. Więc, jeżeli pozwolisz, poszedłbym uprzedzić po drogach, żeby wogóle, podburzając tłum, zapowiadali, że cyrk ten źle wróży, że się źle skończy, i że jest podstępnym wymysłem. Ten sposób mówienia będzie najwłaściwszy i najbliższy do takiego przedstawienia rzeczy, jakie przed chwilą uznałeś za trafne. Czy pozwalasz?

War. Dziękuję ci, Kuno. To jest doskonały pomysł. Tak, tak, choć nie mój, ale wyborny. Dziękuję ci i pozwalam. Nie potrzebujesz mówić, że cyrk spłonie. O tém najlepiéj aby mało kto wiedział. Ale niech po drogach zapowiadają tak wogóle, że się coś złego stanie, że Rzymianie coś złego na naszych umyślili — rozumiesz? tak wogóle. Ja także się tém zajmę i wydam odpowiednie polecenia. Patrzaj, oto już lud zaczyna ciągnąć. Do zobaczenia się.

Kuno. Niech się bogowie tobą opiekują. (*War wychodzi na lewo*).

SCENA IV.

KUNO.

Kuno. Stało się, jak chciał ojciec. War, dumny War, który odrazu na dyktatora urósł, gnie się przed tajemniczą jego potęgą. Larik jak Bóg niewidzialny rządzi nimi. Musi też wola bogów przez niego przemawiać... Lud się zbliża.

SCENA V.

(Wchodzą od lewéj strony pierwsze grupy ludu, zdążającego ku amfiteatrowi: mężczyźni, kobiety, dzieci, w różnobarwnych strojach. Rozmawlają, śmieją się, gestykulują).

KUNO I LUD.

Kuno. A dokąd to, ludzie?

Głos. A do cyrku na widowisko.

Kuno. A nie boicie się?

Głos inny. Czego się mamy bać?

Kuno. Czego się bać? To już ja wiem czego, i dlatego idę do domu a nie do cyrku. Wam też radzę, zróbcie to samo. Komu życie miłe, niech idzie do domu, a nie do cyrku. To wam radzę po przyjacielsku.

Głos. Ale dlaczego?

Kuno. Nie pytaj się, tylko bądź kontent, że ci dobrze radzę.

Głos inny. Może i dobrze. Ale ktoś ty taki? Jeżeli chcesz, żebyśmy ci na gębę wierzyli, powiedz, ktoś ty taki?

Głos trzeci. Gdzieś ja go widziałem!

Kuno. Ja jestem taki, który dba o wasze życie. A jeżeli wy sami o nie nie dbacie, no, to idźcie do cyrku — bywajcie zdrowi! (*wybiega na prawo*).

Głos. Poczekaj no... Poleciał!.. Co to znaczy?

Głos 2. Ot, frant jakiś chciał z nas zakpić.

Głos kobiecy. Pewno.

Głos 3. Co może być niebezpiecznego?

Głos kobiecy. To też nie zważajmy, tylko chodźmy!

Głosy zmieszane. Chciał z nas zadrwić! Chciał z nas zadrwić! (*śmieją się wszyscy*).

Głos 4. Patrzcie no, patrzcie!

Głosy zmieszane. Patrzcie, patrzcie!

SCENA VI.

(Od prawéj strony wchodzi herold z długim drągiem, na którego wierzchołku umieszczona jest tablica z rysunkiem walki dwóch ludzi. Ubrany jest czerwono. Ze wszystkich stron otacza go zgraja małych uliczników, szturchających się wzajem, skaczących i przedrzeźniających herolda).

Herold (*zatrzymując się, woła do ludu*). Po raz pierwszy na téj wyspie! Walki gladyatorów, umyślnie sprowadzonych z Rzymu!

Jeden z uliczników (*przedrzeźniając piskliwym głosem*). Walki gladyatooorów!

Ulicznicy chórem. Walki gladyatorów! Sprowadzonych do Rzymu!

Herold. Precz szczeniaki! bo was porozdeptuję! (*zamierza się na nich drągiem i kopie w powietrze nogą za cofającymi się. Lud wybucha śmiechem*). Walka brytańskiego zbrodniarza z tygrysem! Gonitwy młodzieży!..

Jeden z uliczników (*jak poprzednio*). Gonitwy młodzieży! Łapaj! Trzymaj! (*Lud wybucha śmiechem*).

Herold (*czyniąc to samo, co poprzednio*). A pójdziesz, szelmy! Bodaj wam języki powypadały! (*Lud śmieje się*).

Głos z ludu (*do Herolda*). Za krótkie masz nogi, przyjacielu!

Głos 2. Nadsztukuj je sobie drągiem!

Głos 3. Albo głową stań na drągu, a nogi weź do góry! (*Lud wybucha śmiechem*).

Głos 4. Stań na drągu!

Ulicznicy. Stań na drągu! Stań na drągu!

Herold. Wasze szczęście, że nie mam wolnych rąk. Zbieralibyście tu swoje zęby, psie syny (*powstaje wrzawa*).

Głos (*do Herolda*). Milczéć, kundlu!

Herold (*nie zważając na wrzawę, oddala się zwolna i krzyczy tak głośno, aby wszystkich zagłuszył*): Gonitwy młodzieży! Niebywałe widowisko! Pierwsze na téj wyspie! Śpieszcie się! Gromadźcie się!

Ulicznicy (*wyskakując naokoło niego i przedrzeźniając*). Niebywałe widowisko! Pierwsze i ostatnie! Śpieszcie się, śpieszcie! (*Herold a za nim ulicznicy i pewna część ludu wychodzą na lewo. Pozostali śmieją się hucznie*).

SCENA VII.

LUD: kobiety, mężczyźni, dzieci. HEROLD BŁĘKITNY.

Głos 1. Chodźmy za nim!

Głos 2. Chodźmy za nim, to gladyator!

Głos 3. Walczący ze szczurami! (*śmiech, niektórzy wychodzą za Heroldem*).

Mąż (*do żony*). Może i my chodźmy?

Żona. Ot, nie widziałeś! Śpieszmy się lepiéj, bo późniéj miejsca nie dostaniemy (*wskazując cyrk*). Widzisz, co tam już narodu.

Głos męzki. Ma racyę. Śpieszmy się, bo możemy nic nie zobaczyć.

Mąż. No to chodźmy!

(*Przebiega przez scenę, od prawéj strony, inny herold, ubrany błękitno, który woła*):

Herold 2. Walka gladyatorów rzymskich! Walka... (*znika*).

Chłopczyk. Mamo, co on woła?

Matka. Zobaczysz późniéj (*do męża*): Czego marudzicie, chodźmy już. Gdybyśmy się spóźnili, tobym ci oczy wydrapała.

Mąż. No zaraz, zaraz, cóż ci tak przypiliło!

(*Wchodzi z téj saméj strony, co heroldowie, mężczyzna*).

Przybyły (*zatrzymując idących*). A gdzie to idziecie? Do cyrku?

Głos męzki. A ty już z cyrku?

Głos kobiecy. Może odłożone? Może nic nie będzie?

Przybyły. Czyście nic nie słyszeli?

Głos męzki 2. Wołali tu, żeby się śpieszyć.

Przybyły. Nie o to idzie. Mówili mi po drodze, że podobno ten cyrk to zasadzka na nas.

Głos męzki. Jaka zasadzka? I nam tu jakiś mówił, że niebezpiecznie chodzić do cyrku, aleśmy nie wierzyli.

Przybyły. Otóż właśnie podobno lepiéj tam nie chodzić, podobno te tygrysy wypuszczą na lud!...

Głos kobiecy. Eeh, co tam takie głupie gadanie, chodźmy oto...

Głosy męzkie. Kto ci mówił? Kto ci mówił?

Przybyły. Precz o tém ludzie gadają na drodze. Dziwię się, żeście nie słyszeli. Mówili, że podobno te siedzenia tak urządzone, żeby się zawaliły i żeby nas podusiło...

Głos kobiecy. Kto ci to mówił! Pewno drugi taki sam jak i ty. Chodźmy! Albo to tam nie będzie ludzi!

Głos inny. Toć tam i Rzymianie będą.

Głos 2. Przecie!

Głos 3. Chodźmy.

Głosy zmieszane. Chodźmy! Przekonamy się!

Przybyły. Może to i nie prawda!

Głos kobiecy. Głupim takie rzeczy gadaj!

Przybyły. No, to i ja idę z wami. (*Wychodzą, za nimi nadciągają grupami inni, i przesuwając się przez scenę, wskazują na amfiteatr oraz rozmawiają*).

SCENA VIII.

(W jednéj z grup idzie trzech młodzieńców, wytwornie z rzymska ubranych, rozmawiając).

PUK, MOL, RAK, późniéj BOB.

Puk. Wyobraźcie sobie, wybrali mnie na arbitra?

Mol. Nie może być!.. Ale czekajno, jakeś ty tę togę włożył!

Rak. Prawda. Cha, cha, cha, arbiter nie umie nosić togi!

Puk. Jakże ją mam nosić?

Mol. Gawronie, na lewém ramieniu a nie na prawém.

Puk. No to popraw no mi, mój kochany. Zejdźmy tu na bok... bo-bym się zbłaźnił. To przez nieuwagę...

(*Podchodzą na front sceny, po za nimi rzadkiemi grupami lud ciągnie zawsze w jednym kierunku -- na prawo*).

Puk (*do Mola*). Więc jakże to?

Mol. Czekajże! (*zaczyna układać i drapować togę i czyni to przez cały ciąg dalszéj rozmowy*). Jeżeli takim byłeś arbitrem jak elegantem, to wolałbym cię w chlewie widzieć niż za stołem.

Puk. Co ty tam wiesz! Powiadam wam, że mnie sami wybrali.

Rak. Jeżeli nie łżesz...

Puk. Jednogłośnie!

Rak. I któż tam był?

Puk. Było nas ośmiu — pięciu civesów z kohorty Legata, ja i jeszcze dwóch naszych. Kiedy Mucius wstał i, wymawiając moje imię, dodał: on będzie naszym arbitrem! — wszyscy wykrzyknęli: vivat Puk! vivat arbiter bibendi!

Mol (*wciąż drapując*). A kto fundował?

Puk. Ja.

Rak. Ty?

Puk. Naturalnie, że ja! Skoro mnie obra.... to jest ponieważ mnie obrali.... to jest....

Mol i Rak (*zaczynają się śmiać*). Cha! cha! cha!

Puk. No czegóż się śmiejecie?

Rak. Dobrze trafili! Cha, cha, cha! Puk, przepowiadam ci, że twoja ambicya cię zgubi. Jesteś zagłupi, aby cię mogła wywyższyć. (*Rak i Mol śmieją się*).

Puk (*do Mola*). Mój kochany, dokończ-no!

Mol. Już dobrze, panie arbitrze!

Puk. Dobrze? (*spogląda po sobie*).

Mol. Doskonale.

Puk. Wcale ładnie. Mol ma zdolności. (*Śmiejąc się*): Cha, cha, cha! No, to jazda. Będzie tam Sexta, wiecie, ta, cośmy ją wczoraj pod lasem spotkali. Kiep jestem, jeżeli po widowisku nie pójdzie z nami na bibę. Gotówem być jeszcze raz arbitrem.

Rak. Czy i amfitryonem?

Puk. Na bibie, czém chcecie. Ale po bibie, chciałbym, aby Sexta była amfitryonką a ja arbitrem. Z dziewczętami lubię być arbitralnym! (*Od idącego tłumu oddziela się młodzieniec i zbliża się do grupy trzech*).

Bob. Zdrowia! Co tu robicie?

Puk. A, Bob! Jak się masz! Idziemy na hecę!

Bob. No to chodźmy, bo i ja idę. Jak się macie! (*wita się za ręce*). Ale! Czyście słyszeli najświeższą nowinę? Maro żeni się z córką Larika!

Puk. Kpisz!

Bob. Me Herkule! Słyszałem to od Lidyi.

Puk. Ależ ta dziewczyna nie ma za miedziaka gracyi. To jest panna z obory! Jak ona się ubiera!

Mol i Rak. A to ciekawe!

Bob. Będzie dziś zapewne na igrzyskach, to ją zobaczymy.... Chodźmy.

Puk. Jestem zgorszony!

Mol (*idąc*). A przekonacie się, jak się ta klępa będzie dęła, gdy wyjdzie za patrycyusza!

Bob. Ale to się wie! Jestem zgorszony!

SCENA IX.

(Wchodzi, dążąc ku cyrkowi, orszak wielmożnego Rzymianina. Na przodzie dwie młode kobiety w lektyce, za niemi on sam z żoną w drugiéj lektyce. Wokoło służba i lud. Bob spostrzega orszak i mówi).

Bob. Patrzcie, patrzcie, Pina wali do cyrku!

Wszyscy. Prawda! (*stają w szeregu i zaczynają się nisko kłaniać*).

Puk (*kłaniając się*). Zdrowia waszéj dostojności!

Wszyscy (*kłaniając się*). Zdrowia waszéj dostojności!

(*Pina daje znak, lektyki zatrzymują się*).

Pina. Zdrowia waćpanom! Jak się macie!

Mol. Polecamy się waszéj łasce!

Rak. Niech się bogowie wami opiekują!

Pina. Dokąd to młodzież, do cyrku?

Puk. Do cyrku, dostojny panie...

Pina. A no to może będziecie nam towarzyszyli.

Wszyscy (*kłaniając się*). Zaszczyt to dla nas!

(*Pina skinął, orszak rusza*).

Pina. Pogoda sprzyja. Moje kobiety rade są, że im się Rzym przypomni.

Żona Piny. Panowie nie znacie jeszcze takich zabaw?

Puk (*z galanteryą*). My?.. O, my... (*orszak znika*).

SCENA X.

(Z wielką wrzawą wchodzi od lewéj strony gromada ludzi, a w pośród niéj jeden ze spiskowców, który przemawia. Tymczasem tłum powoli wzrasta).

Głos z tłumu. Dobrze mówi!

Głos 2. Nie warto się narażać!

Głos 3. Kto łatwo wierzy, ten łatwo ginie!

Spiskowiec. Tak jest, przyjaciele! Ujarzmili nas, uczynili z nas niewolników! A teraz budują cyrk i mówią, że chcą rozproszyć nasze smutki, jeżeli mamy smutki! Czy je mamy? Na bogów nieśmiertelnych! A czyj to chleb jedzą, czyją krwią się tuczą Rzymianie, jeźli nie naszą?! Czy mamy smutki? Na bogów nieśmiertelnych! a z kogo to podatek ciągną, jeżeli nie z nas! I komu każą sobie stopy lizać, i komu na twarz po ulicach plują, jeżeli nie nam! I komu każą się weselić pomimo ucisku, nędzy i niedoli, komu, jeżeli nie nam! (*Lud wybucha głośnym okrzykiem*).

Głosy zmieszane. Nam! Nam! Niech się zapadnie ten cyrk!

Spiskowiec. Ludzie! Ci, co nam mówią, że ten cyrk jest zasadzką, dobrze mówią. Czy chcecie marnie zginąć, jak karmne bydlęta? Czy wasze ręce już się nie mają na nic przydać ojczyźnie? Ludzie! Zbliża się czas! Żelazo nie chodzi samo! Niech wasze ręce będą gotowe nosić żelazo! Niech się zapadnie ten cyrk, ale nie nad naszemi głowami!

Głos. Niech się zapadnie!

Chór głosów. Niech się zapadnie! Do domu!

Spiskowiec. Przyjaciele!...

(*Od prawéj strony wchodzi Sak na czele gromady ludzi, których z drogi zawrócił*).

SCENA XI.

SAK, SPISKOWIEC i LUD.

Sak (*wchodząc i przerywając poprzedniemu mówcy*). Do domu wracajcie!

Lud. Do domu! To podstęp na nas! Do domu!

Sak. Bracia! To gorzéj niż podstęp! Choćby nas tam nie wygubili, nie możemy weselić się z nimi! Czy mało nam jeszcze hańby, abyśmy jéj więcéj szukali! Czy krew, wylaną przez męczenników, mamy obmywać z téj nieszczęśliwéj ziemi łzami wdzięczności dla wroga? Bracia, nasi bogowie shańbieni! Sprowadzili tu bogów swoich! Nasi bogowie shańbieni! Nasi bogowie strasznie nam grożą i straszne zemsty na nas gotują i straszne plagi szykują, od których ziemia będzie drżała w swojéj oprawie! A my się mamy weselić z wrogami? Mamy świat przekonywać, że nam jest dobrze w niewoli? Choćby nam świat uwierzył, bogowie nie uwierzą! Bogowie nie uwierzą, którzy dziś płaczą nad pohańbieniem własném i nad naszém! Gdzie wasza stara wolność, Brytanie! Oto Galgakus z wojskiem idzie, Brytania powstaje! A my będziemy wołali *ave!* na cześć Legata?! Zguba Rzymianom! Przekleństwo zdrajcom, którzy się z nimi bratają!

Lud (*groźnie*). Zguba Rzymianom! Niech żyje Galgakus!

Głos. Ludzie! Nasi bogowie shańbieni!

(*Powstaje zgiełk, tłum gromadnie wychodzi na lewo*).

SCENA XII.

(Od lewéj strony, podczas gdy lud wychodzi, wpada jeden ze spiskowych, który, spostrzegłszy Saka, podchodzi wprost do niego i mówi niespokojnie).

SAK, DWÓCH SPISKOWCÓW i LUD.

Spiskowiec 2. Sak, tą drogą Legat zdąża do cyrku! Niepodobna tędy prowadzić ludu!

Sak. Czy są daleko jeszcze?

Spiskowiec 2. Za chwilę tu będą!

Sak. No, to leć... czekaj-no... Rzeczywiście, mogliby nas pojmać, jako wichrzycieli, a lud napowrót zapędzić do cyrku. Leć tam (*wskazuje na prawo*) i sprowadzaj ich na boczną drogę. Ja pokieruję tymi.

Spiskowiec 2. Dobrze, (*odchodząc*) tylko się śpiesz, bo może być zapóźno. (*Rozchodzą się: spiskowiec na prawo, Sak zaś na lewo, wyprzedzając ostatnie grupy ludu*).

SCENA XIII.

(Wchodzi Herold, ubrany żółto, patrzy przez chwilę za odchodzącymi, potém woła).

Herold 3. Walka brytańskiego zbrodniarza z tygrysem!... Co u djabła! Gdzie ci idą! którędy? Coś się strasznie przerzedziło. Na całéj drodze psa niéma. Gdzie się to robactwo pochowało! Pewno się tałałajstwo zlękło tygrysów...

(*Pojedyńczy człowiek przechodzi drogą ku cyrkowi*).

Herold 3. (*na stronie*). Daléj go! (*woła*): Walka brytańskiego zbrodniarza z ty-gry-sem!... Pewno cap zawróci, jak o tygrysie usłyszał, cha, cha, cha!.. Prawdę mówiąc, nasz Legat psuje ten motłoch. Odrazu myślałem sobie, że to chamstwo nie warte takich zabaw. Ale ja wiem swoje, a pan Legat swoje. Chiiiii! będzie z tego buncik, jak mi życie miłe będzie buncik — a żołnierzom w to graj! Zdaje mi się, że i pan Legat chciałby, żeby był buncik, bo pan Legat wielki żołnierz! Dopierobyśmy im dali bobu! Aż mnie ręka świerzbi! A prawdę mówiąc, to nawet nie ręka! Co tam ręka! Albo to już na świecie niema nic lepszego jak ręka! Chiiii! Dopieroby te brytańskie klaczki, te rumiane kobyłki, dopieroby użyły przed śmiercią! Ha! Nie żal-by im było i umierać! (*Słychać odgłos trąb*).

Herold. A to co? (*wygląda za scenę*). Rety! To pan Legat!... Uciekać?..

(*Zaczyna wchodzić orszak. Herold dla okazania gorliwości staje wyprostowany, trzymając obiema rękami drąg i wrzeszczy na całe gardło*).

Herold. Szczodrobliwość najdostojniejszego Legata! Niesłychane widowisko! Śpieszcie się! Podziwiajcie szczodrobliwość najdostojniejszego Legata!

SCENA XIV.

Legat, Branio, Larik, Maro, Filozof pokojowy, Herold, Orszak.

Legat. Złe miejsce obrałeś, przyjacielu, do obwoływania widowiska.

Herold (*klękając*). Najdostojniejszy panie, najświatlejszy Legacie, wybacz! Na wszystkich drogach jest dzisiaj złe miejsce. Człowiek woła tak, że zdaje się kamienie-by poruszył, a tych ludzi poruszyć nie może.

Legat. Czy to ma znaczyć, że mało ich będzie w cyrku?

Herold. Najdostojniejszy panie, ja sobie odrazu myślałem, że dla nich to nie warto tyle zachodu. Żeby oni byli warci, to-by się ich umiało napędzić. Ale ten motłoch boi się tygrysów. (*W orszaku poruszenie*). Prawdziwie powiadam (*wstaje*). Najdostojniejszy panie, z początku szli. A potém, jak usłyszeli o tygrysach, oho! już ich niema! To jest tchórzliwy naród. Dla nich-by trzeba wszy bić, a nie z tygrysami walczyć. Toby ich bawiło (*w orszaku śmiech i poruszenie*).

Legat (*uśmiechając się*). Twój rozum stoi na wysokości twego powołania. (*Herold klęka*).

Filozof. Jesteś wybrańcem losu!

Legat. Jesteś tak właśnie głupi, jak potrzeba, aby los twój był dla ciebie świetnym losem. Idź daléj i wołaj!

Herold (*wstając i kłaniając się*). Najdostojniejszy Legacie... boski panie... (*odchodzi*).

SCENA XV.

Ciż bez Herolda.

Legat. Czy rzeczywiście mało będzie ludzi na widowisku?

Głos z orszaku. Zdaje się, że niewiele.

Filozof. Co jest nasze „dużo“ w porównaniu z nieskończonością?! Jest to samo co mało. A ponieważ „mało“ znaczy tyle co „dużo“, więc w każdym razie będzie ich dużo (*śmiech w orszaku*).

Legat. Pocieszyłeś mnie. Szkoda tylko, że się to do ciebie nie stosuje. Gdyby twoja wielkość wyrównywała twojéj małości, byłbyś największym z ludzi.

Filozof. Nie mam pretensyi. Mojéj małości wyrównywa zaledwie wielkość wielkich tego świata.

Legat. Strzeż się! W nicości się rozpłyniesz za tyle pokory.

Filozof (*krzyżując ręce na piersiach*). Ty mnie ochronisz—ufam w twoją przyjaźń.

Legat. Moi panowie, skoro się lud jeszcze nie zebrał, to wstrzymajmy się tu przez chwilę. Zostawmy im trochę czasu.

Głosy. Bardzo słusznie.

Legat. Czy uważacie, jaka prześliczna odkrywa się ztąd panorama na cyrk.

Głosy zmieszane. W istocie... Czarujący widok!

Filozof. Wasza dostojność obierałeś miejsce, to już dosyć!

Legat. Moi panowie, choćby nam się ta pierwsza próba nieświetnie udała, nie martwiłbym się. Wszelki początek jest trudny. To nie powstrzyma nas od kierowania się zasadami pokojowéj polityki, jaką dla kraju tego zakreślił prokonsul. Na wyspie bunt wre jeszcze. Ale ten kraj już uspokojony, i niéma obawy nowych zaburzeń. Możemy więc być tutaj nie wojownikami, lecz ludźmi. Spodziewam się, że starszyzna brytańska, którą tu widzę, będzie nas w dążeniach naszych popierała.

Larik (*kłania się*).

Branio. Ze wszystkich sił, panie.

Legat. Pragniemy wam zaszczepić obyczaje rzymskie.

Larik. I mowę!

Legat. I mowę.

Larik. I ubiór!

Legat. I ubiór. Larik pojmuje o co idzie.

Larik. Pojmuję, panie.

Legat. Tak jest. Niech się Brytanie rozmiłują w pokoju i w słodkich rozkoszach jego. Nie uczyni ich to zdolnymi do panowania, wyznaję. Ale uczyni z nich dobrych poddanych Cezara, oceniających dobrodziejstwa silnych jego rządów.

Branio. Święte słowa.

Legat. Lud, zajęty pracą i używaniem, przestanie być niebezpiecznym. Ale, jeżeli przyjaźń wasza jest szczerą, powinniście być temu radzi. Szczera przyjaźń nie ubezpiecza się na wypadek nieprzyjaźni.

Branio. Święte słowa. Oby wszyscy tak myśleli.

Legat. Czyżby kto myślał inaczéj? Lariku, a ty jak myślisz? Jesteś coś dzisiaj bardziéj milczący niż zwykle.

Larik. Milczę, bo ty mówisz, panie.

Legat. Chciałbym wiedzieć, jakie jest twoje zdanie?

Larik. Dostojny panie, co się zmienia—ginie. Pączek się zmienia w kwiat i w kwiat się przeradza; lecz kiedy kwitnie kwiat, już niema pączka. A kiedy z kwiatu rozwinie się owoc, niema już kwiatu. Dostojny panie, zmienić ten naród to znaczy go zgubić. Zrobić go tém, czém nie jest sam przez siebie, znaczy to zrobić to, że go nie będzie. Dostojny Legacie, kto przyjacielem Rzymu, temu nie zależy, aby nasz naród był. Przyjaciel Rzymu chcieć musi powodzenia Rzymu, a powodzenie Rzymu, to tryumf jego nad światem. Dlatego każdy przyjaciel Rzymu musi się cieszyć z twojéj polityki.

Legat. Dobrześ skończył, choć nie szczególnieś zaczął. Zmienić, to zgubić? Czy w tém jest logika? Filozofie, coby na to powiedział Aristoteles?

Filozof. Najprzód ci powiem, co jabym powiedział. Gdyby starzejące się kochanki obowiązkowo umierały, uważałbym taką logikę za świetną.

Legat. Zdaje mi się, że twój starzejący się dowcip je wyręcza— i umiera.

Filozof (*kłaniając się*). Póki twój żyje, ziemia śmiać się będzie.

Legat. Z błaznów, dla których najbłahszy problemat jest górą nie do przebycia. Cóż u licha! Zmienić to zgubić? Moje psy zmieniają maść, a żyją.

Filozof (*do Larika*). No, przeskocz ten problemat.

Larik (*do Legata*). Chciałbym, abyśmy byli psami waszéj dostojności.

Filozof. Lariku, będziesz nazwany subtelnym!

Legat. Co to ma znaczyć?

Filozof. Że pod pewnym względem nie są oni psami waszéj dostojności, jeżeli się nie mylę....

Larik. Nie... Powiadam tylko, że istoty psa nie stanowi maść; ale istotę narodu stanowi to, co chcemy zmienić.

Legat. To jest zgubić!

Larik. To jest zgubić.

Legat. Jest coś ostrego w tych słowach. Jest w nich myśl, ale niéma człowieka. Po tych słowach wiem, że masz głowę, ale nie wiem, co czujesz.

Larik. Dostojny panie, owszem....

Legat. Dostojny Lariku, kto pracuje na zgubę czegoś, nie jest tego czegoś przyjacielem. Powiadasz, że zmiany prowadzą do zguby? Ergo, według twego zdania, jesteś nieprzyjacielem swego narodu, jeźli tych zmian pragniesz....

Larik. Ja....

Legat. ....Albo téż jesteś nieprzyjacielem naszego, jeźli ich nie pragniesz.

Larik. Dostojny panie....

Legat. Dostojny Lariku, tu niema innego wyjścia. Sądziłem, że każdy z was powinien tych zmian pragnąć właśnie przez życzliwość dla swoich, bo wszelka inna droga byłaby dla was twardszą.

Larik. Legacie, źle zrozumiałem twoje zapytanie. Gdybym był wiedział, że chodzi o określenie stanu moich uczuć, mówiłbym o moich uczuciach.

Legat. Wolałbym, żeby uczucia twoje mówiły o tobie.... Dosyć!.. Braniol Miałeś mi dziś powierzyć jakąś tajemnicę. Chcę cię wysłuchać. Mów głośno—wszyscy się tu znamy.

Branio. Wybacz, Legacie, nie wszyscy się znamy. To, co powiem, przekona cię niestety....

Legat. Słucham.

Branio. Panie, nic boleśniejszego, jak zawieść się na przyjacielu. Ale, skoro już do tego przyszło, trzeba umieć wyrzec się przyjaźni dla honoru.

Legat. Co przez to rozumiesz?

Branio. Larik był kiedyś moim przyjacielem...

Legat. No?

Branio. Ale przekonałem się, że należy do buntowniczego spisku, i mam sobie za święty obowiązek uprzedzić cię o tém.

Legat. Larik?

Branio. Tak jest, dostojny panie. Czy uważałeś, jak podstępnie mówił przed chwilą? Każdy przyjaciel Rzymu winien się cieszyć z takiéj polityki! Ale kto jest przyjaciel? Oto pytanie, kto przyjaciel? Może Larik przyjaciel? Oddaje on niby córkę Maronowi. Lecz to jest udanie. To maska, którą niechętnie przywdział i którą radby każdéj chwili zrzucić.

Maro. To fałsz!

Branio (*do Legata*). Przysięgam ci, że prawdę mówię, bo nie masz wierniejszego nademnie sługi. Larik to jest sprawcą, że lud dziś stroni od cyrku. Jego ludzie po drogach chodzili i odmawiali idących, zapowiadając jakiś podstęp ze strony Rzymian (*szmer w orszaku*).

Legat (*do Larika*). Cóż ty na to?

Branio. Jego syna sam w tłumie widziałem! Zabij mnie, jeżeli kłamię! Nie dosyć na tém! Wiesz, panie, że pojmano cudzoziemskiego szpiega. Mam silne poszlaki, że to był wysłaniec tego... tego Galgaka, bodaj go właśni wspólnicy zamordowali. Otóż ten wysłaniec przybył do Larika, aby się z nim porozumieć co do spisku!

Legat. Branio, ostrożnie. Gdyby to, co mówisz, nie było prawdą, ciężko byś mi odpokutował za taki wymysł! Zkąd to wiesz?

Branio. Przysięgam na duszę, że mówię według sumienia, i tak, jak mi się zdaje!..

Legat. Ah, jak ci się zdaje!

Branio. Panie, klnę się na co chcesz, panie, przekonasz się, czy mi się zdaje. Spełniam mój obowiązek. Skoro nie wierzysz, że syn jego podburzał dziś tłum przeciwko Rzymowi, postawię ci świadków! Panie...

Legat. Jeżeli to prawda, to zaiste, biada Larikowi. Ale nie chce mi się w to wierzyć. (*Do Larika*): Dlaczego się nie bronisz? Co odpowiesz na to śmiałe oskarżenie?

Larik. Gdyby mi słowa w ustach nie zamarły z gniewu, powiedziałbym już dawno, że jest równie kłamliwe jak śmiałe.

Branio. Nic innego nie możesz powiedzieć! Ale dowody cię potępią!

Larik. Mnie potępią? Legacie! Daję ci życie moje w zastaw, i mojego syna życie i mojéj córki! Jeżeli jeszcze dziś, nim słońce zajdzie, jeżeli cię dziś nie przekonam, że nie ja. ale mój oskarżyciel jest zdrajcą, uczynisz ze mną podług swojéj woli.

Branio. To fałsz!

Larik. Nikczemny Branio! Dlaczego nie uciąłeś sobie języka przed tą potwarzą? Nie uniknąłbyś kary, ale uniknąłbyś przynajmniéj hańby!

Branio. (*do Leg.*) Panie...

Larik. Nikczemny potwarco, chciałeś mnie zgubić dla ocalenia siebie? (*do Leg.*) Panie, dla ocalenia siebie chciał mnie zgubić! Dla odwrócenia uwagi wskazał na mnie, on, wróg mój, i twój wróg, Legacie, i was wszystkich!

Branio. (*zmieszany*) Ja?..

Legat. Oto jest przykre zajście!

Maro. Za Larika ja ręczę! Branio przez zawiść rzucił na niego potwarcze oskarżenie, w którém niéma cienia prawdy!

Głos z orszaku. Branio ma córkę, któréj nie może wydać za mąż. (*śmiech*)

Głos inny. Gdy obaj sobie jedno zarzucają, obaj mogą być winni, lub obaj niewinni.

Legat. Więc mówisz, Branio, że Larik jest winien zdrady?

Branio. O panie, mówię to i przysięgam na to? Jakto? panie mój...

Legat (*przerywając*) A ty, Lariku, powiadasz, że Branio jest winien zdrady.

Larik. Powiadam to i dowodami to stwierdzę.

Legat. Wobec téj stanowczości przeciwników wypadnie nam sprawę pilnie rozpatrzéć. Uczynimy to po widowisku.

Branio. On nie może nic dowieść przeciwko mnie!..

Legat. Bądź cierpliwy. Tymczasem chętnie wierzę, że ani on przeciwko tobie, ani ty przeciwko niemu nic nie dowiedziecie. Ale muszę was wysłuchać. Na co gdy teraz czasu braknie, rozkazuję wam być z nami aż do chwili, w któréj zażądam ścisłego z oskarżeń rachunku. Gdyby się okazało, że pod pozorem poważnych zarzutów kryje się zwykła zwada dwóch awanturników, obaj odpokutujecie za zakłócenie spokoju uroczystego dnia zabawy.

Branio. Panie...

Legat. Dość na tém!... Ruszajmy! (*okrzyki z amfiteatru*) Lud się niecierpliwi. Niech odgłos trąb oznajmia o naszém przybyciu. (*Brania otaczają członkowie orszaku; on mówi do nich i gestykuluje. Wszyscy wychodzą. Zostaje Larik*).

SCENA XVI.

LARIK.

Larik. Bodaj się imię twoje stało przekleństwem! Oskarżył mnie!.. Bodaj zbrodniarzom pisano na czole „Branio“!.. Oskarżył mnie! Nie chcę dać córki Rzymianinowi!.. Miałem posłów od Galgaka!.. Podburzałem lud!—Tak powiedział!... Ale mi nic nie dowiedzie. Nikt w mojéj duszy nie siedzi, aby wykazał, że nie chcę dać córki. Nie dowiedzie mi, że miałem posłów, bo posłów już niéma. Nie dowiedzie mi, że podburzałem lud, bo chociaż syn mój był w tłumie, ja nie byłem. Nie dowiedzie mi nic! Ale ja—ja mam na niego list, do niego od Galgaka list, którym mogę go zabić, jeżeli z widowiska wyjdzie żywy. Ten list pokażę Legatowi i powiem, że jest przejęty. Cha, cha, cha, cha! Strasznie z nas szydzi los, kochany Branio! Skłamałeś, kochany Branio! Skłamałeś, chociaż mówiłeś prawdę! Skłamałeś i musisz umrzéć! Na tym świecie od dzisiaj za dużo jest życia o całe twoje życie. Cha, cha, cha, kłamliwy Branio! Zełgałeś! Bezczelnie zełgałeś! Bezczelnie zełgałeś, kłamliwy, oszczerczy Branio... (*od cyrku dolatują okrzyki ludu*).

Larik. Już przybyli. Rozpocznie się widowisko... Co z tego będzie?! Ja powinienbym tam być z nimi—tam jest Letta... Żebym przynajmniéj ztąd dojrzał Lettę. Nie widać. Czy to Maro? Maro pewno będzie ją ratował. Kochanek, kochanek ją wyratuje, za co mu będzie wdzięczna aż do grobu. Cha, cha, cha! Żeby ich chociaż dym podusił. Żeby się chociaż potknął i upadł... Legat znak daje... Ostatni to raz może dajesz znak, łajdaku. (*słychać okrzyki*) Ho, ho, wesoło się zaczyna! Doskonale ztąd widać! Jeden płomyk tylko chciałbym zobaczyć, jeden płomyczek!.. Oho!.. Nic, to się słońce odbiło w szyszaku!.. (*po chw.*) Oho!.. (*okrzyki walczących*) Co to?.. Gladyator zwyciężył?.. (*z cicha, wskazując palcem*) Pali się!

(Larik stoi najprzód nieruchomie z wyciągniętą ręką. Po chwili wydobywają się płomienie i dym. Za nimi idzie głuchy szmer, potém przeraźliwy krzyk ludu, który zaczyna uciekać. Przy pierwszych odgłosach tego krzyku Larik, wciąż z wyciągniętą ręką wpatrując się, mimowolnie kurczy się i niemal do ziemi przysiada. Potém, widząc, że się ratują, wyprostowywa się, chwyta się rękami za głowę i z okrzykiem rozpaczy ucieka na lewo).

SCENA XVII.

LUD. ŻOŁNIERZE. LEGAT. BRANIO. MARO. SETNIK. ORSZAK LEGATA.

(Przebiega przez scenę bezładnie uciekający lud, wydając zmieszane okrzyki.)

Głosy zmieszane (*męzkie i kobiece*). Zdrada! Śmierć Rzymianom! Gdzie moje dziecko! Biada! Aaah! Nieszczęście! (*wbiega zdyszany*

Legat z częścią orszaku i kilku żołnierzami. Zatrzymuje go groźna postawa ludu; staje na pierwszym planie sceny).

Głosy zmieszane. Zemsta na was! Zdrajcy! Chcieliście lud wygubić!

Żołnierze. (*do ludu*) Dalej! Przechodzić! Bo trupem położę!..

Branio. (*Wchodząc*) Czy słyszysz, panie, jak nam lud złorzeczy?

Legat. Słyszę!.. Gdzie Larik? Pochwycić Larika i w najciemniejsze wtrącić go podziemia! (*wchodzi Maro i Setnik*) Niéma męczarni, któréj mu nie zadam! Niéma katuszy, któréj nie skosztuje, jeżli to on!

Branio. To on!

Legat. Gdzie Larik? Maro, gdzie jest Larik?

Maro. Gonią go straże. Może już pojmany... (*daje znak setnikowi, który wychodzi*).

Legat. (*do Marona*) Za głowę jego ty mi odpowiadasz. Wszystkich oprawców świata tu przywołam, wszystkie sposoby tortur mi opiszą, a ja wybiorę z nich najokrutniejsze, najdolegliwsze, najdłużéj trwające, przy których zbrodniarz sto razy umiera, przy których stokroć powraca mu życie od bólu, stokroć większego niż dawny, i wszystkie zwalę na głowę Larika! Jego śmierć straszna nauczy wierności lud tego kraju! Konania jego rozpaczliwe jęki odległém echem w setném pokoleniu wypłaszać będą niespokojne myśli z głów niespokojnych!.. — Niech mi zwołają lud przed dom Legata! Niech przyprowadzą wszystkich, bez różnicy stanu, wieku i płci! Ja przybędę i wytłómaczę powody nieszczęścia, jako też czarny podstęp tych zbrodniarzy! Nie dość że śmiercią chcieli lud wygubić, lecz nadto winę swéj okrutnéj zbrodni na nas zwalili, na Rzymian zwalili, aby rozdmuchać drzemiącą nienawiść i aby ukuć z niéj narzędzie buntu! Tam zedrę maskę z obłudników, zanim ich dosięgnie ręka sprawiedliwości! (*Wychodzi. Przed nim wybiegają żołnierze, za nim wszyscy inni. Zostaje Maro*).

SCENA XVIII.

(*Za tło obu scen następnych służy nieustający, odległy, głuchy szmer płaczów i złorzeczeń ludu*).

MARO.

Maro. Wolałbym, żeby we mnie piorun uderzył!... Mordować ludzi, palić miasta, zwodzić najzaufańszą i najczystszą przyjaźń, a potém słuszną ztąd odnosić karę, to znaczy tylko zapłacić Fortunie

dług zaciągnięty. Ale pokochać bez grzechu, bez winy, po to, aby być ojca ukochanéj stróżem więziennym, i życie jego otrzymać w depozyt, i strzedz go, aż się o nie kat upomni; być stróżem śmierci, która drogiéj dziewce rozedrze serce rozpaczą, a potém zrzec się rozdartego serca, tak, wyrzec się go dla czci, dla imienia—to jest los, gorszy od losu Larika!... Żebym przynajmniéj był posłuchał Brania! Ręką zawistnych Bogów wymierzony cios padłby we mnie, jak padł dzisiaj—straszny, niszczący! Ale-bym sobie oszczędził sromoty! Ale bym sobie oszczędził hańbiących oskarżeń, żem się z wrogami ojczyzny chciał łączyć, żem się kojarzyć chciał z krwią, która płodzi występek!.. Nigdy! o, nigdy! Raczéj konać wiecznie! Raczéj umierać w wiecznóm pożądaniu jednéj pieszczoty, jednego uścisku, niżli rozkoszą uznojone czoło ze wstydem chować przed ludźmi! Zginąć raczéj, niż utracić prawo do dumy! —Krótki był sen mój o szczęściu—niestety! Trochę nadziei, troszeczkę nadziei, oto i wszystko! A potém?.. Wiele żałości i wiele łez gorzkich, które się z oczu na świat nie wyleją, ale ugrzęzną w głębi duszy, aby jéj rany jątrzyć!.. Dziś był mój pogrzeb, chociaż jeszcze żyję! Dziś Larik wtrącił mnie w otchłanie piekieł, w których się męczyć będę bez ratunku! Tyle podłości w jednéj duszy! Bogi! Dlaczego człowiek jest taki potężny, kiedy źle czyni! i dlaczego taki bezwładny, gdy chce czynić dobrze! Dlaczego starzec ten jednym zamachem mógł zburzyć cały gmach mojego szczęścia... Bogi!... (*wchodzi szybko Letta*).

SCENA XIX.

Maro. Letta.

Letta. (*wchodząc*) Czy nie spotkałeś, panie, mojego ojca?

Maro. (*cofa się o krok*).

Letta. Nie wiem, gdzie się podział... Mówiono mi takie okropne rzeczy, że drżę z przerażenia. Czy nie widziałeś go, panie, powiedz mi, uspokuj mnie!

Maro. Raz jeszcze tylko w życiu spotkasz swego ojca—kiedy go prowadzić będą na śmierć.

Letta. Maronie!..

Maro, Ty może nie wiesz, co on zrobił! Możeś nie była w to wtajemniczona! No, to się przypatrz! Widzisz te zgliszcza, w których się skwarzą jeszcze ludzkie ciała? To jest Larika dzieło! Zaprawdę, nic go już złego nie spotka od ludzi, bo cokolwiekby go spotkało, zasłużył na więcéj. Popatrz się trochę! Chcesz oglądać swoje szczęście? Idź tam, w te gruzy, i tam go poszukaj! Tam je po-

grzebał twój ojciec. Bądź zdrowa! Wszystko skończone! Kochałem cię! Larik wykopał między nami przepaść...

Letta. Chcesz mnie porzucić?

Maro. Jeżli ci przyjdzie trudno los swój znosić, poskarż się bogom na ojca. Poskarż się i na mnie! Powiedz im, czemu są tacy niedobrzy, że kiedy jednych uczą krwawych zbrodni, innych nauczyć nie chcą, jak złamać marny, prosty obowiązek. Może się wtedy zlitują nad tobą, i może ja ci do nóg padnę—w koronie hańby!...

Letta. Dlaczego mi urągasz? Nie masz odwagi powiedzieć wprost, żeś się rozmyślił, że wolisz się ożenić z Rzymianką, i zasłaniasz się nizką potwarzą?

Maro. Jesteś szalona, mówiąc, że to potwarz!

Letta. Ja jestem szalona! Ha, ha, tak, jestem szalona, żem wierzyła twemu słowu! Wróciłeś mi jednak przytomność. Bodaj się życie twoje tak łamało, jak mi złamałeś wiarę! Myślałeś, że mnie oszukasz, powołując się na pogłoski?..

Maro. To nie są pogłoski!

Letta. To kłamstwo! Jeżeli dlatego chcesz mnie porzucić, to ci mówię, że to jest kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo! Lecz jeżli nie dla tego, to chciałabym, żeby cię te płomienie pożarły!

Maro. Letto!

Letta. Maronie!

Maro. Pół życia dałbym, nie mówię za dowód, ale za cień dowodu, że Larik niewinien. Ty wszakże tego dowodu nie znajdujesz, nikt go nie znajdzie!

Letta. (*zaczyna łkać*) O, biada mi, biada! Com zawiniła! za co ja cierpię!

Maro. Larik umrze śmiercią zbrodniarzy.

Letta. Oh, bogi, bogi!

Maro. I już z tej śmierci nic go nie rozgrzeszy, nic już nie zmyje plamy z niego—i z ciebie.

Letta. Ze mnie?

Maro. Niestety!

Letta. Ratuj go! Maro! On nie winien! Panie! To mój ojciec!

Maro. To twój ojciec?.. Wolałbym, żebyś była córką nierządnicy, i żeby ojciec twój nie miał imienia! Wolałbym... (*bierze ją gorączkowo za ręce*) Słuchaj, dziewczyno! Jeśli to potwarz na niego rzucono, to będziesz moją! Lecz jeżli to prawda?.. Czara upojeń zamknie się przed nami. Będę pił odtąd brudne męty życia, pozbawionego promyka nadziei. Będę wśród nędznych istot najnędzniejszą! Będę się

miotał pomiędzy miłością i dumą, jak marny ziemski proch, po którym depcą walczący bez zwycięstwa zapaśnicy!.. A kiedy tak... to czemu dziś nie mamy zaznać chwili szczęścia?.. Letto... i ty utracisz wszystko. wszystko! Wspólne przekleństwo bogów na nas ciąży. We dwoje dźwigać będziem jedno brzemię. Czemu nie mamy zaznać chwili, chwili szczęścia?.. Dzisiaj jest nasze, jutro—kto wie czyje... Dzisiaj nam jeszcze świeci słońce, jutro—jutro już może zapadnie na wieki... Czemu nie mamy żyć, pókiśmy żywi? Dlaczego mamy udawać pokorę, gdy się buntują serca nasze przeciw nielitościwym wyrokom!.. Kochasz mnie?!.:

Letta. Nie mów tak do mnie...

Maro. Powiedz!..

Letta. Nie, nie!..

Maro. Powiedz! Zanim burza spadnie na nasze głowy, powiedz, że mnie kochasz, tak jak ja ciebie kocham i jak pragnę...

Letta. Maronie...

Maro. Droga! Pieszczota da nam słodkie zapomnienie o wszystkiem, co się stać może!.. Kochana, dziś na twych ustach niech nie będzie płaczu, niech nie drżą, niech się przytulą do moich... (*całuje ją w usta, ona wyrywa się z jego objęć*).

Letta. A Larik?

Maro. Uczynię wszystko, co będzie w mėj mocy!

Letta. On jest w więzieniu?

Maro. Ja go wydobędę! On jest niewinny. Słuchaj!.. (*znów ją bierze za ręce*) Wszystko zrobię, choćby był winny, dla ciebie wszystko, choćby mi przyszło duszę zaprzedać, bo cię kocham więcėj niż duszę i więcėj niż siebie, i więcėj pragnę twego pocałunku, niż się obawiam wszystkich tortur ziemi!.. (*Obejmuje ją. Ona, napół omdlała od namiętnego szeptu kochanka, przechyla głowę na jego ramieniu. Maro kładzie usta swoje na jėj ustach, i łączą się w przeciągłym uścisku.— W tėj chwili rozlega się łoskot i trzask zapadających się resztek amfiteatru. oraz towarzyszący mu głośniejszy okrzyk ludu*).

Letta. (*wyrywając się z objęć*) Oh!

Maro. Niech się piekło zapadnie! Tyś moja! (*porywa ją wpół i wynosi*).

AKT TRZECI.

Scena przedstawia wnętrze podziemnego lochu, służącego za kaźń więzienną. Ściany z kamienia, czarne od brudu, połyskujące od wilgoci. W środkowéj ścianie wązkie gładkie drzwi. W lewéj ścianie, u saméj góry, maleńkie kwadratowe okienko z kratą. Cienki strumień światła, jaki przez nie wpada, nie oświeca dostatecznie lochu. Panuje tutaj szary mrok. Sprzętów żadnych zgoła z wyjątkiem blaszanego dzbana do wody.

SCENA I.

LARIK i KAWORT.

(Kawort, bosy, obdarty, napół obnażony, leży po lewéj stronie, pogrążony w głębokim śnie. Larik po prawéj stronie, w pozycyi siedzącéj, oparty plecami o ścianę, z rękami wyciągniętemi na zgiętych kolanach, drzemie.—Nogi Larika własnym ciężarem prostują się zwolna, w końcu opadają zupełnie, a ręce zwisają bezwładnie. Ta mimowolna zmiana pozycyi budzi go. Obudziwszy się, rozgląda się przez chwilę naokoło).

Larik. Gdzie jestem? Czy to sen jeszcze, czy jawa? (*chwytając się za piersi*). Ha, czuję, żyję, to był sen! Te straszne zmory, które mnie dusiły, to był sen! Te męki, które mi zadawał Cezar, to był sen!... Krew mi sączyli po kropli, a Branio z każdéj kropli wyjmował żmiję i pokazywał ludowi. A potém te wszystkie żmije rzuciły się na mnie, oplotły mnie, po rękach, po nogach, po szyi... ratunku! Bogi, ratunku! (*zrywa się na nogi*) Ha, to był sen!... (*rozlega się głośniejsze chrapnięcie Kaworta*). Co to jest? Kto tu?.. To Kawort... Nie drżyj, Lariku. To był sen!.. To był sen!.. Wyjęli mi serce, Branio krajał je nożem na kawałki i w saméj głębi, w źdźble, którego nikt nie widział, znalazł robaka! Czarnego robaka.. potém się stał czerwony... rzucił go na mnie... buchnęły płomienie... moja głowa w ogniu... pali się... cyrk się pali... ratunku!.. Niéma nic! Nie—to był sen!—(*Po chwili*) Co tu tak cicho? Czy to już dzień? Jak tu ciemno!.. To jest moje więzienie' — Chce mi się pić.. Był tu dzban z wodą. (*Bierze dzban w rękę*). Pusty!.. Żeby choć kropla. (*Zagląda do środka, potém przykłada do ust i przechyla do góry dnem*). Pusty! (*stawia*). — O Bogi!.. Opuszczają mnie siły... Czuję ból w kościach, a nogi moje drżą. Daleką drogę przebyłem, długi jest próg więzienia .. Czy tu już zamrę? Czy padnę tu i wpośród strasznych snów wyzionę ducha?! Nie!.. Nie, to być nie może. Siły młodości, wróćcie mi! Wróćcie mi, niechaj te mury rozbiję; niechaj wywalę te drzwi i niech ztąd wyjdę! (*pchając drzwi*). Otwórz się!.. (*załamując ręce*). Ha, zginąłem... Zginąłem— a mękę moją powiększa natłok myśli. Chciałbym oślepnąć, lecz wzrok mój się zaostrzył. Teraz widzę. Zawiódł się na mnie Galgakus.

Do przepaści kraj wtrąciłem. Podłożyłem żagiew pod własny dom. Zamordowałem ostatnią nadzieję... Widzę... Czujność Rzymian już obudzona... Mogą wyłapać młodzież i wytracić... Do tego przyjdzie zdrada... Wojsko Galgaka wprowadzą w zasadzkę... Stłumią wszystko, wszystko wytępią, nie przebaczą żywym i umarłym, kamień na kamieniu nie zostanie!.. Dlaczego to sprawiłem?.. Jak się to stało? Ja?!.. Chybam oszalał. Chyba ta głowa, to sprzecznych myśli i krwawych pożądań siedlisko, oszukała mnie. Światła! Dnia!.. Jak tutaj ciemno! — (*p. chw.*)... Co się ze mną dzieje? Czemu tu siedzę?.. Poczekaj... Musi być jakaś nić w tym labiryncie. Serce mi bije, to pewna... Żebym tylko drzwi otworzył, wyszedłbym... Jeszczebym złe naprawił i uratował sprawę. Nie mają wcale dowodów mojéj winy—jestem niewinny. Uspokoiłbym młodzież na chwilę, uśpiłbym Rzymian, porozumiałbym się z Galgakiem. Potajemnie udałbym się do obozu. Lasami sprowadziłbym wojsko niespodziewanie. Zanimby się Rzymianie spostrzegli, jużbyśmy tu byli. Znam drogi, znam hasła załogi rzymskiéj. Wpadlibyśmy znienacka i wyrżnęli. To byłaby pobudka dla całéj wyspy. Ani jeden żywyby nie umknął--żywa noga. Aleby trzeba wyjść ztąd... (*pcha drzwi*). Zamknięte!.. Czy to być może?.. Przyjdzie czas, że się ta deska zmieni w próchno... Lecz to już będzie zapóźno... Tu kres mój... Tutaj się wszystko skończy... Zginąłem...—O Branio, tyś mnie zgubił! Gdyby nie ty, nie siedziałbym tutaj (*maca się*). Czy ja mam ten list?.. Mam, jest! Nie daruję ci, Branio. Zanim umrę, Legat ten list przeczyta. Do ciebie to od Galgaka list, podły spiskowcze! Choćbyś się zapierał, ten list cię splami. Nie znajdziesz, czegoś szukał. Nie znajdziesz łask, powagi, władzy. Jeżeli będziesz na śmierć moją patrzał, nie będziesz się uśmiechał. Dreszcz cię przeniknie od stóp do głowy, bo i ty tak samo możesz skończyć... Więc się to już wszystko kończy?!.. Krwawe tortury na mnie szykują. Bardzo ich zwiodłem. Jeżeli kleszczami będą mnie szarpali, to nie wytrzymam. Boję się tego dotknięcia... zimnego... brrr... (*Daje się słyszeć lekki chrzęst łańcuchów, któremi drzwi są z zewnątrz zamknięte*). Idą!.. (*Larik, blednąc, przyciska się do ściany*) (*Uchylają się zcicha drzwi, wysadza głowę sługa więzienny i spogląda po celi, potém niknie. Za chwilę najprzód wysadza głowę, następnie wchodzi—Branio. Drzwi się za nim zamykają*).

SCENA II.

LARIK, BRANIO, KAWORT.

Larik. Branio?!

Branio. Ja.

Larik. Przyszedłeś mnie zamordować?!

Branio (*Spogląda przez chwilę na Larika, potém odpasuje miecz i rzuca go na ziemię. Gdy to zrobił, jeszcze przez chwilę na Larika patrzy, następnie mówi*). Wiem o wszystkiém. Przygotowywałeś wybuch w mieście. Chcieliście uderzyć na Rzymian jednocześnie z Galgakiem. Pożar cyrku miał na celu wzburzenie umysłów. Znam dzień i godzinę umówioną. Jedno słowo z ust moich, a wszyscy spiskowcy będą pojmani i wytraceni.—Groziłeś mi przed Legatem; a zaś wczoraj mówiłeś do straży, że masz jakieś listy do mnie, przejęte, które mnie potępią.—Jeżeli to prawda, toś je sam sfałszował. Ale przychodzę do ciebie z propozycyą. Jeżeli masz jakie listy, oddaj mi je. Ja w zamian za to uprzedzę skompromitowanych, ułatwię im ucieczkę do obozu Galgaka, i sprawa rozstrzygnie się przez wojnę w otwartém polu.—Cóż? Nie chcesz?—Pamiętaj, że listy twoje, gdybyś je posiadał, nie mogą mi szkodzić. Nie chciałbym być zmuszonym tłómaczyć się i dowodzić swojéj niewinności—oto wszystko. Ty więc nie dasz mi nic lub bardzo mało. Ja zaś daję ci bardzo wiele. Jeżeli naprawdę dbasz o rzecz publiczną, powinieneś pragnąć, aby setki młodych głów nie spadły pod toporem kata. Pamiętaj także, że syn twój byłby pierwszym. Cóż?.. Nie odpowiadasz?

Larik. Uwolnij mnie ztąd...

Branio. Ciebie?

Larik. Mnie...

Branio. Nie—ty musisz umrzéć.

Larik. Dlaczego?..

Branio. Zbyt wielką zbrodnię popełniłeś.

Larik. Nie popełniłem zbrodni! Jaką zbrodnię mi zarzucisz?

Branio. Cooo?

Larik. Może cyrk? cyrk? Nie byłem w cyrku, wcale nie byłem. Nie wiedziałem o niczém.

Branio. Przedemną przynajmniéj nie udawaj. Na nic ci się to nie zda. Chcesz żyć? Zrobię dla ciebie to jeszcze, że będziesz żył, aż się rozstrzygnie walka między Rzymianami a Galgakiem. Jeżeli on zwycięży, uwolni cię. Jeżeli Rzymianie—ja ułatwię ci śmierć, dam ci miecz, abyś się sam zabił... Decyduj się!

Larik. Decyduj się...

Branio. Wyświadczam ci przysługę, więcéj jak przysługę.

Larik. Tak...

Branio. No więc?

Larik. Uwolnij mnie ztąd...

Branio. Powiedziałem ci, to niemożliwe.

Larik. To odejdź, odejdź! Nie mów do mnie!

Branio. Na co ci życie! Cierpiałeś tyle, że same wspomnienia będą ci męczarnią. Umrzesz—wszystko się skończy.

Larik. Mam dzieci!..

Branio. Cha, cha, cha!

Larik. Mam dzieci!..

Branio. I dla nich chcesz żyć?

Larik. Tak.

Branio. Czy one tego warte?

Larik. Odejdź!

Branio. Zatém koniecznie chcesz się ztąd wydostać?

Larik. Chcę...

Branio. Więc cię uwolnię!

Larik. Uwolnij!

Branio. Tak.

Larik. Zaraz!

Branio. Ale wprzód mi oddasz owe listy.

Larik. Listy?

Branio. Tak, wprzód mi je oddasz. Inaczéj nie miałbym pewności, że je odbiorę, i że wprost ztąd nie udasz się z oskarżeniem do Legata.

Larik. Nie oszukasz?..

Branio. Nie.

Larik. Nie?...

Branio. Powtarzam—nie!

Larik. (*Po chwili*) Nie wierzę ci!.. Jestem niewinny i siedzę tu na mocy twojéj potwarzy. Nasz spisek to także potwarz. Gdyby był taki spisek, i gdybyś ty o nim wiedział, wiedziałby o nim i Legat.

Branio. Będzie wiedział.

Larik. Od kogo?

Branio. (*po chwili*) Odemnie.

Larik. (*po chw., milcząc, grozi mu pięścią, potem mówi*). Nic ci nie wierzę Cokolwiek ja uczynię, ty zawsze będziesz dążył do tego, aby mnie zgubić. Chcesz mnie wymacać. Jeżeli ja ci obiecam co oddać, to znaczy, że był spisek. Rozumiem cię, kochany Branio. A tobie spisek, widzę, bardzo potrzebny.

Branio. Łudzisz się.

Larik. Niech i tak będzie Ale ty nie unikniesz zemsty. Z moich prochów wstaną na ciebie mściciele.

Branio. Mniejsza z tém.

Larik. Tém lepiéj, że ci się to spodoba. Wszedłeś na pochyłą drogę i musisz się zsunąć. Chciałbyś mnie pociągnąć za sobą?.. Jestem niewinny. Nie mam dla ciebie nic, nic—oprócz pogardy i oprócz dowodów, których obawa przyprowadziła cię tu do mnie. Boisz się, aaa! boisz się!..

Branio. Czy to ostatnie twoje słowo?

Larik. Nie, na nieszczęście twoje, nie! Przed śmiercią jeszcze będę mówił o tobie.

Branio. Więc chcesz koniecznie, żeby się wszystko wykryło?

Larik. Gdyby się miało co wykryć, jużby się wykryło. Gdybyś ty co wiedział, to czybym ci zrobił tak, czy owak, zawszebyś zdradził. Nie wierzę ci. Przyszedłeś mnie szpiegować—nic się nie dowiesz. Jestem niewinny—spotwarzyłeś mnie.

Branio. Byłbyś dobrym histryonem, starcze. Ale się mylisz, biorąc mnie za głupca. Mówię ci po raz ostatni, namyśl się Mógłbym wiele dobrego zrobić twoim—a nawet tobie.

Larik. Kiedy ty chcesz coś dla mnie zrobić, to znaczy, że ja nie potrzebuję twojéj pomocy.

Branio. Nie ty, to inni. Mogę ci ją sprzedać dla innych.

Larik. Tfu!

Branio. Plwasz na mnie?!

Larik. Tfu!

Branio, (*zaciskając pięście*) Ah! Chciałbym, żebyś żył, póki się nie doczekasz bękarta! Jesteś ojcem nierządnicy!

Larik. Tfu!

Branio. Twoja córka dziś nocowała u Marona!

Larik. Kłamiesz, łotrze!

Branio. I jeszcze w téj chwili jest u niego!

Larik. Widziałeś ją?

Branio. Widziałem.

Larik. Czyś ty ją tam zaprowadził? Powiedz! Ile ci Maro zapłacił?..

Branio. Zapłacił mi twoją hańbą!

Larik. To cię oszukał! To była fałszywa moneta!

Branio. I towar też był nikczemny.

Larik. (*Uderza go pięścią w piersi tak mocno, że Branio zatacza się o parę kroków w tył*) Podła istoto!... (*rzuca się na niego z wściekłością*) Zgiń! Zgiń podły!..

Branio *ucieka i zatrzaskuje za sobą drzwi.*

SCENA III.

LARIK. KAWORT.

Larik. Nie, to niepodobna, niepodobna! Letta nocowała u Marona? Cha, cha, cha, to jest bardzo prawdopodobne! Poszła do niego, żeby za mną prosić, miała gotowy pretekst, poświęciła się dla mnie, cha, cha, cha, cha! Ojciec do ciemnicy, córka do kochanka!

Ojciec na śmierć, ona do rozkoszy!.. Biada mi! Rozpacz mi duszę potarga, zanim ja potargam swoje okowy. Za wiele męczarni na jedną głowę! Branio, wróć się, wróć się i powiedz, że to nieprawda! Zaprzecz, odwołaj, przyznaj się do kłamstwa! (*załamuje ręce tak mocno, jakby miał sobie palce połamać i wydaje kilka urwanych łkań*) Hg! Hg! Hg! — (*po chw.*) Nie, tym razem powiedział prawdę. Jego słowa uderzyły mnie, jak cios śmiertelny—fałsz nie uderza tak mocno. I uczynki moje, i wrogi moje, i własna krew moja przeciwko mnie. Wypełnia się miara udręczeń. Jak tylko spostrzegła, że mnie niéma, ciarki ją przeszły po ciele. Kiwnął na nią—poleciała. Teraz ją liże, i brudzi, i kala—bezpieczny, bo ojciec w więzieniu... Ale gdzie Kuno, co robi Kuno?.. Kuno, twoją siostrę shańbił Rzymianin! Weź żelazo w rękę, Kuno, gdzie jesteś?!... Kuno jest może na dnie innego lochu, pojmany, uwięziony, jak jego ojciec. Wszakże Branio powiedział, że wie o spisku. Wszakże obiecywał, że zdradzi. Już pewno zdradził! A może Frilanda złapali przy cyrku, Friland mógł powiedzieć, że Kuno podsunął mu myśl, a Kuno jest mój syn... Śmierć i hańba! — O Branio, ja umrę, ale i ty umrzesz!.. Gdzie jest ten list? ten list? (*wyjmuje zwój*) Podrzucę go przy Kaworcie! Powiem, że Branio tu był, aby ten list odebrać od więźnia, lecz w pośpiechu zostawił... Ten list tu znajdą, przekonają się, że to był poseł do Brania... poseł do Brania... Branio chciał mu odebrać... Zaprą się! Branio się zaprze, i ten się zaprze. Mnie nikt nie uwierzy. Kawort się zaprze, powie, że nie nosił listu, nie zna Brania!.. Żebym choć zobaczył Legata!.. Ale nieprzyjaciele moi do tego nie dopuszczą... Branio będzie się starał, abym go nie zobaczył, chyba w godzinę śmierci... Po mojéj śmierci znajdą... Po mojéj śmierci!.. Po strasznych mękach!.. Gdy się już tłum napatrzy i naurąga z mojéj bladości, z mego przestrachu, z mojego płaczu, z dreszczów mojego konającego ciała—Branio go znajdzie i zniszczy!... Zabiję się!.. Po co mam cierpieć na darmo—zabiję się! (*wskazując na miecz*) Oto miecz leży! Skończy się życie niedoli! I tak już nic po mnie na świecie. Duch, udręczony widokiem bezprawia, uleci ku nieśmiertelnym—zabiję się! — (*klęka na jedno kolano, bierze miecz w rękę, potém mówi*) Wszystko mnie zawiodło. Urodziłem się wolnym, straciłem swobodę. Goniąc za myślą o niéj, straciłem spokój duszy i sumienia. Nigdy już nie odzyskamy wolności—to darmo. Widziałem krew zmarnowaną w nieudanéj walce. Widziałem rozpustę młodych, przedajność starych, upodlenie wszystkich. Patrzałem, jak córka oddaje Rzymianinowi serce; patrzałem na to, jak wszystkie nizkie popędy narodu wchodzą w przymierze z wrogami, jak przez głupotę ich naśladują, jak przez obżarstwo ucztują z nimi, przez chuć zwierzęcą w sprosności ich wyprzedzają. Wróg zawarł

sojusz z podłością i na niéj gmach swój buduje. A ja tu po co? I jednym i drugim przeszkadzam. Przeszkadzam panować i dźwigać jarzmo. Jestem nieprzyjacielem swoich. Ich namiętności jak hyeny biorą łup z pola klęski, biorą łup z własnego ich grobu. I nie dadzą sobie łupu wydrzéć z paszczy. A ja tu po co, po co, po co?!.. Po co... (*przez długą chwilę patrzy na miecz, potém rzuca go, jakby się sparzył, wstaje i cofa się o krok, spoglądając na śpiącego Kaworta*).—Gdyby Kawort był niemy, nie zaparłby się Brania!.. Gdyby Kawort był trup... jego trup nie zaparł by się Brania. Jego trup to byłby straszny świadek! Jego trup powiedziałby, że Branio tu przyszedł, aby zamordować człowieka, który mógł złożyć przeciwko niemu świadectwo! (*do śpiącego Kaworta*) Przyjacielu, czy nie miałbyś ochoty umrzéć za ojczyznę? Wyrządziłbyś jéj wielką przysługę! Za twoją krew wylałaby się krew najwystępniejszego jéj syna. Przyjacielu... przyjacielu... cha, cha, cha, Bogowie! niech mnie wasza łaska nie opuszcza!—O, znalazłem, czegom szukał! (*bierze miecz w rękę*) Kaworcie, przy twoim trupie porzucę pismo Galgaka... Tu je porzucę... (*kładzie list na ziemi*)... tu je znajdą. Przekonają się, że ciebie Branio zamordował—to jego miecz. Zamordował ciebie! Potém stracił przytomność, zostawił miecz, pismo... uciekł. Umrzesz za dobrą sprawę, za naszą uciemiężoną wyspę, za ojczyznę naszą... Nie sądź, że się już dziś za ojczyznę nie umiera. Nie, nie, dziś się jeszcze zabija za ojczyznę, dziś się jeszcze zabija... Haa! (*zamierza się na Kaworta, ten zaś zrywa się, przyjmuje pozycyę siedzącą i przeciera oczy*).

Kawort. (*ze snu*) Co to, co to jest, co to, co to?

Larik. (*cofając się i kryjąc miecz pod szatę*) Nic!..

Kawort. Czyś ty mnie wołał?

Larik. Nie.

Kawort. Ktoś krzyczał, ktoś mnie wołał!

Larik. Może cię dyabeł wołał.

Kawort. Tfu! zgiń, przepadnij!

Larik. Połóż się spać, nikogo tu nie było.

Kawort. Nie przynieśli jedzenia? (*biorąc w rękę leżący koło niego zwój*) A to co?

Larik. Nic, oddaj, tego nie ukąsisz.

Kawort. To twoje?

Larik. Moje. (*Kawort oddaje, poczém podnosi się. Larik chowa zwój w zanadrze*).

Kawort. Żeby ich wszystkie choroby odrazu obsiadły, że mnie tak głodem morzą! Niéma wody?

Larik. Niéma.

Kawort. (*Bierze w rękę dzbanek, zagląda do środka, potém ciska go o ziemię*). Żeby im dzieci powymierały, kiedy oni mi wody żałują!

Larik. Wyspałeś się?

Kawort. Bodaj oni zmarnieli za moje spanie! Zdechnę tu jak pies. Może oni tu co przynosili i tyś zjadł?

Larik. Nie.

Kawort. Powiedz prawdę! Bo jabym ci z brzucha wyjął!

Larik. Obudziliby cię.

Kawort. Żeby ich złe duchy budziły! Ja chyba z głodu zdechnę.

Larik. Umrzemy za ojczyznę.

Kawort. Niech cię powietrze ogarnie i z twoją ojczyzną. Za wasze wojny, psubraty, ja tu głód mrę. Żeby wam ręce poodpadały.

Larik. Kaworcie... tu jest jakaś dziurka.

Kawort. Gdzie?

Larik. Tu.

Kawort. No to co?

Larik. Pomacaj no tu. Zdaje mi się, że możnaby się tędy wydostać. Żeby tak dobrze podważyć, zrobiłaby się duża dziura.

Kawort. (*podchodząc*) Gdzie?

Larik. Tu.

Kawort. Niéma nic.

Larik. Ale pomacajno dobrze.

Kawort. (*macając*) Co tu za dziurka? Łeb roztrzaskasz, a nic nie podważysz... Ah!... (*pada, uderzony przez Larika, który wepchnął mu w plecy miecz podczas ostatnich słów przy obmacywaniu ściany*).

SCENA IV.

Larik, Trup Kaworta.

Larik. (*podchodzi do drzwi i podsłuchuje; potém, rzucając miecz*) Ha! Śpieszmy się! (*kładzie trupa na dawném miejscu*) Tu leż, gdzieś leżał! (*kładąc obok zwój*) Tu pismo położę!. (*spoglądając na drzwi*)... Teraz przychodźcie!.. Przychodźcie mnie uwolnić! Teraz mam świadka! Będę łomotał do drzwi, niech przychodzą! Albo zaczekam, aż ostygnie. Niech się krew wysączy i skrzepnie, niech zaschnie na tém żelazie. Potém niech przychodzą!.. Teraz mam już świadka. Cha, cha, cha, mam świadka! Krzywy świadek, ale świadek. Krzywy świadek, niewinnie zabity, zamordowany! Ja go zabiłem, zamordowałem! Teraz jeszcze skłamię i wypuszczą mnie! Chciałbym, żeby było ciemno, jak mnie wypuszczą... Niepokój mnie ogarnia... Brzydzę się krwią, która mi zwalała ręce... Wepchnęli mnie w straszne upodlenie... — O Rzymianie! jeżeli żaden bóg nie skarze was za ten czyn krwawy, to niéma sprawiedliwości w niebiosach! Przez was to

zabiłem tego człowieka, to wasze dzieło! Wyście to mnie postawili między zaprzaństwem a zbrodnią! Przez was skalałem duszę i nienawidzę was za to! Serce moje było czyste, dopókiście go wy nie zatruli. Kochałem prawdę, przez was stałem się kłamcą, bo prawdaby mnie zgubiła! Kochałem cnotę, przez was morduję bezbronnych, bo to jest droga do celu! Wy zadajecie okrutny gwałt mojéj woli! Przez was popełniam czyny, za które przeklina was moje sumienie! Wasza przemoc wkradła się do wnętrza mojéj istoty i czyni ze mnie własnego mojego wroga! Wyście mnie rozdarli na dwoje, wyście sprawili, że czyny moje są brudne i krwawe, chociaż chęci moje są czyste. Nienawidzę was! Za wszystkie winy moje nienawidzę was! Postokroć was nienawidzę, bo przez was nie stałem się, czém się stać mogłem, gdyby was tu nie było! Postokroć was nienawidzę, bo przez was zostałem tém, na co nie byłem stworzony!—Spełniło się! Już się nie cofnę. I gdzie się mam cofać! Nie widzę dwóch dróg przed sobą. Muszę im dawać to, czego pragną. Przychodźcie, przychodźcie posłuchać, co wam powie mój język! Héj, przychodźcie!.. (*stuka do drzwi coraz gwałtowniéj*) bywaj, kto żyje! Zbrodnia się stała, wielką zbrodnię popełnił Branio... (*urywa*)

Echo. Branio...

Larik. (*blednąc*) Nie... to ja.. to ja nie Branio... To ja ją spełniłem... Ja spełniłem dlatego, że inaczéj-bym się ztąd nie wydostał... Taki jest okup swobody... Taki... Innego niéma!.. O, udręczona jest dusza moja! Należy mi się godzina wolności. Za winy moje, za zbrodnie moje, za krew niesłusznie wylaną, za łzy matek, za płacz dzieci, należy mi się godzina wolności! Bogowie! jedną godzinę mi dajcie! Jedną godzinę przed śmiercią niech mnie otacza powietrze, w którém niéma tchu rzymskiéj piersi! (*posuwa się ku drzwiom, w tém słyszy chrobotanie łańcuchów*) Idą?!.. O bogi!.. (*z osłabienia i przestrachu chwieje się, i tylko dzięki temu, że się o ścianę oparł, utrzymuje się na nogach. Tymczasem otwierają się drzwi, i wchodzi człowiek z latarnią, a za nim dwóch żołnierzy rzymskich z dobytemi mieczami*).

SCENA V.

LARIK. LATARNIK. DWAJ ŻOŁNIERZE. TRUP KOWARTA.

Pierwszy Żołnierz. Który tu Larik?

Drugi Żołnierz. Pokaż go!

Latarnik. (*wskazując*) Ten!

Larik. Ja, to ja was wołałem.

Pierwszy Żołnierz. Tyś nas wołał?

Larik. Tak, idźcie do Legata, przywiedźcie go tutaj, niech się przekona o prawdzie. Tu się spełniła zbrodnia dla zatracenia śladów innéj, jeszcze większéj zbrodni. Niech przyjdzie Legat, a dowie się, albo prowadźcie mnie do niego, prowadźcie zaraz...

Drugi Żoł. (*do 1-go*) Nie wielka mu się krzywda zrobi.

Pierwszy Żoł. Ma bzika.

Drugi Żoł. Ma.

Larik. Co?

Pierwszy Żoł. Nas tu nikt nie wołał, my tu sami przyszli, bo taki rozkaz.

Drugi Żoł. Taki rozkaz przyszedł, żeby cię zamordować.

Pierwszy Żoł. I to zaraz!

Larik. Mnie?

Drugi Żoł. Nie udawajno, że nie wiesz, jak ci na imię. Ciebie, jeżeliś Larik. A nawet choćbyś miał drugie imię, to i tak ciebie.

Latarnik. Od tego jest latarnia, żeby nie było pomyłki.

Drugi żoł. Tak jest, żeby była sprawiedliwość.

Pierwszy Żoł. Tak jest, przyznaj się, żeś Larik.

Larik. To nie ja go zabiłem! Ja nie winien! To Branio, Branio tu był i zamordował go!

Pierwszy żoł. Kogo?

Larik. Kaworta zamordował! Chodźcie, zobaczcie, oto leży krwią zbroczony, oto jest miecz Brania, (*bierze miecz w rękę*) przypatrzcie się, oto zostawił list—co wy odemnie chcecie, prowadźcie mnie do Legata...

Pierwszy żoł. Poświeć-no tu!

Drugi żoł. Daj-no tu światło. Od tego jest światło, żeby nie było pomyłki. Kto to?

Latarnik. To Kawort.

Pierwszy żoł. Trup.

Drugi żoł. Trup.

Pierwszy żoł. To nie tyś go zabił?

Larik. Klnę się na imię Cezara, że nie ja!

Drugi żoł. No to dobrze.

Pierwszy żoł. Jeden grzech mniéj na sumieniu.

Latarnik. Daléj, daléj, nie marudźcie panowie żołnierze...

Pierwszy żoł. (*do Lar.*) Pożegnaj się ze światem. Długo żyłeś, już i tak ci się niewiele należy.

Drugi żoł. Rzuć ten miecz.

Pierwszy żoł. Ma racyę, rzuć miecz, nie obronisz się.

Larik. Precz zbóje! Ja nie winien!

Latarnik. Co tu gadać, panie Larik, kiedy kazali.

Drugi żoł. Tak jest.

Pierwszy. Kazali.

Larik. Kto wam kazał! Kto wam mógł kazać!

Latarnik. Co to się pytać—kazali i basta, na co się to panu Larikowi zdało. Daj sobie pan Larik spokój, bo niéma czasu.

Drugi żoł. Dobrze mówi—niéma czasu.

Pierwszy. Obróć się do ściany, jeżeli nie chcesz widziéć, jak żelazo błyska.

Larik. Zmiłujcie się... darujcie mi życie! Połowę skarbów moich oddam, wszystkie oddam...

Drugi żoł. Twoje skarby już i tak z wiatrem poszły.

Pierwszy. Twój syn się zbuntował, a i ty nie lepszy.

Larik. Mój syn?

Drugi żoł. Tak, tak, bratku, twój synalek tam się bije z wojskiem.

Larik. Z wojskiem?

Latarnik. (*nagląc*) Panowie, panowie...

Pierwszy żoł. Daléj, niéma gadania!

Larik. Precz! Precz zbóje! który się zbliży, na miejscu go położę! Nie dam się zakłuć? Precz!..

Pierwszy żoł. Daléj go! (*rzuca się na Larika, który się broni*).

Drugi żoł. Daléj go!

Wołanie za sceną. Ho, ho! Ho, ho! Lariku! Ho, ho! Lariku! Gdzie ty?..

Drugi. Co to?

Pierwszy. Co to?

Latarnik. Co to?

Wołanie nowe. Ho, ho! Ho, ho!

Pierwszy. Mordujmy prędzéj!

Latarnik. Dajcie spokój, dajcie spokój! To Brytany lecą! Oj, nieszczęście, nieszczęście! Panie Larik, zmiłuj się...

Wołanie. Ho, ho! Lariku!

Larik. Na pomoc! Na pomoc! (*wbiega pięciu ludzi z gołemi mieczami, między nimi na czele Kuno*).

SCENA VI.

LARIK, KUNO. CZTERECH MŁODYCH BRYTAŃCZYKÓW, DWAJ ŻOŁNIERZE RZYMSCY. LATARNIK. TRUP KAWORTA.

Kuno. (*wbiegając*) Ojcze!

Larik. Mordują mnie!

Kuno. Kto?

Larik. Ci!

Obaj żoł. Tak nam kazali.

Kuno. Ha, zbiry! (*Towarzysze Kunona rzucają się z krzykiem po dwóch na każdego żołnierza i po dość długiéj walce zabijają ich. Latarnik pada na kolana i jęcząc błaga*).

Żołnierz 1. (*walcząc*) Puśćcie nas żywych!

Brytańczyk. Krew waszą puścimy!

Drugi Brytańczyk. Śmierć wam, Rzymianie!

Żołnierze (*padając*) Ah!.. Ah!

Latarnik. Ja nie Rzymianin! Zmiłujcie się! Panie święty! Panie!.. Ha!..

Kuno. (*przebija go*) Tyś miał przyświecać śmierci mego ojca! (*Latarnik pada, a z nim latarnia, która gaśnie*) (*Tymczasem Larik zaczyna się chwiać na nogach; podtrzymują go przybyli, a Kuno bierze go w objęcia*).

Kuno. Lariku! Co ci jest? Czyś zraniony?

Larik. (*przychodząc do siebie*) Nic, nic. Osłabłem... Ale już nic. Tylem zniósł, że mi sił nie staje. Czyście mnie przyszli wybawić?

Kuno. Tak, najpierwszą moją myślą było—ciebie uwolnić. W mieście bitwa...

Larik. Bitwa?

Kuno. Tak, przyjdź do siebie, bo musisz zaraz na koń siadać.

Larik. Już mi nic nie jest... Czyście zwyciężyli?

Kuno. Jeszcze nie, jeszcze zwycięztwo niepewne.

Larik. Ale nadzieja?

Kuno. Nadzieja jest z nami, choć w nieszczęśliwych warunkach walczymy... Bój nas zaskoczył tak znienacka, że brakło czasu na zastanowienie... Branio nas zdradził...

Larik. Tak, to on.

Kuno. W tajemny sposób, zapewne przez szpiegów, pochwycił wszystkie nici sprzysiężenia... Ktoś mu dostarczył szczegółową listę nazwisk spiskowców... Poznał środki, cele, słowem o wszystkiém wiedział, i dziś rano dał znać o wszystkiém Legatowi... Legat, chcąc kiełkujący ruch stłumić odrazu, rozkazał aresztować wszystką młodzież od lat szesnastu... Zaczęli obławę... Pozostał nam wybór między haniebną śmiercią z rąk oprawców, a jawnym buntem... Wzięliśmy za oręż, i oto walka wre... Lud się rozdzielił... Częścią przystąpił do naszych szeregów, częścią się kryje po domach i czeka... Gdy się nam uda pokonać załogę... ojcze... zyskamy wiekopomną chwałę... Jeśli nie, to trzeba będzie uciekać... Kto tu nie zginie, do obozu zbiegnie i do chorągwi Galgaka przystanie... Bądź gotów w drogę, ojcze... Ja odchodzę... Muszę być z tymi, co walczą... Ci

chłopcy cię ztąd cało wyprowadzą... Żegnam cię... Może cię już nie zobaczę...

Larik. Nie odchodź jeszcze, synu!..

Kuno. Muszę, muszę odejść. Nie mogę opuszczać placu. Gdyby się wszyscy rozbiegli, ktoby zwyciężył?.. I wy tu nie bawcie. Masz w nich pewnych obrońców... Do zobaczenia się!

Wszyscy. Do zobaczenia!

Larik. Powracaj... (*Kuno wychodzi*).

SCENA VII.

Ciż bez Kunona.

Pierwszy młodzieniec. Nie bój się, panie, Kuno wróci.

Drugi. Wróci.

Trzeci. Nasi zwyciężą. My cię ztąd wywiedziem.

Larik. Czekajcie chwilę... niech odzyskam siły...

Czwarty. Lariku, niech cię niebo błogosławi, że trzymasz z nami. (*Całuje go w rękę*).

Pierwszy. Żebyś był szczęśliwy!

Drugi. Żebyś był szczęśliwy!

Trzeci. Ty nasz ojciec! (*ściskają go za kolana*) Wszystka starszyzna przeszła do Rzymian, ty jeden z nami. Żeby ci się dobrze wiodło! (*wszyscy ściskają go mowiąc*).

Pierwszy. Żebyś długo żył!

Drugi. Daj ci boże wszystko dobre!

Trzeci i Czwarty. Daj ci boże!

Larik. O, drodzy moi, nie dziękujcie mi... Kiedy bogowie dają niewolnikom miłość wolności, to ich podwójnie karzą. A gdy ich jeszcze niezwalczoną siłą pchną na bezdroża próżnych usiłowań w których przepada prawość i sumienie, a z których w zysku niéma nic, nic zgoła, to już dowodzą têm wielkiego gniewu. Dotychczas taki był nasz los! Co będzie daléj!?

Pierwszy młodz. Będzie dobrze!

Drugi młodz. Musi być dobrze!

Trzeci. Musi!

Czwarty. Jużeśmy dosyć wycierpieli.

Larik. To téż w cierpieniu źródło naszéj siły. Kto cierpi, ten chce, a kto chce, ten działa. A ja cierpiałem bardziéj niż wy wszyscy. Czyby z was który zabił ojca? Nie, z pewnością. Lecz gdyby który zabił ojca, i gdyby do tego mordu zmuszony był przez Rzymian jakżeby ich nienawidził! Oto ja jestem, jakbym przez nich za-

bił ojca, i matkę, i siostry, i braci, bom zabił w sobie to, co mi było najdroższe na ziemi. Wy dziękujecie mi, że trzymam z wami? Dziękujcie raczej wiatrowi, że wieje, słońcu, że świeci, a wodzie, że płynie. Was tylko młoda krew i zacne serce wabią do czynu. Mnie pcha utkwiony na dnie duszy czerw niepokoju, który wciąż gryzie i który wciąż woła: nie możesz być sobą!

Pierwszy młodz. (*obejmując Lar. za kolana*) Bodajeś był szczęśliwy!..

Drugi i Trzeci. (*czyniąc to samo*) Bodajeś był błogosławiony!

Czwarty. (*i. w.*) Niech ci się wszystko spełni!

Larik. Niech nam się spełni swoboda!.. Chodźmy ztąd prędzej... Zaduch krwi bije do głowy... Uchodźmy.

Drugi młodz. Uchodźmy!

Trzeci (*do Czwartego*) Prowadź!

Czwarty. Za mną!..

(*Larik z Czwartym wychodzi przodem, reszta za nimi*).

Jan Gadomski.





DUSZA, JAKO POJĘCIE PRZYRODNIKA.

II.

Zajmiemy się teraz zmianami, które urobiły psychiczny grunt wyobrażenia duszy. Nie mamy tu zamiaru przekraczać ramek pracy ściśle psychologicznéj, nie będziemy więc oceniali np. wpływu wynalazku ognia na kształtowanie się wyobrażenia duszy (1). Same zaś zmiany przedstawimy jako dedukcyę z ogólniejszych praw psychologicznych i poprzemy ją odpowiedniemi przykładami.

W splocie wyobrażeń, składających dopiero co skreśloną prostą samoświadomość, jedne grupy wyobrażeń powtarzają się ze sobą razem częściéj niż z innemi. Rozpatrzmy je.

Wyobrażenia wysiłku mięśniowego (napięcia, natężenia mięśni) i wrażenia wysiłku woli i uwagi (t. j. te wrażenia, co zdają się zapewniać wyobrażeniom przewagę w świadomości) uświadamiają się razem przy wszystkich poruszeniach; towarzyszą im w świadomości grupy wrażeń z dróg oddechowych. Ostatnich wprawdzie nie brak nigdy, lecz są daleko wyraźniejszemi przy mówieniu i przy innych ruchach, które zawsze oddychanie potęgują. Uczucia ogólne, określające stan ciała („miewanie się“) towarzyszą tamtym; nie opuszczają one wprawdzie świadomości nigdy całkiem, lecz są wyraźniejsze przy ruchach i zaraz po nich (nie mówimy tu o chorobliwych wypadkach, lecz o uczuciach ogólnych normalnych). Wreszcie wzruszenia wszelkie często albo poprzedzają ruchy, albo i poprzedzają i towarzyszą, albo są bezpośrednim następstwem czynności. Wszystkie tu wyliczone wyobrażenia nazwijmy wnętrznemi.

Przeciwnie wyobrażenia wzrokowo-dotykowe członków i tułowia, powstające przy spoglądaniu na ciało swoje i obmacywaniu go

---

(1) F. Hellwald. Kulturgeschichte 1883. T. I, str. 71.

(nazwijmy je zewnętrznemi) nie występują współcześnie ani z większemi wysiłkami woli, ani z silnemi wyobrażeniami wysiłku mięśniowego, ani z wyraźniejszemi wrażeniami z dróg oddechowych, ani wreszcie z mocniejszemi wzruszeniami; towarzyszą im wprawdzie wymienione wyobrażenia wnętrzne lecz słabo.

Skutek współczesnego uświadamiania się wyobrażeń wnętrznych jest taki, że skojarzenia ich ze sobą stają się mocniejszemi, niż z grupą wyobrażeń zewnętrznych — i oto splot wyobrażeń prostéj samoświadomości, w miarę rozwoju złożoności w budowie półkul, zaczyna się rozpadać na dwa sploty; w każdym z nich ogniwa są połączone mocniéj, ogniwa zaś jednego z ogniwami drugiego — słabiéj.

Dodajmy teraz, że wyobrażenia mięsa, kości i krwi kojarzą się z grupą wyobrażeń zewnętrznych, a oto będziemy mieli pierwsze kontury, rozdzielające pierwotną grupę wyobrażeń własnéj osoby na dwie grupy, wprawdzie połączone jeszcze dość ściśle. Stopień połączenia możemy scharakteryzować tak: uświadomienie się grupy wrażeń wnętrznych pociągnie dopełnienie się jéj bardzo słabem współczesném przypomnieniem grupy wyobrażeń zewnętrznych, i odwrotnie; lecz nieznaczna pomoc zewnętrzna, lub wypływająca z toku myśli, w skierowaniu uwagi (1) wywoła za wyobrażeniem zewnętrzném *następcze* wyraźne uświadomienie się odnośnego wyobrażenia wnętrznego.

Stosunki wrażeń napięcia mięśniowego, wchodzących w skład grupy wyobrażeń wnętrznych, każą umiejscawiać ją w téj saméj części przestrzeni, którą zajmuje ciało, to jest w ciele.

W snach swoich człowiek niby działa, t. j. niby wykonywa poruszenia i mówi, przytém miewa wzruszenia rzeczywiste; brak zaś wyobrażeń zewnętrznych jest wówczas bez porównania większym, niż kiedykolwiek. Senne marzenia muszą więc sprzyjać rozdziałowi wyobrażeń wnętrznych od zewnętrznych. Senne widma zmarłych i żywych osób uważane bywają za główne źródło wyobrażenia duszy. Tak sądzi Lubbock i Spencer (2). Zdaje się jednak, że ostatnie musi być przygotowaném przez głęboko sięgające i *odpowiednie* wzbogacenie treści duchowéj człowieka, bez tego senne mary spowodowałyby tylko powstanie wyobrażenia upiorów (co rzeczywiście ma miejsce), to jest ludzi, powracających jeszcze pewien czas po śmierci we własnéj osobie; widma zaś żywych wywoływałyby przekonanie, że ci we własnéj osobie obcowali ze śniącym. Przypomnieniu na jawie sennego marzenia, w którém człowiek działa, gdyby

---

(1) Warunki skierowania uwagi rozpatrzymy niżéj.

(2) Spencer. Essais sur le progrès. 1879. L'origine du culte des animaux, str. 86.

splot wyobrażeń własnéj osoby nie rozluźnił się był na dwie grupy, towarzyszyłoby i wyraźniejsze przypomnienie reszty wyobrażeń w skład samoświadomości prostéj wchodzących: człowiek nie mógłby wystawić sobie, że odbywał wędrówki wyswobodzony z ciała; takie wyobrażenie, jak widzieliśmy, byłoby śmieszném, gdyby mu je kto próbował poddać. Brak rozdziału wyobrażeń własnéj osoby na dwa sploty luźniéj ze sobą połączone zdaje się właśnie dostarczać psychologicznego tłómaczenia, dla czego u niektórych dzikich pomimo snów (a sny skonstatowano nawet u zwierząt, np. psów), pomimo widywanych cieni, które rzuca ich ciało, pomimo widywanych odbić w wodzie, jednakże nie ma żadnych śladów wyobrażenia duszy.

Sądzimy, że na miejscu będzie parę przykładów, dowodzących, że u niektórych dzikich istnieje tylko wyobrażenie upiorów, a nie duszy bezcielesnéj, niepochwytnéj i niezniszczalnéj. Przeciwko mieszaniu dwóch tych wyobrażeń z wielką siłą powstaje Lubbock, zaznaczając, że upiór jest materyalnym, pochwytnym, cielesnym. Jakkolwiek znajdujemy i takie przekonanie, że w ciele człowieka mieszka jego sobowtór cielesny, który może zeń wychodzić, to jednakże spotykamy i upiory tylko pośmiertne, t. j. upiory, któremi stają się ludzie po śmierci, jeżeli ciało ich nie zostało zniszczoném. Takiego rodzaju upiór, jak ostatni, nie mieszka w ciele, on sam jest ciałem. Tak niektórzy murzyni (Pocz. cywil. str. 84, t. II) mniemają, że po śmierci staną się białemi ludźmi.

„Spytajcie murzyna (Pocz. cyw. t. II, str. 83)—powiada Chaillu— gdzie jest duch jego pradziada. Odpowie wam, że nic o nim nie wié, że on umarł. Zapytajcie się go, gdzie znajduje się duch jego ojca lub brata; wtedy przestraszy się on mocno. Sądzi bowiem, iż duch ten przebywa około tego miejsca, gdzie ciało jest pogrzebane (1). Wiele plemion zmienia koczowisko zaraz po śmierci jednego ze swych członków."

Bosman donosi, że na pobrzeżu Gwinejskiém, gdy „umrze jaka znakomita osoba, wszyscy członkowie plemienia są pogrążeni w bojaźni, mniemają bowiem, że ona będzie się ukazywać przez wiele nocy około swego dawnego mieszkania."

....„Pewien buszman zabiwszy czarownicę, zgniótł jéj głowę za pomocą wielkich kamieni, pogrzebał ją, potém rozniecił wielki ogień

---

(1) I to trzeba rozumieć tak, że ciało wychodzi z grobu i błądzi po świecie. Do takiego tłómaczenia upoważniają mnie opowiadania ludowe nasze o upiorach, opowiadania, które sam słyszałem i które wyobrażały upiora jako ciało, co wylazło z grobu. Jednocześnie podawane przez wiarę ludową środki przeciwko upiorom, o ile o nich słyszałem, redukowały się do naruszenia ciała i do postawienia przeszkód przy wyjściu z grobu.

na jéj grobie z obawy, jak to objaśnił Lichtensteinowi, aby *nie wyszła* z grobu i nie przyszła go dręczyć. Nowo-Zelandczykowie mniemają, że człowiek zjedzony traci ciało i duszę (t. j. nie może wracać po śmierci). Takież przekonanie znajdujemy u kalifornijczyków, którzy według Gibbs'a wierzą w nieśmiertelność (tylko nie — „duszy") białych ludzi, ponieważ ci zakopują umarłych w ziemię, nie mniemają tego jednak o sobie, gdyż oni swe trupy palą."

Chętnie wierzymy, iż senne widma kojarząc się z wyodrębnioną grupą wyobrażeń wnętrznych nadały duszy ludzkiéj bezcielesnéj wyraźną ludzką postać i przyczyniły się do wyrobienia pojęcia nieśmiertelności, że sny w ten sposób odegrały wybitną rolę przy kształtowaniu się wyobrażenia duszy niemateryalnéj, niezniszczalnéj, ożywiającéj ciało, a uchodzącéj z niego po śmierci. Lecz brak wyobrażenia takiéj duszy, np. u kalifornijczyków wierzących w upiory białych ludzi, zmusza do przyjęcia głębszego źródła. A źródło to znajdujemy, jak zaznaczyliśmy wyżéj, w *odpowiednim* przygotowawczym umysłowym rozwoju, umożliwionym przez wyższy rozwój w budowie mózgu.

Podobnie jak na niższym stopniu umysłowego rozwoju człowiek żywym i martwym przedmiotom przypisywał do swojéj podobną samoświadomość, tak na tym wyższym przyznaje im drugą wewnętrzną istotę, bezcielesną, niemateryalną, która pozostanie po ich zniszczeniu.

Stieny z Kambodży (Pocz. cyw. t. II, str. 128) wierzą, że „zwierzęta mają także duszę, która może wracać na ziemię po ich śmierci. Dla tego téż, gdy zabijają zwierzę, bojąc się aby jego dusza nie przyszła ich dręczyć, proszą je o przebaczenie tego złego, które mu wyrządzili i składają ofiary proporcyonalne sile i wielkości zwierzęcia."

W inném miejscu (t. II, str. 133) Lubbock objaśnia zwyczaj łamania lub palenia broni i innych przedmiotów, grzebanych razem z umarłymi. „Przypuszczano—powiada—że tym sposobem chciano po prostu uniknąć dania pokusy złodziejom. Nie takie jednak znaczenie ma ten zwyczaj; dzicy nie gwałcą nigdy grobów; lecz dlatego zabijają kobiety i niewolników jakiegoś człowieka, także jego konia i psa ulubionego, aby one mogły mu towarzyszyć na drugim świecie, i dla tego to „zabijają" jego broń, aby duchy łuków, strzał i innych przedmiotów nie opuściły swego pana i żeby on w krainie duchów mógł przedstawić się w uzbrojeniu godnym wodza. Tak mieszkańcy Tahiti wierzyli, że „nietylko wszystkie zwierzęta, ale drzewa, owoce, a nawet kamienie mają duszę, która w chwili śmierci, gdy je spalą lub zniszczą, idzie połączyć się z bóstwem, a następnie wchodzi do mieszkania przeznaczonego przez bogów."

Vityjczykowie sądzą, że „gdy zwierzę lub roślina umrze, dusza ich idzie bezpośrednio do bolotu; jeżeli rozbijamy kamień lub jaką inną substancyę, nieśmiertelność również jéj się należy. Co więcéj— przedmioty sztuczne odbierają takąż samą nagrodę, jak ludzie, wieprze i *yamy*. Jeżeli siekiera lub dłuto zużyje się i zniszczą je, dusza jego idzie natychmiast na pola *bolotu*. Gdy zwalą dom, lub gdy on zniszczeje jakim bądź sposobem, nieśmiertelna jego dusza również zajmuje swe miejsce na polach bolotu.“

Sproat mówi o indyanach północno-zachodniéj Ameryki: „Gdy pochowają umarłego, jego przyjaciele palą jego ubranie, gdyż niszcząc to ostatnie na tym świecie, poślą je na tamten świat w towarzystwie duszy umarłego.“

Z większém jeszcze rozluźnieniem skojarzenia obu splotów wyobrażeń niknie i psychiczna konieczność przypisywania duszy zwierzętom i martwym przedmiotom. Rozluźnienie takie zapewne wymaga obszerniejszego rozwoju masy szaréj i włókien, może iść w parze tylko z większym rozwojem mózgu (1). Dla tego téż duszę, właściwą wyłącznie człowiekowi, znajdziemy na wyższym stopniu kultury. Takie wyobrażenie tylko ludzkiéj duszy spotykamy u starożytnych Greków za czasów Homera, t. j. u najucywilizowańszego narodu Europy przed trzema prawie tysiącami lat. Chociaż i tu jeszcze znajdziemy zagrobowe istnienie broni, jakkolwiek nie w charakterze dusz samoistnych, lecz akcesoryów cienia zmarłego. Dusze zwierząt w Hadesie także są, chociaż tylko wyjątkowo, jako akcesorya ducha nieboszczyka.

Oto kilka wyjątków z jedenastéj pieśni Odyssei (2), gdzie Odys opowiada swoję wyprawę do Hadesu:

Tak dotarłszy do samych Okeanu krańcy,
Widzim kraj—Kimerejscy siedzą w nim mieszkańcy,
Którzy w mgle i ciemnicy brodzą ustawicznéj;
Nigdy bowiem nie spojrzy na nich Helios śliczny,
Ani kiedy na niebo ugwieździone wkracza,
Ani kiedy ku ziemi ze szczytów się stacza.
Zawsze téż lud ten nędzny w grubéj nocy brodzi.

---

(1) Jako analogia pomocnicza może posłużyć wyodrębnianie się „elementarnych pól“ dotykowych, wzrokowych lub słuchowych, powodujące dokładniejszą lokalizacyę lub odróżnianie. Jakkolwiek wprawa, ćwiczenie dużo tu zrobić może, nie jest jednak w stanie znieść całkiem indywidualnych różnic. W wypadku, o którym mowa w tekście, mamy wprawdzie do czynienia z wyodrębnieniem się „pól“ mózgu daleko obszerniejszych, bo odpowiadających całym grupom wyobrażeń, nie zaś prostym wrażeniom z ich lokalizacyą (jak np. dotykowe); lecz za to różnice w budowie mózgu u ras różnych są tak znaczące, że biją w oczy i nie mogą bynajmniéj iść w porównanie z niedającemi się nieraz wcale zauważyć różnicami mózgów téj saméj rasy.

(2) Biblioteka najceln. utw. szt. europ. Odysseja, przek. L. Siemieńskiego. 1876.

Więc wywlókłszy łódź na brzeg, wybieramy z łodzi
Oble owce, i ruszym brzegiem Okeana
W tę stronę, co od Kirki była nam wskazana.
Tam Euryloch i Prymed dzierżą owce obie
Ofiarne, a jam miecza dobył i nim robię
Dół w ziemi, jeden łokieć szeroki i długi;
Do koła libacyjne zmarłym leję strugi:
Najpierw sam miód i mleko, potém słodkie wino,
W końcu wodę zmięszaną z mąki odrobiną.
I ślubowałem marom zmarłych, że gdy stane
W Itace, wraz jałówkę dam im nieskalaną
Na żertwę, i na stosie spalę coś cennego.
Tejrezjaszowi nadto zabiję czarnego
Barana, co rej wodzi w całéj méj oborze.
A gdym tak cienie zmarłych przebłagał w pokorze,
Onym owcom ofiarnym podciąłem gardziele
I krew w ten dół ściekała. Wnet duszyczek wiele
Tam się złazić poczęło z Erebu otchłani:
Młode pary, toż starce latami złamani;
Panieneczki miłością młodocianą strute;
Widma dzielnych witeziów oszczepami skłute,
Pozabijane w boju, w pokrwawionéj zbroi.
Cały ten tłum do dołu ciśnie i roi.
Wrzeszcząc tak, że aż przestrach blady mię owionie.
Więc czémprędzéj drużynę do pracy nagonię,
I każę obie owce, co leżą zarznięte,
Obłupić, dać na ogień, potém strasznie święte
Moce, tak Aidesa jak i Persefony
Błagać. Sam zaś dobywszy miecz swój wyostrzony
Wysunąłem się, broniąc marom nieboszczyków
Krwi téj lizać, nim brzmienie wyrocznych tajników
Tejrezjasz mi objawi, gdy nań przyjdzie pora.
Lecz pierwsza do mnie przyszła dusza Elpenora;
On bowiem nie pogrzebion w ziemi do téj chwili.
W domu Kirki my zwłoki jego zostawili
Nieopłakane, ani nawet pogrzebione;
Inne sprawy myśl naszą rwały w inną stronę.
Widząc go jam zapłakał, litością się kruszę
I zagabałem temi słowy biedną duszę:
— Mów-że, jakeś się dostał w te ciemne przestwory?
Nogiż niosły cię prędzéj, niż mię okręt skory?
Takem pytał, on na to mówił płacząc rzewnie:
O przemądry Odyssie! jakiś demon pewnie
Zdradził mię, a zgubiło wina nadużycie,
Żem zapomniał, zaspany na zamkowym szczycie,
Znaleźć wschody, zejść po nich bez żadnéj mitręgi—
I prostom z dachu skoczył, łamiąc kark i kręgi,
Aż dusza ze mnie poszła w ten mrok hadesowy.
Błagam cię, klnę na wszystkie najdroższe ci głowy,
Na małżonkę, na ojca coć chował i bawił,

Na syna Telemacha coś w domu zostawił,
Że gdy, jak wiem, opuścisz kraj Persefonei,
I powrócisz na nawie do wyspy Eeji,
Więc sobie wraz wspomnij, że tam moje ciało
Niepogrzebione w zamku Kirki się zostało.
Nie dajże mu się walać, nim odjedziesz w drogę,
Gdyż gniew bogów na głowę twoją ściągnąć mogę.
Przeto spal mię w tèj zbroi, którą się nosiło,
Złóż popioły nad morzem i nakryj mogiłą.
Niech o mnie nieszczęśliwym wieki wspomną sobie!
Zrób to wszystko i wiosło zatknij na mym grobie,
Którém z towarzyszami dzierżył, gdym był żywy.
. . . .
. . . .

I oto już się dusza Tejrezjasza jawi.
Z posochem złotym w ręku—poznał mię i prawi:

O synu Laertesa, Odyssie! i czemu
Świat rzuciłeś i słońcu uciekłeś jasnemu,
Aby widzieć umarłych i grozy siedlisko?
Zejdź na bok, albo miecz swój nastawion spuść nisko,
Niech się krwi tèj napiję i przyszłość wygadam.

Tak rzekł; jam się usunął i do pochew wkładam
Miecz mój srebrnogoździsty. Wieszcz czarnej posoki
Napił się, i jął przyszłe obwieszczać wyroki:
. . . .
. . . .
Skończył wieszcz, a jam na to odrzekł: Starcze miły
Taki los już mi pewnie bogi naznaczyły;
Lecz powiedz, szczerèj prawdy dowiedzieć się muszę:
Tam oto mèj nieboszczki matki widzę duszę
Siedzącą nad krwi strugą; milczy i synowi
Ani w oczy popatrzy, ani słowo powie—
Cóż robić, o mój królu, żebym był poznany?

Powiedziałem — a na to rzekł wieszcz wywołany:
Jak zrobić? rzecz to łatwa; zaraz dam ci sposób,
Pozwól tylko tym marom nieżyjących osób
Krwi tèj liznąć, a każda powie, co ma na dnie—
Lecz gdy wzbronisz, zamilknie i w głębiach przepadnie.

Tak mówił duch Tejrezja — i gdy mi nawróżył,
Znowu się w ciemne gmachy Hadesu zanurzył.
Jam został sam nad dołem; minął czas nie długi,
Aż przyszła matka moja pić z tèj krwawèj strugi;
Poznała mię i smutną powitała mową:

Synu! jakżeś się dostał w tę noc Hadesową,
Kiedyś żyw? Wam żyjącym strach patrzéć na one
Srogie rzeki wałami wzdętemi pędzone,
Najbardziéj na Okean, którego nie zbrodzi
Nikt a nikt pieszo, ...
. . . .

Czy dotąd nie widziałeś ni domu ni żony?
Tak pytała — jam na to do głębi wzruszony:
. . . .
Lecz mów mi szczerą prawdę, o matko kochana!
W jakiż sposób napadła cię śmierć nieprzespana?
. . . .
Tak pytałem, a matka rzekła w odpowiedzi:
. . . .
Synu! mnie nie zabiła Artemidy strzała,
Co tak niespodziewanie i lekko przeszywa,
Mnie nie zjadła choroba, co duszę wyrywa
Z ciała bólem żartego... Tylko drogie dziécię,
Ciągła tęskność za tobą wyssała mi życie.
Tak rzekła — we mnie wrzała chęć niepowściągniona
Marę matki nieboszczki pochwycić w ramiona.
Trzykroć chciałem ją objąć, myśląc że przygarnę,
Trzykroć umkła mi z ręku i znikła jak marne
Senne widmo, a serce i rwie się i goni
Tem gwałtowniéj. Więc rzekłem temi słowy do niéj:
O matko! nie brońże mi rozkoszy uścisku!
Czemuż się nie uściskać w tym cieniów siedlisku!
Niechby serca strapione, w łzach zmieszanych razem
Ulgę sobie znalazły... A może obrazem
Złudnym tak Persefona przedemną majaczy,
Bym poznał całą bezdeń méj nędzy tułaczéj?
Rzekłem — a matka słowy zakwili tkliwemi:
Synu! najnieszczęśliwszy z ludzi na téj ziemi!
Nie zwiodła cię tém widmem groźna Persefona,
Lecz takim jest człek każdy, gdy życia dokona,
Kiedy ciała i kości z sobą nic nie sprzęga,
Wszystko strawi płomieni niszcząca potęga,
Odkąd z białemi kośćmi życie się rozbrata,
A dusza jak sen lekka w otchłanie ulata.
Teraz na świat powracaj i w pamięci żywéj
Chowaj to! kiedyś żonie opowiesz te dziwy.
. . . .
. . . .
Owóż gdy na skinienie groźnéj Persefony
On tłum cieniów niewieścich zniknął rozpierzchniony,
Widziałem, jak Atrydy duch przyszedł posępny,
A z nim pomknął i orszak duchów nieodstępny
Tych wszystkich, co w Egista zamku dali głowy...
Ledwo krwi się téj napił cień Agamemnowy,
Wraz mię poznał, w głos łzami zaszlochał rzewnemi,
Ręce ku mnie wyciągnął, chcąc przygarnąć niemi.
Lecz darmo! już z nich siła życia uleciała,
Dająca niegdyś gibkość członkom jego ciała.
Na ten widok serdecznie łzy mi się polały,
. . . .
Gdy nas dwóch tak naprzemian z sobą rozmawiało,

Mieszając w nasze smutki łzę rzewną co chwila—
Pomknęła ku nam dusza Pelida Achilla,
Za nią dusza Patrokla z Antylocha duszą,
Wreszcie Ajas, co kształtem i olbrzymią tuszą
Wszystkie gasił Danaje — Achilla nie liczę —
Owóż duch Eakidy od razu oblicze
Poznał moje, i taką powitał mię mową:
Laertiado Odyssie! o zuchwała głowo!
Na jakiż czyn się zrywasz, większy niźli wszystko?
Coś zrobił! Po co wszedłeś w to zmarłych siedlisko,
Gdzie z ludzi tylko cienie mdławe i bezwiedne?
. . . .
Rzekłem — on z odpowiedzią nie dał na się czekać:
Odyssie! ty chcesz w śmierci znaleźć mi pociechę?
Wolałbym do dzierżawcy iść pod biedną strzechę
Na parobka, i w roli grzebać z ciężkim znojem,
Niż tu panować nad tym cieniów marnych rojem.
Lecz mów mi, co słyszałeś o grackim mym synie;
W domuż siedzi, czy w boju chodzi, męztwem słynie?
. . . .
Rzekłem — a duch Achilla, eackiego księcia,
Na Asfodelu mroczną łąkę się oddalił,
Uradowan, żem syna męztwo tak wychwalił.

Inne zaś, co tam były, nieboszczyków cienie
Stały smutne, na swoje płacząc przeznaczenie;
A tylko cień Ajasa syna Telamona
Stał podal. Jego postać srodze zachmurzona
Przez to, żem go w zapasach przemógł, i nagrodą
Wziął zbroję Achillesa, którą głosów zgodą
W dank mi dali Trojańce i Pallas-Atene,
A Tetys przeznaczyła za zwycięztwa cenę.
Było lepiéj mi nigdy zwycięzcą nie zostać,
Niżby miała pod ziemię pójść ta wielka postać
Ajasa, co nad Greków wzrósł takiemi czyny,
Że tylko go Achilles prześcigał jedyny.
Więc zagabłem, Ajasa witając serdecznie:
. . . .
. . . . On milczał; poczém k'Erebu się zwrócił
I odszedł w tłumie martwych nieboszczyków
. . . .

Syn Zewsa, boski Minos, wpadł w oko najpierwéj,
Siedzący z złotém berłem sądził on bez przerwy
Dusze zmarłych; te stojąc, siedząc, z obu boków
W bramie Aisa, słuchały wyroków.
Po nim znów olbrzymiego Oryona ujrzałem:
Na łące Asfodelu pędził on nawałem
Zwierzynę wszystką, jaką w kniejach pozabijał,
Gdy żył i w ręku pałką śpiżową wywijał.
. . . .

Po czém heraklesowe widmo tuż przy dole
Stanęło, on sam bowiem siedział w Bogów kole
Na niebiańskiéj biesiadzie z Hebą na pieszczocie.
W koło widma mar roje, niby ptaków krocie
Spłoszonych, wciąż szeleszczał. On jak noc ponury,
Stał z łukiem i napinał bełt nastrzępion póry,
Groźnie patrząc, i gotów grot miotać za grotem;
Przez piersi jego pas wisiał rzemienny, a złotem
Rzniętem w cudne figury zdobny i łyszczący—
. . . .

Opowiadanie to jest tak żywém, tak jasno maluje starożytne wyobrażenie duszy, że napróżno byśmy starali się je lepiéj uwydatnić. W duszy homerycznéj czytelnik spotyka formę, jaką miał człowiek za życia aż do szczegółów ubrania i przedmiotów, które mu za życia sprawiały przyjemność. Dusza mówi, krzyczy, płacze, pije, rozmyśla, objawia wolę, smuci się, biada, zaciekawia, cieszy. Brak jéj namacalnego ciała i kości; może ona robić wysiłek, lecz nie ma twardych członków i tułowia, które by posłuszne sprzęgającéj je duszy uchwyciły i uścisnęły przyjaciela. Wreszcie krew orzeźwia ją, wzmacnia i ożywia jéj pamięć.

Rozwój samoświadomości nie zatrzymał się jednak na przygotowaniu gruntu dla wyobrażenia duszy takiéj, jaką sobie wyobrażali Grecy przed trzema tysiącami a i dziś jeszcze pospólstwo nasze sobie wyobraża. Poszedł on daléj. Nim jednak ten wyższy stopień samoświadomości, podstawę do bardziéj oderwanego wyobrażenia duszy rozpatrzymy, musimy poświęcić chwilkę czasu zjawiskom uwagi i woli, potrąconym zaledwie w poprzedzającém rozwinięciu.

Już wyżéj zaznaczaliśmy, że naraz może uświadomić się wiele wyobrażeń, lecz że z nich jedno jest najjaśniejszém, inne są słabszemi; napomykaliśmy także, iż w tém najwyraźniejszém wyobrażeniu pewne wrażenia są bardziéj, inne mniéj wyraźne. Jeżeli będziemy szukali przyczyny różnicy, często znajdziemy ją w drażnieniu organów zmysłów. To wyobrażenie, które zostało wywołaném przez zewnętrzną podnietę, jest zwykle najsilniejszém, a w niém znów najwyraźniejszemi są wrażenia, odpowiadające bezpośrednio podrażnieniu, słabszemi zaś przypomniane przez dopełnianie się wyobrażenia.

Ponieważ wrażeń siła i wyrazistość rośnie z siłą podrażnienia, z siłą wywołanego impulsu, co dla wszystkich nerwów dośrodkowych skonstatowano z dostateczną dokładnością, bo nawet wyrażono w formie matematycznego wzoru (prawo Weber'a), więc różnicę w wyrazistości wrażeń musimy przypisać różnicy w sile impulsów. Dopóki zatém chodzi o wyobrażenia wywołane przez zewnętrzne podniety, jest zrozumiałem, że ich wrażenia wywołane bezpośrednio

są silniejsze od przypomnianych dopiero przez rozbiegające się impulsy nerwowe (1).

Pozór ten zrozumiałości ginie jednak w wypadkach, kiedy przy większym zwłaszcza umysłowym rozwoju, zdarza się, iż pomimo pewnéj choć umiarkowanéj siły podniet zewnętrznych wyobrażenie najwyraźniejsze w całości jest tylko *przypomnianém*, a nie wywołaném przez podrażnienie zewnętrzne; pytanie: co jego impulsom zapewnia należytą siłę? Zjawisko może być w danym razie wytłómaczone tylko pod warunkiem, pozytywnéj odpowiedzi na ostatnią kwestyę. Odpowiedź jednak wszystkim jest znana. Uwaga, powiadamy, podnosi siłę wyobrażenia przypomnianego i zapewnia mu należytą jasność. Co to jest uwaga? Oczywiście coś, co wzmacnia wyobrażenia. Czy odczuwamy to wzmacniające coś? Kto używa wyrażenia „natężona uwaga", ten wie, że wzmacniające coś odczuwamy w formie wrażeń napięcia, natężenia, które zwykle uświadamiają się na moment przed uwydatnieniem wyobrażenia i często jeszcze towarzyszą mu późniéj. Owe wrażenia napięcia, *wrażenia uwagi* szczególniéj uwydatnione są wtedy, gdy np. wyobrażenie przypomniane walczy o jasne uświadomienie się z dochodzącym odgłosem muzyki, rozmowy. Przeważa wówczas to wyobrażenie odgłosu, to wrażenie napięcia i za niém wyobrażenie przypomniane; gdy zaś ostatnie zwycięży, wrażenie uwagi z niém się kojarzy, a wyobrażenie odgłosu usuwa się w świadomości na dalszy plan.

Gdybyśmy jednak ograniczyli uwagę do *wrażeń* napięcia, dalibyśmy o niéj pojęcie niedokładne. Rozszerzmy więc je tak, aby charakterystyka stanów świadomości nie szwankowała.

Kiedy nie uświadamiają się wrażenia napięcia, kiedy brak „natężonéj uwagi", i wtedy z wyobrażeń przypomnianych (jeżeli takie tylko w danéj chwili zaprzątnęły umysł) jedno jest od innych jaśniejszém. Ztąd wnosimy, że wówczas również ma miejsce wzmocnienie

---

(1) Pospolitém jest przekonanie, że impulsy nerwowe, wchodząc w ośrodki, rosną w sile i stają się coraz potężniejszemi w miarę przebieżonéj ilości masy nerwowéj. Jest to słusznem, ale tylko po części, mianowicie dla impulsów bardzo znacznéj siły; dla impulsów o sile słabszéj masa nerwowa stanowi o tyle trudną do przebycia przeszkodę, że zawsze wymaga całego szeregu impulsów prostych by zostać podrażnioną; szereg ten musi być tém dłuższym, im słabsze są impulsy pojedyncze. Jeżeli zaś z komórki nerwowéj wychodzi znaczna ilość dróg, jak to zdaje się mieć miejsce szczególniéj w półkulach, to nawet zwiększenie przez nią impulsu może okazać się nieraz niedostateczném do podrażnienia dalszych komórek. W ostatnich czasach zebrano pewną ilość danych, które wskazują, że im większą jest komórka, tém więcéj impulsów prostych „sumuje", nim sama impuls daléj wyśle. Wreszcie dodajmy, że w szaréj masie półkul są komórki bardzo różnéj wielkości.

jednego wyobrażenia z upośledzeniem innych, jakkolwiek wzmocnienie to nie uświadamia się bezpośrednio w formie jakichbądź wrażeń. Brak ostatnich jest przyczyną, że o „uważaniu“ w podobnych wypadkach dowiadujemy się dopiero przez *analizę* danych stanów świadomości, tj. przypominając przebieg wyobrażeń i rozpatrując ich stosunkową jasność. Ponieważ idea o uwadze kształtowała się nie tylko z wrażeń napięcia, ale i przy pomocy analizy stanów świadomości, więc nic dziwnego, że gdy mowa o uwadze, to każdy oprócz wrażeń natężenia wyobraża zarazem jeszcze przewagę jednego wyobrażenia pod względem jasności.

Istnienie wzmocnienia, któremu żadne wrażenia nie odpowiadają, każe przypuścić jakiś specyalny czynnik, jakieś impulsy nerwowe, wzmacniające czynność ośrodków czuciowych a nie uświadamiające się bezpośrednio. Nadajmy im nazwę impulsów uwagi. Wundt je przypisuje osobnemu ośrodkowi, *ośrodkowi uwagi* (1), który podług niego zajmuje górną część płatów czołowych, a zatém sąsiaduje ze stacyami ruchowemi. Pozostaje nam w téj chwili wyjaśnienie związku między potężniejącą czynnością ośrodka uwagi, która objawia się odpowiedniem zwiększaniem jasności wyobrażeń, a występowaniem w świadomości wrażeń napięcia, których siła wzmaga się równolegle z domniemanym wzrostem siły impulsów uwagi. Rozpatrując źródło wrażeń napięcia, zobaczymy, że one są następstwem skurczów mięśni naokoło czaszki rozłożonych. Skurcze te wykonywają się bez odpowiednich aktów woli, bez współudziału świadomości, tak, jak rozmaite giesty i mimiczne zmiany na twarzy. Wundt tłómaczy je drażnieniem odnośnych ośrodków (stacyj) ruchowych przez impulsy uwagi, wybiegające i na niewłaściwą dla siebie drogę z jéj ośrodka, gdy czynność ostatniego zwiększy się ponad pewną miarę.—Skurcze pomienionych mięśni są ze swojéj strony powodem impulsów dośrodkowych, zmierzających z mięśni do stacyi czucia mięśniowego, ze skóry przez mięśnie napiętéj—do stacyi dotykowéj w półkulach. Zatém przy uwadze natężonéj w związku ze wzmacnianiem wyobrażenia jest czynność trzech ośrodków: 1° ośrodka uwagi, 2° części ośrodka czucia mięśniowego i 3° części stacyi dotykowéj; 2-gi i 3-ci dla krótkości obejmiemy nazwą czuciowego ośrodka uwagi.

Ponieważ wrażenia napięcia, natężenia są jedyną formą bezpośredniego uświadomiania się uwagi, jedynym jéj bezpośrednim przedstawicielem w umyśle, więc wyrazu „kojarzenie“ możemy używać tylko stosując go do tych przedstawicieli nie zaś do czynności ośrod-

(1) Wundt go nazywa organem apercepcyi.

ka uwagi. Uprawnia takie użycie słowa dotychczasowy „usus“ łącznie z tą ważną okolicznością, że w skład wyobrażeń mogą wchodzić jedynie owe wrażenia napięcia nie zaś same impulsy uwagi, które nie są elementami psychologicznemi i dla tego nie dostarczają materyału, jaki składa się na wiedzę człowieka. Z tém wszystkiém jednak, gdy będziemy mówili o kojarzeniu jakich bądź elementów świadomości z wrażeniami uwagi, to będziemy mieli zawsze na myśli nie tylko wyrobienie dróg od innych ośrodków czuciowych do czuciowego ośrodka uwagi, lecz jednocześnie i do ośrodka impulsów uwagi, a zarazem i dróg łączących jeden z drugim. Gdy zatém użyjemy wyrażenia np. takiego: „Skojarzenie wrażeń świetlnych z wrażeniami uwagi wzmacnia się,“ to będziemy rozumieli, że powiększa się wyrobienie dróg od ośrodka wzrokowego i do ośrodka wrażeń napięcia, i do ośrodka impulsów uwagi, i pomiędzy obu temi stacyami.

Wróćmy teraz do uświadamiania się wyobrażeń.

Uwydatnienie jednego wyobrażenia z pomiędzy wszystkich zajmujących umysł w chwili danéj Wundt nazywa *apercepcyą*, słabsze zaś uświadomienie pozostałych—*percepcyą*. Zgodnie z tém, cośmy wyżéj powiedzieli apercypowanemu wyobrażeniu może brakować wrażeń uwagi, lub nie. Ztąd zachodzi potrzeba odróżnienia obu tych wypadków, tém bardziéj, że obadwa dla naszego zagadnienia mają ważne znaczenie. Nazwijmy zatém pierwszy *apercepcyą nieświadomą*, drugi—*apercepcyą świadomą*.

Gdy więc dane wyobrażenie zwycięża inne w walce o uwydatnienie, świadoma jego apercepcya w naszém odczuwaniu ściśle się wiąże z wrażeniem uwagi. Ponieważ zaś, jak przedtém zaznaczyliśmy, wrażenie uwagi pod względem wzrostu siły swojéj zwykle na moment uprzedza uwydatnienie samego wyobrażenia i potém z niém się kojarzy, więc w umyśle naszym przedstawia się jako wzmocnienia *bezpośrednia przyczyna*.

Świadomość nasza ożywia się całą masą wyobrażeń tak wywołanych bezpośrednio jak przypomnianych; w jednych chwilach, odbywa się między wyobrażeniami bardzo słaba lub żadna, w innych silniejsza, a czasami potężna walka o świadomą apercepcyę, a więc o zdobycie uwagi reprezentowanéj przez wrażenia napięcia, natężenia. Jak objaśnić, że jedne z wyobrażeń ubiegają drugie w tych zapasach? Wszak łatwość przypominania zależy od siły skojarzenia (resp. od wyrobienia dróg nerwowych): otóż jeżeli skojarzenie między elementami danego wyobrażenia a wrażeniami napięcia, które rozstrzygają o apercepcyi świadoméj, jest mocniejszém, niż skojarzenie z niemi wrażeń innego wyobrażenia, to oczywiście pierwsze

wyobrażenie przypomni wrażenia napięcia wyraźniéj ze swojemi składnikami. Ostatnie zaś zostają przez wrażenia napięcia wzmacniane i zarazem *monopolizują* je dla siebie tém dokladniéj im jaśniejszemi się stają (1).

W jakiż więc sposób zapewnić elementom wyobrażenia potrzebną siłę skojarzeń? Odpowiedź na to pytanie ma niezwykłą wagę dla pedagogii i, gdzie chodzi o podawanie uczniowi nowych wiadomości, stanowić powinna punkt wyjścia dla całéj teoryi; ponieważ zaś i na kwestyę duszy rzuci światło, więc rozpatrzmy w krótkości kilka znanych sposobów zwracania uwagi.

1-szym warunkiem zwrócenia uwagi na nowe wyobrażenie jest *siła* podniety, 2-gim *brak innych podniet*. Drugi już oddawna, pierwszy zaś dopiero w nowszych czasach znalazł zastowanie w pedagogice i zyskuje uznanie coraz większe. Wypełnienie pierwszego warunku spotykamy w metodzie, która zamiast gołosłownego opisu, posiłkuje się o ile tylko można okazami. Okazy dostarczają całéj masy podniet względnie silnych, gdy tymczasem słowa opisu budzą tylko niejasne przypomnienia przez osłabione rozbieganiem się impulsy wyobrażeń słuchowych; tak więc okaz zdobywa uwagę szturmem, budzi ją (wyrabia się doskonała droga do obu ośrodków uwagi) dzięki samej sile wrażeń, które łatwo natenczas wchodzą w skojarzenie z wrażeniami napięcia; gdy tymczasem opis słowny ma wszelkie szanse słabego przeciwnika w obec choćby poruszeń samego nau-

---

(1) Tak rzecz przedstawia się przy analizie stanów świadomości. Fizyologia jednak dostarcza wskazówek na dokładnych doświadczeniach opartych, że *ośrodki w półkulach połączone i współcześnie czynne wzmacniają swoję czynność wzajemnie;* trzeba więc sądzić, że nietylko ośrodek uwagi i ośrodek jéj wrażeń wzmacniają czynność danych ośrodków czuciowych, lecz że i ostatnie ze swojéj strony wzmacniają czynność tamtych. Szereg faktów, dotyczących wpływu jednych ośrodków na drugie, w zestawieniu z warunkami świadomości (a poczęści i niezależnie od tego zestawienia) wskazuje równie, że *wzajemna wymiana impulsów* (*złożonych*) *między ośrodkami czynnemi* (*oprócz wzmacniania*) *ogranicza wychodzenie impulsów do innych, które są z tamtemi połączone i których czynność w danéj chwili jest słabszą lub żadną.* Ograniczenie to przedstawia *pewien stosunek* (% całej siły wychodzących z danego ośrodka impulsów), który jest tém większym, im różnica między pracą ośrodków więcéj i mniéj czynnych jest większą. Zasada ta wybornie tłómaczy monopolizowanie wrażeń uwagi przez silniejsze wyobrażenia. Wartość jéj tém jest większą, że objaśnia ona wyrabianie się dróg nerwowych odpowiadające skojarzeniom i wszelkie formy przekształceń ruchów pierwotnie dowolnych na ruchy od woli niezależne, a w związku z zasadą dziedziczenia i na ruchy instynktowe, a nawet odruchy. Rzecz jasna, że ani wyprowadzenia powyższych twierdzeń o wpływie ośrodków ani wyjaśnień dopiero co omówionych niepodobna rozwinąć w przypisku. Czytelnik więc raczy je uważać za założenia tylko, tém bardziéj, że jakkolwiek fakta w obecnéj chwili już wystarczają, jednakże w formie powyższéj prawa te dla półkul przez specyalistów-fizyologów dotychczas sformułowane nie zostały.

czyciela, własnych westchnień ucznia i jego kolegów, widoku książki na ławce, lub muchy łażącej po ścianie, a nawet w obec twardości ławy szkolnej. Zachowanie drugiego warunku wyraża się w usunięciu z sali wykładowej wszelkich okazyj postronnych, które by mogły drażnić oko lub ucho, „rozrywać uwagę," „powodować roztargnienie."

Silne podrażnienie zewnętrzne apercypowaném bywa zawsze z wielką łatwością, jednakże w niém *wrażenie* uwagi jest stosunkowo (w porównaniu z właściwemi elementami wyobrażenia) słabszém niż przy podnietach umiarkowanych, lub wcale nie występuje wyraźnie. Objaśnienie faktu podamy niżej, teraz zaznaczmy tylko, że wskutek tego apercepcya wyobrażeń, przez silne (nie umiarkowane) zewnętrzne podniety wywołanych, jest prawie nieświadomą, lub względnie mało świadomą. W odczuwaniu naszém uświadomienie tego rodzaju wyobrażeń przedstawia się jako akt *przymusowy*, od uwagi naszéj niezależny.

Apercepcya zaś umiarkowanych podniet wydaje się tylko *bierną*, a czasem nawet czynną, mianowicie wtedy, gdy wyobrażenie było oczekiwaném. To ostatnie rozpatrzymy przy 3-cim sposobie kierowania uwagą; jakkolwiek on dotyczy tylko wyobrażeń przez wyrazy przypominanych, to jednak łatwo go czytelnik zastosuje i do wyobrażeń wywołanych przez umiarkowane podniety.

3-cim sposobem, okazującym skuteczną pomoc, jest *przypomnienie uprzednie* wyobrażenia, mającego stanowić przedmiot wykładu, lub przynajmniéj zbliżonego doń treścią. Gdy zapowiada się słuchaczowi, o czém będzie mowa, lub gdy on za każdym razem z toku mowy się domyśla, odpowiednia okolica półkul zostaje podrażnioną a nowe jéj podniecenie sumuje się z poprzedniém i daje rezultat większy, niż gdyby podniecenie uprzednie nie nastąpiło (ma tu miejsce przez fizyologów t. zwane „sumowanie impulsów"). Gdy chodzi o myślenie bez pomocy zewnętrznych podrażnień, to wielokrotne, przez rozmaite skojarzenia wywołane przypominanie tego samego (lub zbliżonego doń) wyobrażenia zapewnia mu podobne korzyści.

W obu wypadkach przypominania drażnione są i właściwe ośrodki czuciowe i ośrodki uwagi, sumowanie więc impulsów odbywa się i w jednych i w drugich; pierwsze zapewnia właściwym elementom wyobrażenia siłę potrzebną do zmonopolizowania uwagi dla siebie, drugie zapewnia odpowiednią siłę uwagi (świadoméj), która ma być zmonopolizowaną. Ośrodki w ten sposób przygotowują się—uwaga *przystosowuje*. Ponieważ wrażenie uwagi występuje wyraźnie jeszcze przed wywołaniem wyobrażenia przez wyraz wy-

kładu, więc apercepcya wydaje się *czynną*, tj. wrażenie natężenia jéj przyczyną.

4-ty sposób zapewnienia wyobrażeniom znacznéj siły uwagi (czyli uwagi świadoméj) polega na uprzedniém wywołaniu, lub z toku myśli wynikającém przypomnieniu takiego wyobrażenia, które już ma *wyrobione mocne skojarzenia* z wrażeniem napięcia. Jeżeli potém dane wyobrażenie kojarzy się z przypomnianém, to za pośrednictwem jego zyskuje wrażenia napięcia dla siebie. W najdoskonalszy sposób zastosowany ten fortel odpowiada Bain'owskiemu „nadaniu tajemniczości," w brutalnéj zaś formie jest groźnym nakazem „uważać!" Tajemniczość przyobleka rzeczy doskonale znane, jeżeli występują w nowéj nieprzewidzianéj kombinacyi, która nie znajduje oparcia w innych wyobrażeniach. Sposób zaciekawienia rozpatrzmy na przykładzie.

Chcę np. mówić o tak zwanym „sferoidalnym stanie" płynów. Zaczynam od przypomnienia, że do czerwoności rozgrzane żelazo skórę człowieka rani, jeżeli zaś uderzyć ręką spoconą po żelazie rozpalonem do białości lub włożyć ją do roztopionego, to nawet oparzenia nie będzie. Poruszyłem więc wyobrażenia dobrze znane, mające wybornie wyrobione skojarzenie z wrażeniem napięcia: wrażenie napięcia, uwaga jest wzbudzoną. Jeżeli teraz opowiadam daléj, że ochroną od gorąca, którém bucha żelazny strumień jest cienka warstewka potu, dająca przy tak wysokiéj temperaturze parę dostatecznéj prężności: to wyobrażeniu potu, pary itd. zapewniłem wejście w skojarzenie mocne z wrażeniem napięcia. W podobny sposób i dalsze objaśnienia, mające stan płynu i pary za punkt wyjścia, będą z uwagą przyjęte. Jeżeli jednak słuchacz teoryę „stanu sferoidalnego" zna, przypomni mu się niezwłocznie szereg wyobrażeń przedstawiających jéj rozwinięcie, zabiorą one uwagę dla siebie, nim wykładający zdąży powiedzieć nowe zdanie, i choćby powiedział w ciągu wykładu jakiś nieznany słuchaczowi szczegół, ten ostatni może zostać przeoczonym: wykład znudzi.

Przy 4-tym sposobie, jak przy 3 cim wrażenie natężenia występuje wyraźnie przed wyobrażeniem, z którém ma się skojarzyć, i tu więc apercepcya jest czynną.

5-ty warunek sprzyjący apercepcyi da się streścić w jedném słowie: *obszerność* wyobrażeń. Mówca, pisarz, nauczyciel operując wyobrażeniami o ile można obszerniejszéj treści, tj. ile się da zbliżonemi do konkretnych, wywołuje w umyśle słuchacza wyraźne uświadamianie się wyobrażeń łatwiéj, niż wtedy gdy używa słów odpowiadających ideom bardziéj oderwanym lub, gorzéj jeszcze, takich, które żadnych idei nie budzą, będąc dla umysłu słuchacza symbolami po-

jęć jedynie. Przy postępowaniu, które uwzględnia obszerność wyobrażeń, uwaga słuchacza mniéj się natęża i nie tak prędko męczy.

Spróbuję wykazać to na przykładzie. Przypuszczam oto, że umysł czytelnika niewprawnego w rozmyślanie abstrakcyjne mniejbym znużył, gdybym zdanie: myśli zwierząt układają się w formie szeregów skojarzonych wyobrażeń konkretnych lub idei mało oderwanych, nie zaś symbolów pojęciowych—zastąpił zdaniem: mózg psa, gdy pan jego bierze laskę i kapelusz, zajęty jest obrazem wymarszu na spacer w towarzystwie pana, a nie myślą „pan weźmie mię z sobą na przechadzkę“ w wyrazach lub innych odpowiednich znakach (1).

Ten 5-ty warunek, sprzyjający apercepcyi, jest zachowywany przez powieściopisarzy i poetów, częściowo zaś tylko może być wypełniony w traktatach naukowych; dla tego to powieści i utwory beletrystyczne czytuje z niekłamanem *zajęciem* bardzo szerokie koło publiczności, gdy tymczasem naukowe dzieła, pozornie nawet popularne, interesują tylko ludzi, w umyśle których idee bardziéj oderwane i symbole pojęciowe mają, dzięki długiéj wprawie, dobrze wyrobione skojarzenia z wrażeniami apercepcyjnemi (resp.—dobrze wyrobione drogi do obu ośródków uwagi).

Spróbujmy teraz wyjaśnić, jak zachowanie 5-go warunku może zapewnić wyżéj wymienione korzyści. Do tego wystarczą dane fizyologiczne, przytoczone w poprzedzającym odsyłaczu.

Im wyobrażenie jest obszerniejszém, tém więcéj jest czynnych komórek na rozmaitych stacyach czuciowych, więc ośrodek impulsów uwagi: 1°, otrzymuje podrażnień więcéj, bo z większéj ilości punktów mózgu, 2°, sam drażniony jest w liczniejszych miejscach. I jedno i drugie *ułatwia* dostateczne jego podniecenie nawet przy stosunkowo słabszych impulsach drażniących; pierwsze—dla tego, że impulsy sumują się, drugie—dla tego, że współcześnie czynne i połączone komórki wzmacniają swoją działalność. To samo stosuje się i do podniecenia czuciowego ośrodka uwagi i wpływu wzajemnego jednego jéj ośrodka na drugi.

Podniecane są oba ośrodki uwagi przez impulsy wychodzące ze stacyi czuciowych z komórek czynnych; im większa jednak w danym razie jest ilość ostatnich (a wszystkie ich grupy są wzajemnie połączone, bez tego bowiem odnośne wrażenia nie kojarzyły by się),

(1) Laurze Bridgman ślepéj, głuchéj i pozbawionéj powonienia, znaki dotykowe do tego stopnia zastąpiły język ludzki, że utwory pisarzów angielskich za pomocą téj mimiki podawane, były dla niéj przystępnemi.

tém więcéj one wzmacniają swoję czynność wzajemnie same, niezależnie od ośrodka uwagi, i tém bardziéj ogranicza się siła impulsów mających podrażnić oba ośrodki uwagi. Ztąd po pierwsze, ośrodki uwagi dla wzmocnienia wyobrażenia mniéj czynnemi być potrzebują; powtóre, istotnie *stosunkowo* słabiéj są drażnione, a przeto *mniéj się męczą.*

Utworzone skojarzenia między wrażeniami uwagi a elementami obszernego wyobrażenia co do mocy odpowiadają czynności odnośnych dróg nerwowych; w przypomnieniu więc wyobrażenia obszernego jego właściwe elementy będą wyraźne, chociaż wrażenie natężenia *mniéj jasno* wystąpi w porównaniu z niemi; ztąd przypominanie wyobrażeń obszernych jest nie tylko łatwiejszém od przypominania idei oderwanych, lecz przy jednakowych warunkach i mniéj świadomém: znajdujemy, że uwaga nasza wtedy się mniéj natęża (oczywiście, jeżeli nie ma innych jeszcze przyczyn pobudzenia).

Warunek 5-ty, jak łatwo widzieć, pod względem świadomości apercepcyi zbliża się do 1-go, apercepcya jest raczéj bierną niż czynną i objaśnienie fizyologiczne, którego próbkę tu podaliśmy, stosuje się do apercepcyi wyobrażeń, bezpośrednio przez zewnętrzne podniety wywołanych, z tém jedynie zastrzeżeniem, iż wrażenia uwagi słabną coraz bardziéj *w porównaniu* z właściwemi elementami wyobrażeń.

Inne warunki uwagi, na ile mi są znane, można sprowadzić do powyższych; tak np. wywołanie wzruszeń przez mówcę, zapewniające uwagę słuchaczy, jest po prostu wzbudzeniem wyobrażeń, mających doskonale wyrobione drogi do ośrodków uwagi, a zatém sprowadza się do zachowania 4-go warunku.

Z powyższego rozbioru warunków uwagi świadoméj wyprowadźmy określenie roli wrażeń napięcia, natężenia w przyjmowaniu nowych wiadomości. Otóż przy 3-cim i 4-tym warunku występują one w świadomości jeszcze przed wyobrażeniem mającém powstać, a potém wzmacniając je, kojarzą się z jego elementami: Wskutek czego przedstawiają się jako *bezpośrednia przyczyna* wzmocnienia wyobrażeń: *one oczekują. spotykają przez wyrazy wywołane wyobrażenie i lokują je w umyśle z mniejszym lub większym mozołem.*

W innych wypadkach przyjmowania świadomości uwaga świadoma nosi charakter bierny, a nawet przymusowy; analizując stan świadomości w takich razach, powiadamy, że mówca pociąga, zniewala nas do słuchania siebie, że przedmiot dany przykuwa do siebie naszą uwagę, że od książki oderwać się nie można; że dźwięki wrzaskliwéj katarynki gwałtem wciskają do naszego umysłu i przerywają bieg naszych myśli i t. p.

Zajmijmy się teraz udziałem wrażeń uwagi przy abstrahowaniu. Jak wiemy już, uwaga przyczynia się do oczyszczenia idei z wrażeń właściwych tylko pojedyńczym wyobrażeniom—wrażeń, które składają się na cechy „przypadkowe", gatunkowe. Wyjaśniając w jaki sposób się to odbywa, rozwiążemy zarazem i kwestyę udziału wrażeń apercepcyjnych.

Skojarzenia gotowe tém są mocniejsze, im więcéj razy powtórzył się proces kojarzenia. Jeżeli prawo to zastosujemy do wrażeń, wchodzących w skład grupy wyobrażeń jednego rodzaju, z których każde osiągnęło apercepcyę świadomą, to dojdziemy do wniosku, że wrażenia wspólne wszystkim wchodzą w najmocniejsze skojarzenia z wrażeniami uwagi, a zatém przez uwagę mogą być wzmocnione łatwiéj od pozostałych. Wszystkie przeto wrażenia, wchodzące w skład wyobrażeń jednego rodzaju możemy podzielić na dwie grupy: pierwsza obejmuje wrażenia wspólne, składające się na cechy rodzajowe i łatwo zdobywające uwagę, druga—wrażenia odpowiadające indywidualnym cechom przedmiotów i w przypomnieniu trudniéj zdobywające uwagę.

To, co powiedzieliśmy o skojarzeniu wrażeń wspólnych z wrażeniami uwagi, stosuje się i do skojarzenia ich z elementami np. wyobrażenia słuchowego, które, przypuśćmy, jest imieniem pospolitém. Ponieważ zatém imię pospolite jest silniéj skojarzone z wrażeniami wspólnemi i ponieważ ostatnie łatwiéj zdobywają uwagę: więc imię pospolite łatwiéj przypomina kombinacyę wrażeń wspólnych i ostatnie uświadamiają się wówczas jaśniéj od pozostałych; wyraźna treść wyobrażenia przypomnianego przez imię pospolite równa się sumie rodzajowych cech przedmiotów, sumie zaś indywidualnych—niewyraźna, słabo uświadomiona.

Zastosujmy teraz prawo, wykryte przez Wundt'a. Głosi one, że im bardziéj uwaga jest natężoną, im jaśniejszém jest wskutek tego uświadomienie się wyobrażenia, tém bardziéj się ogranicza jego obszar: wrażenia łatwiéj zdobywające uwagę niejako monopolizują ją dla siebie, i z treści wyobrażenia (a raczéj grupy wyobrażeń) cechy gatunkowe w danéj chwili znikają, staje się ono *ideą.*

Ponieważ przy wzmacnianiu wyobrażeń przypomnianych wrażenie uwagi uświadamia się na moment przed uwydatnieniem wyobrażenia, z którém się kojarzy, więc przyczyną bezpośrednią utworzenia idei w umyśle naszym przedstawia się oczywiście wrażenie uwagi. Przy analizie własnéj świadomości wydaje się nam, że *uwaga, reprezentowana przez natężenie, oddziela cechy rodzajowe od gatunkowych, ostatnie odrzuca, a z pierwszych robi ideę.*

Aby wyjaśnić, w jaki sposób wyobrażenie, które pod wpływem natężonéj uwagi zrobiło się ideą, może następnie zachować szczupłość ostatniéj i przy słabszém natężeniu uwagi, lub przy apercepcyi nieświadoméj, musimy wprowadzić w ciąg naszych wywodów jeszcze trzecie, ogólniejsze prawo biologiczne, które brzmi tak: elementy organizmu, których czynność się potęguje, rozwijają się, elementy zaś z czynnością słabnącą — zanikają. Ponieważ uświadomieniu się wrażeń odpowiada czynność określonych dróg nerwowych (komórek i włókien je łączących), zatém te drogi, których czynność składa się na cechy rodzajowe, przez wielokrotne powtarzanie wyobrażenia z natężoną uwagą wyrobić się muszą mocniéj, pozostałe zaś, których czynność odpowiadająca cechom indywidualnym słabnie lub całkiem ustaje, muszą w porównaniu z tamtemi zanikać. Z powodu tak zmienionych stosunków anatomicznych, oczywiście, już i przy słabszém natężaniu uwagi, lub nawet bez widocznego natężania jéj, przypomni się tylko idea z cech indywidualnych oczyszczona.

Wyjaśnienia, które tu podaliśmy, tłómaczą zarazem dla czego sam wyraz, mający znaczenie imienia pospolitego (do takich zaliczyć należy nie tylko rzeczowniki lecz np. czasowniki i przymiotniki) traci coraz bardziéj zdolność przypominania wyobrażeń konkretnych, zwłaszcza, gdy żadne nie powtarza się częściéj od innych tego samego rodzaju. Dopiero co opisane zeszczuplanie wyobrażeń, które daje początek ideom, Wundt nazywa zgęszczaniem wyobrażeń („Verdichtung"). Zgęszczanie więc wyobrażeń usuwa z pamięci cechy gatunkowe, prowadzi do zapomnienia wyobrażeń konkretnych, pozostawiając same idee, a nawet, jak wspomnieliśmy w ustępie o abstrahowaniu, w pierwszéj połowie tego szkicu umieszczonym, zaciera powoli i same idee, jeżeli umysł nasz operuje częściéj wyrazem odnośnym, niż odpowiadającą mu ideą. W podobnych wypadkach umysł posiada tylko odnośne pojęcia, nie mogąc już zdać sobie sprawy z ich powstania.

Stan podobny przedstawia najwyższy wprawdzie stopień, jaki może osobnik osiągnąć na drodze rozwoju abstrakcyi; jednak nie jest on pożądanym, gdyż usuwa możność zastosowania Spencerowskiego kryteryum prawdy bez powtórzenia całéj pracy abstrahowania na nowo; jeżeli zaś jest osiągnięty odrazu, tylko przez ładowanie „wiadomości, gdy pamięć najłatwiéj je wsysa", to wytwarza umysł niekrytyczny, t. j. taki, dla którego ma główne znaczenie „intuicya", czyli po prostu przypominanie zdań wyrazowych raz wpojonych, a nie wiedza sprawdzalna. Wyrabiać pojęcia w umyśle ucznia drogą naturalną jest to uczyć go myśléć i uważać. Pogląd ten wyda się jeszcze słuszniejszym, gdy przedstawimy tworzenie sądów analitycznych i syntetycznych i zwykły sposób wnioskowania.

Do analitycznego sądu prowadzi wyraźne uświadomienie się idei, wywołane np. przez skojarzony z nią symbol wyrazowy, będący zarazem symbolem odnośnego pojęcia. Jeżeli tedy bieg myśli naprowadzi umysł na ideę, a warunki zapewnią jéj monopol (1) uwagi natężonéj, to ona zajmie główne miejsce w świadomości naszéj. Lecz w skład jéj wchodzą różne wrażenia, jedna grupa ich jest w lepszych warunkach wobec walki o apercepcyę niż druga, druga — niż trzecia i t. d.; po całéj więc idei uświadamia się najwyraźniéj naprzód pierwsza, potém druga, po niéj trzecia, i t. d.; gdy każda z grup stając się względnie samoistną, ma sposób wejścia w skojarzenie z symbolem wyrazowym, symbole te będą się szykowały w szereg kojarzonych następczo ogniw zdania lub szeregów zdań. Gdy więc idea, która zdobyła główną pozycyą w świadomości, faluje błyszcząc po kolei jedną, drugą, trzecią i t. d. grupą składników swoich, w umyśle naszym przesuwa się szereg zczepiających się wyrazowych wyobrażeń, które tworzą myśl—sąd analityczny.

Rozpatrzmy dwa łatwiejsze przykłady. „Skupiam“ uwagę na idei lampy stołowéj. Naprzód najwyraźniéj uświadomiła mi się podstawa, potém zbiornik z naftą, daléj palenisko z knotem, kinkiet i klosz. Wygłaszam więc sąd analityczny: „lampa składa się z podstawy, zbiornika z naftą, paleniska z knotem, kinkietu i klosza.“

„Litość jest to wzruszenie przykre lecz usposabiające przychylnie względem upośledzonéj istoty“ — oto drugi sąd, przedstawiający rezultat nieco trudniejszéj analizy jednéj ze stosunkowo bardzo obszernych idei.

Sądy syntetyczne tworzymy przy względnie słabszém zmonopolizowaniu uwagi. gdy ona obejmuje i dźwiga na tron świadomości całą grupę idei, których skojarzenia przedstawiają stosunki pojęciowe. Względem idei lampy taką grupę pomoże nam wystawić sobie przypomnienie użytku; wyrażając te stosunki słowami, czyli rozwijając pojęcie lampy, wypowiemy sądy syntetyczne: „lampa stołowa oświetla pokój, zapalamy ją. umieściwszy na stole wtedy, gdy się ściemni“ i t. p.

Sąd syntetyczny względem idei litości może być np. taki: „litość jest ważnym czynnikiem w postępie uspołecznienia.“

Rzecz jasna, iż sąd analityczny jest takim tylko względem odpowiedniego syntetycznego, względem zaś szczuplejszych idei, którym odpowiadają jego wyrazy lub grupy wyrazów, skoro raz został

---

(1) Używamy tego wyrazu dla wskazania na przeważne lecz nie na absolutne opanowanie uwagi.

utworzony, jest rozwinięciem odnośnych pojęć. Wszelkie więc sądy ostatecznie są rozwinięciem pojęć, a różnią się sposobem powstawania. Tworzenie sądu syntetycznego jest identyczne z rozwijaniem pojęć, powstałych w sposób, w ustępach o abstrahowaniu wyżéj podany; tworzenie zaś analitycznego przedstawia drugi sposób (1) powstawania pojęć, wymagający nierzadko użycia *ad hoc* sporządzonych nazw, kształtowania których objaśniać nie możemy, zasłaniając się głównym celem tego szkicu.

Sądy, jak można widzieć z tego, cośmy o nich powiedzieli, przedstawiają zakończające stadya w urabianiu pojęć. Jak przy tworzeniu idei, tak samo i przy sądach bezpośrednią przyczyną całego aktu wydaje się natężenie uwagi, które poprzedza na moment uwydatnienie przypominanych idei i wyrazów i kojarzy się z niemi; rolę jego wyrazilibyśmy tak: *natężenie uwagi wprowadza na scenę i analizuje idee; uwydatnia ich grupy i rozpatruje każdą z nich; wyciąga ze skarbca pamięci odpowiednie wyrazy i układa je w należytym porządku.*

Przejdźmy teraz do wnioskowania. Oto przykład.

Widzę żabę na brzegu stawu, zbliżam się (wnioskując, że) ucieknie; żaba wskakuje do wody i zatrzymuje się przy brzegu na powierzchni roślin wodnych; chcę ją złapać, (zawnioskowałem, że jeżeli) schylę się powoli, żaba nie skryje się w głąb'; tak się téż stało; (wnioskuję, że) zrobiwszy szybkie poruszenie zdążę ją złapać; chap! już ją mam. Bieg wyobrażeń był taki, jaki kreślą słowa nie objęte nawiasami. Robiłem podobną próbę kilka razy: w umyśle moim idee, odpowiadające konkretnym wyobrażeniom tego szeregu, weszły w skojarzenia następcze; w danym zaś razie nowe wyobrażenia konkretne dopełniały się wrażeniami odnośnych idei i wywoływały przypomnienie skojarzonych z niemi w odpowiednim porządku, np. wyobrażenie konkretne mego zbliżania się, włączając przez dopełnianie ideę zbliżania (utworzoną przez wiele podobnych wypadków) przypominiało skojarzoną z ostatnią ideę uciekającéj żaby; daléj wyobrażenie konkretne żaby, zlewając się z elementami idei żaby na mocy dopełniania, weszło tém samém w skojarzenie współczesne i z elementami, które z ideą żaby składały się na ideę żaby uciekającéj, i wniosek „żaba ta ucieknie“ był gotów i to daleko prędzéj, niż gdyby był wyprowadzony z pomocą sylogizmu w rodzaju następującego: „wszystkie żaby za zbliżeniem się uciekają, to co widzę jest żabą, a więc ona ucieknie“; nawet sprawdzanie za pomocą takiego sylogizmu było co najmniéj zbytecznem: siła skojarzeń między ideami

---

(1) Trzeba jednak przyznać, że on w części musi być przygotowanym przez pierwszy, skutkiem czego między obydwoma trudno przeprowadzić wyraźną granicę.

oto jedyne kryteryum prawdy, chociaż stosowałem je mechanicznie, i żaden sylogizm nie miałby sensu bez tego skojarzenia: nie budziłby ufności.

Jakaż jest rola wrażeń natężenia uwagi przy wnioskowaniu? Wniosek np. „żaba ta ucieknie“ zawiera przypomnianą ideę „ucieknie“; przypomnienie to poprzedzone zostało przez natężenie uwagi, które wraz z wyobrażeniem konkretném żaby weszło następnie z ideą w skojarzenie współczesne. Umysłowi memu zatém przedstawiła się natężona uwaga jako bezpośrednia przyczyna wniosku: *natężenie jéj przypomniało (uwydatniło) ideę uciekania i połączyło ją z wyobrażeniem danéj żaby.*

Gdybyśmy w podobny sposób rozebrali stosowanie kryteryum prawdy lub bytu przekonalibyśmy się, że i tu również natężenie uwagi poprzedza uwydatnienie krytykowanych zdań i sprawdzających je idei lub sprawdzanych wyobrażeń i potém z niemi się kojarzy; i tu *natężenie uwagi zdaje się powoływać przed sąd umysłu zdania i wyobrażenia.*

Zajmijmy się jeszcze rolą wrażeń uwagi w „fantazyowaniu.“ Wprzód jednak zaznaczymy, że gdy daje się wolny bieg myślom, t. j. gdy nie ma ani zewnętrznych okoliczności, ani takiego ciągu myśli, który by w szczególniejszy sposób pobudzał naszą uwagę: to wyobrażenia nie wzmacniane w wybitny sposób nie współubiegają się o apercepcyę, a wynurzają się i igrają na powierzchni naszéj świadomości w porządku takim, w jakim je uszykowały skojarzenia poprzednie; jedno z nich bez wyraźnéj walki zajmuje tron świadomości i po małéj chwilce ustępuje bez widocznéj niechęci drugiemu, a samo spuszcza się na poziom zwyczajny i po krótkiém bujaniu tonie w niepamięci. Taką apercepcyę bez walki Wundt nazywa „bierną“ (zaznaczmy, że użyty wyżéj przez nas ten sam wyraz ma nieco odmienne znaczenie).

Nie tak jest, gdy uwaga zostanie podniecconą w szczególniejszy sposób; wówczas współzawodnictwo wyobrażeń staje się wyraźniejszém; te bowiem, które były by bardzo słabe bez tego, teraz stają się silnemi („myśli tłoczą się nawałem“ powiadamy) i po dłuższym dopiero czasie jedno z wyobrażeń zwycięża, aby potém swoją drogą zostać zwyciężoném. Przy warunkach pomocniczych, które w zaraz niżéj podanym opisie zaznaczymy, mogą wchodzić na główną arenę świadomości takie wyobrażenia, które przy wolnym biegu myśli nigdy by takiego zaszczytu nie dostąpiły. Porządek wyobrażeń nie jest już ściśle takim, jakim go zrobiły dawniejsze skojarzenia; te ostatnie dostarczają tylko materyału, lecz walka i warunki pomocnicze mniéj lub więcéj zmieniają koléj, bo robią pewien *wybór* z pomiędzy

całego materyału i ten wybór wyobrażeń w nowy sposób kojarząc, w nowe grupy układają.

Oto jesteśmy na progu fantazyi twórczéj. W umyśle artysty skutkiem biegu myśli, lub zewnętrznych warunków mignie błyskawicą cały, choć w szczegółach nie jasny jeszcze obraz—mała grupka idei, skierowująca na siebie natężoną uwagę. Ta to mała grupka idei toruje drogę skojarzeniom nowym. Wyobrażenia dawniéj skojarzone niby szeregi tancerzy suną całą masą po gładkiéj przestrzeni świadomości, lecz elementy pierwszego obrazu podają rękę pomocną tylko swoim najbliższym sąsiadom (3-ci łącznie z 4-tym warunkiem sprzyjającym skierowaniu uwagi). przez swoje pośrednictwo zbliżają je do światła uwagi i z całéj pstréj masy robią dobór podług planu pierwotnego obrazu, który staje się coraz obszerniejszym, coraz bardziéj złożonym, w miarę jak włącza coraz nowe części. Uwaga silnie wytężona oświetla wprawdzie jednę część najmocniéj, lecz i resztę obrazu dość wyraźnie. Artysta robi szkic, który już podniecać może jego organy zmysłów, i każda część szkicu kieruje uważaniem z potęgą zewnętrznego podrażnienia, wypełnia się nowym doborem z pośród wywołanych przez skojarzenia wyobrażeń, dopóki nie wyczerpie odpowiedniego materyału, który nagromadził się w głowie artysty. Nie mówimy tu o nowych studyach, które nierzadko robi artysta dla uzupełnienia harmonijnéj całości.

Myślenie w pojęciach, t. j. słowami nie bierze albo żadnego, albo bardzo mały udział w całém tém cudowném zjawisku, cudowném zaiste, bo stwarza się obraz, do jakiego rzeczywistość dostarczyła artyście materyału, lecz który w całości swéj jest prawowitym płodem mistrza.

Taką jest twórcza działalność ducha nie tylko artysty lecz wynalazcy, i uczonego w pracy syntetycznej, nim zacznie studyami wypełniać program swojéj fantazyi. Nie sądzę, abym ubliżył trzem wymienionym kategoryom filarów postępu na drodze umysłowego rozwoju ludzkości, jeżeli dodam, że do ich twórczéj pracy, ze względu na psychologiczno-fizyologiczny mechanizm, jest całkowicie podobną robota urzędnika, który według znanego mu szematu opracowuje nowy referat z nowego materyału.

A teraz odpowiedzmy na pytanie: jaką rolę w twórczéj pracy ducha odgrywają wrażenia natężonej uwagi? Umysł posiadł obraz-szemat, który podniecił uwagę, wywołał jéj natężenie i ze swojéj strony otwiera mu drogi dla wzmocnienia niektórych z pośród całéj masy wyobrażeń przewijających się po polu świadomości. Oczywiście natężenie uprzedza uwydatnienie każdego z uprzywilejowanych wyobrażeń, a potém z niem się kojarzy, taki przynajmniéj jest rezul-

tat analizy własnych stanów świadomości; moglibyśmy go wyrazić tak: natężenie uwagi wywołuje i grupuje wyobrażenia, *natężenie uwagi wykonywa pracę twórczą.*

Tak więc, czy człowiek nabywa nowych wiadomości, urabia idee i pojęcia, czy analizuje swój umysłowy dobytek i porządkuje go w formie sądów, czy sprawdza, czy tworzy: zawsze na terenie umysłowym aktorem jest natężenie uwagi; czasami tylko aktor ten musi poddawać się silnym podnietom zewnętrznym, które wtedy (jeżeli tylko natężenie się uświadomiło) zdają się nim kierować. On wciąga i utrwala nowe wiadomości; on kieruje rozumowaniem, on kieruje walką wyobrażeń i robi ich wybór, — słowem, *on rządzi myślą, myśli lub bywa rządzonym;* nazywamy go wówczas *siłą uwagi* lub po prostu uwagą.

Przejdźmy do rozbioru czynności dowolnych. Każde działanie zewnętrzne człowieka składa się z szeregu ruchów, mówienie także jest szeregiem ruchów i to bardzo złożonym. Poruszenie dowolne następuje wtedy, gdy jego wyobrażenie (1) zostanie apercypowaném, t. j. gdy wyobrażenie danéj czynności zajmie w świadomości najwybitniejsze miejsce. (Percepcya jego w danych warunkach przedstawia tylko „chcenie"). Fizyologicznie objaśnia się to tém, że impulsy odpowiednich ośrodków czuciowych w półkulach osiągają siłę potrzebną do podrażnienia odnośnych stacyi ruchowych; te zaś pobudzają niższe ośrodki mózgu, t. zw. ośrodki uporządkowania (koordynacyi) ruchów. Wszystkie impulsy nerwowe, prowadzące do wykonania ruchu, nie uświadamiają się wcale; ostatniém ogniwem w świadomości przy ruchu dowolnym jest jego wyobrażenie. Nie będziemy się wdawali tu w rozbiór ruchów, które następują bez ich wyobrażenia, lecz tylko w skutek wyobrażeń innych, jak np. pisanie słowa następuje po wyobrażeniu słowa, wymówienie po apercepcyi wyobrażenia słuchowego i t. p.; są to już szeregi ruchów, których tylko początek jest w ścisłém znaczeniu dowolnym, reszta zaś posiada charakter, który nazywamy pospolicie „machinalném wykonywaniem", chociaż nie nosi ono jeszcze cechy przymusu, jak właściwe odruchy.

Wszystko, cośmy powiedzieli o apercepcyi świadoméj wyobrażeń wogóle, stosuje się i do wyobrażeń ruchu własnego. I tu więc bezpośrednią przyczyną wykonania ruchu przedstawia się w umyśle naszym owo szczególniejsze wrażenie natężenia, napięcia. I tu w razie walki wyobrażeń (walki „motywów" postąpienia) staje się ono wydatniejszém niż w innych razach, zdaje się wybierać jedno z wyobrażeń i decydować o wykonaniu i rodzaju ruchu, postępku.

(1) Wzrokowo - dotykowo - mięśniowe zwykle.

Rezultat więc analizy aktów woli daje się streścić tak: apercepcyjne wrażenia napięcia wybierają ruchy, postępki, lub je odrzucają; one są przyczyną bezpośrednią naszéj działalności, one nią kierują—nazywamy je wówczas *siłą woli*, lub po prostu wolą.

Poświęćmy jeszcze chwilkę czasu wzruszeniom. Kwestya ta jest niezwykle trudną i my poprzestaniemy na jednym przykładzie, który dla naszych celów wystarczy.

Oto uczeń dość pracowity, pojmujący swoje obowiązki dał się wczoraj unieść figlom i dziś nie umie lekcyi, a nauczyciel surowy. przenikliwy. wymagający, pamięta długo, jeżeli kto lekcyi raz mu nie odpowiedział dobrze. Wyobrażenie nauczyciela wywołującego nazwisko zajęło umysł młodzieńca na długo przed lekcyą: teraz od godziny prawie nie znika ze świadomości; gdy uczeń probuje słuchać, jak inni wydają, ich gładka wymowa przypomina mu wciąż: „nie umiem"..., „wyrwie"...; spojrzy na książkę, na zeszyt... „nie umiem"..., „wyrwie"...; spojrzy na nauczyciela... „wyrwie!"... „nie wyrwie?".. „może nie wyrwie".. „dawno nie mówiłem... wyrwie... napewno wyrwie!" Wyobrażenie to wciąż powraca, zwycięża inne, nie puszcza ich prawie wcale na główne miejsce w świadomości, litery z książki migają w oczach, słowa lekcyi uderzają nawpół ogłuchłe ucho.... nauczyciel pisze stopień... „napewno postawi mi pałkę!"... „wyrwie"... „teraz wyrwie!" W klasie cisza grobowa, uczeń przestaje oddychać, serce wolno... wolno zrzadka uderza, ale tak mocno, że całe ciało drga... Nauczyciel podnosi głowę... spogląda w stronę ucznia, wpatruje się w bladą twarzyczkę... serce prawie się nie odzywa, oddech zamiera. Nauczyciel zaczyna pierwszą zgłoskę—prąd gorący wzdłuż przeszył ucznia piersi, w brzuchu odezwał się ruchem, ciepławo się zrobiło. Delikwent wstaje niechętnie, powoli, jąka źle słyszane urywki, miesza się, spuszcza oczy.. (straszne bowiem są te wyrzuty sumienia).

Wzruszenie takie nazywa się obawą. Nie zważając na fizyologiczne skutki, zaznaczamy tylko stosunek wzruszenia do apercepcyjnych wrażeń napięcia: i do uwagi i do woli. Wzruszenie je pochłania tu więcéj niż kiedykolwiek główne wyobrażenie monopolizuje je dla siebie, lecz siła jego własnych wrażeń jest potężną, i chociaż wrażenia napięcia są wyraźnemi, jednak bynajmniéj nie zdają się warunkować apercepcyi wyobrażenia, przeciwnie ostatnie całkiem wyraźnie panuje nad niemi, ściąga je gwałtem i kojarzy ze sobą, zupełnie tak, jak wyobrażenie, które jest następstwem bardzo silnego podrażnienia i odrywa natężoną, świadomą uwagę od pracy, w jakiéj udział przed chwilą brała. Rezultat analizy własnego stanu świadomości daje przekonanie, które wyrażamy w słowach: „*wzruszenie* (emocya), *opanowało m n i e, kierują m n ą.*

Wzruszenia (emocye, afekty), które w czasie przebiegu swego wywołują ruchy, zostające w związku z dalszym przebiegiem wzruszenia, nazywają się popędami. W ruchach, jakie popędom towarzyszą, musielibyśmy odróżnić całą gammę przejść od ruchów dowolnych, w ścisłém znaczeniu tego słowa, aż do odruchów; wszystkie kombinują się. plączą w sposób nader złożony i rozmaity.

Po tém ogólném rozpatrzeniu zjawisk uwagi, woli i wzruszeń, wróćmy do dalszego różniczkowania się splotu wyobrażeń wnętrznych. Wyliczmy główniejsze z nich: naprzód, wyobrażenia wysiłków mięśni członków i tułowia (zawsze prawie zawierające i słabe elementy dotykowo-wzrokowe), dalej apercepcyjne wrażenia napięcia, natężenia, wrażenia z dróg oddechowyeh, uczucia ogólne i wreszcie wzruszenia.

W miarę umysłowego rozwoju człowieka rosła jego praca duchowa, coraz głębszą stawała się przeróbka wyobrażeń konkretnych przez abstrahowanie, analizę, wnioskowanie, twórcze fantazyowanie; w miarę coraz większéj ilości motywów (czy to moralnéj, czy technicznéj treści) coraz częstszą stawała się walka wyobrażeń poprzedzająca czyny. Słowem z postępem umysłowego rozwoju rosła czynność intelektualna i na najwyższym szczeblu ewolucyjnéj drabiny o wiele prześcignęła tworzenie się nowych wyobrażeń konkretnych i ilość silniejszych wzruszeń: życie człowieka cywilizowanego stało się więcéj duchowém w przeciwstawieniu do zmysłowego życia dzieci natury, a nawet życia starożytnych bohaterów homerowéj epopei.

Te silne wrażenia tak należące do wzruszeń, jak i bezpośredniém drażnieniem wywoływane, które cofają apercepcyjne wrażenia napięcia na drugi plan, zmniejszyły się znacznie w porównaniu z ilością słabszych składników wyobrażeń przypominanych. Jakież było tego następstwo? Oto coraz większa, coraz wybitniejsza przewaga apercepcyjnych wrażeń natężenia. Ciągłe i mocne ich występowanie zlało je w jednę ideę, która wprawdzie ściśle jest skojarzoną z najrozmaitszemi innemi ideami, jednak tak często przeważa pozostałe ich elementy, tak znacznie z pośród nich się wyróżnia, iż uzyskała pewną odrębność, samodzielność.

Tak więc z przewagą życia intelektualnego, z pośród wszystkich wyobrażeń wnętrznych otrzymała przewagę, jako najwybitniejsza i najstalsza, grupa wrażeń natężenia powodujących apercepcyą i towarzyszących jéj. Wyodrębniły się one do pewnego stopnia i ukształtowały w jednę ideę, ideę czegoś, co (rozwijamy skojarzenia téj idei z innemi) kieruje wyborem i przyjmowaniem wiadomości, analizą ich, wnioskowaniem, twórczą pracą ducha, analizą stanów świadomości — słowem biegiem myśli w najogólniejszém tego słowa

znaczeniu;—czegoś, co kieruje także naszą czynnością, przyjmuje taki, a odrzuca inny sposób postępowania i ulega wzruszeniom: słowem czegoś, co myśli, rządzi i jest rządzonem przez emocye. Katechizm nazywa to coś „duszą,“ filozofia—„podmiotem“ („subjekt“), „jaźnią“, a każdy z nas z osobna—swojém „ja.“

Nasze Ja, nasza dusza, to już nie jest ciało, ani upiór cielesny; nie jest ona czémś nieznikomém wprawdzie, niepochwytném, lecz mającém kształty ciała, jak dusza homeryczna; nie jest wreszcie ani naszemi myślami, ani wyobrażeniem ruchowém, ani wzruszeniem, bo jest czemś, co samo rządzi myślą i czynem i bywa rządzonem przez inną potęgę, potęgę wzruszeń, podszeptów to zacnych, anielskich, boskich,—to brudnych, podłych, szatańskich.

Zdaje mi się, że dopiero na tém stadyum człowiek mógł od siły duszy oddzielać potęgę, *bezpośrednio* wywołującą wzruszenia, i przenosić bezpośrednie jéj źródło na osobne istoty; że dopiero na tym szczeblu rozwoju mogła powstać teorya łaski, pokusy i sumienia.

Pozostało nam jeszcze wskazać źródło apercepcyjnych wrażeń napięcia, które kojarząc się ze sobą, złożyły się na ideę duszy katechizmowéj.

Zacznijmy od wypadków zaznaczonych przez Fechner'a (1).

Gdy oczekujemy wrażeń wzrokowych, czujemy natężenie w oku. Ażeby określić ich przyczynę, zauważmy, jak się oko wówczas zachowuje. Oto jest ono skierowane w stronę źródla podniety, utrzymuje się nieruchomo w tém położeniu i błyszczy niezwykle. Kieruje okiem, jak wiadomo sześć mięśni, z których cztery, zaczynając się w głębi oczodołu, idą ku przodowi wprost do gałki ocznéj. Między głębią oczodołu a gałką oczną znajduje się poduszeczka tłuszczowa (jak we wszystkich częściach ciała wytrzymujących większe ciśnienie), która nie pozwala mięśniom wciągnąć gałki wgłąb' (2). Gałka oczna tém silniéj przyciska się do poduszeczki im potężniéj skurczą się mięśnie. Gdy obejmiemy wycięte oko wołowe np. i będziemy z tyłu je naciskali, blask rogówki się powiększy, wytłaczana bowiem ku przodowi zawartość gałki ocznéj naciąga rogówkę i wygładza ją. Blask więc nieruchomo skierowanego oka wskazuje na wysokie, *nadmierne* natężenie mięśni, które je w tém położeniu utrzymują (3). Oprócz tego powieki wówczas nieco się naciągają, co

---

(1) Wundt. Grundzüge etc. t. II, str. 208, p. także str. 219 (o uświadomieniu uwagi).

(2) H. Meyer. Handbuch der Anatomie des Menschen 1873, str. 354.

(3) Radość potęguje siłę skurczów wszystkich mięśni i przez to zwiększa blask oka; smutek osłabla je i gasi blask oka.

wskazuje na skurcz mięśnia okrężnego oka; przy tém nierzadko skóra na czole i brwiach lekko się fałduje, co świadczy o skurczu mięśni czołowych i mięśni marszczących brwi. Rozpatrzmy teraz psychiczne następstwo tych skurczów. Między ścięgnem mięśnia a jego włóknami znajdują się drobniutkie ciałka Pacini'ego i szczególniejszéj formy drzewiaste rozgałęzienia włókien nerwów dośrodkowych, odkryte przez Golgi (1). Skutkiem skurczu mięśni jest ucisk zakończeń obu rodzajów, a ostatecznėm następstwem tego podrażnienia są wrażenia natężenia ze wszystkich wyżéj wspomnianych mięśni (z mięśni gałki ocznéj o tyle tylko, o ile skurcz ich jest nadmiernym). W skórze czoła, w powiekach a nawet w saméj rogówce są liczne zakończenia dotykowe nerwów dośrodkowych; skutkiem zmarszczenia skóry i naciągnięcia powiek są impulsy dotykowe z tych okolic głowy; impulsy te przedstawiają drugie źródło wrażeń napięcia. Wreszcie skutkiem zmarszczek na czole jest napięcie skóry na czaszce całéj wyjąwszy boków; napięcie to potęguje się jeszcze nieco przez skurcz mięśnia potylicowego, który ściąga skórę czaszki ku tyłowi (2). Tak więc źródłem wrażeń napięcia przy oczekiwaniu wrażeń wzrokowych oprócz samego oka, zajmującego główne miejsce, okazuje się jeszcze przednia, górna i tylna strona czaszki, co zresztą przy pewnėm staraniu nie trudno skonstatować.

Gdy oczekujemy wrażeń słuchowych, uczuwa się podług Fechner'a natężenie w uchu. Za źródło jego mamy wszelkie prawo uważać przedewszystkiem nadmierne skurcze mięśni kostek słuchowych (mięśnie te odgrywają pewną rolę przy słuchaniu), daléj skurcze mięśni muszli usznéj, chociażby nawet niewidoczne dla spostrzegacza, wreszcie błonę bębenkową, skórę muszli usznéj, skroni i nawet ciemienia, naciąganą przez skurcze mięśni muszli.

Oko i ucho dostarczają najobfitszego materyału wszelkim, najbardziéj nawet poziomym spekulacyom cywilizowanego człowieka.

---

(1) W roku 1880. Histologia techniczna. Ranvier (tłóm. ros.) str. 1106.

(2) Mięśnie czołowe, marszczące brew, potylicowe, a także mięśnie muszli usznéj o których będzie mowa niżéj są niejednakowo rozwinięte u różnych osób. Niektórzy umieją dowolnie marszczyć czoło i brwi, naciągać skórę na czaszce skurczem mięśnia potylicowego; wreszcie poruszać muszlę uszną i nawet zmieniać jéj formę. Wszystkie tu wymienione zmiany obserwowałem na dwóch osobach, nie wątpię, że one chociaż mimowoli i w małym stopniu odbywają się jednak u wszystkich, albowiem u wszystkich są odpowiednie mięśnie. Że z obecności mięśnia można wnosić o kurczeniu się jego chociażby mimowolném, widzę dowód w tém, że usiłowania moje skierowane ku *dowolnemu* wywołaniu skurczu podskórnego mięśnia szyi (platysma myoides) zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem, udaje mi się natężać go, lub wywoływać drganie skóry; czyż by to było możebném, gdyby mięsień ten wcale się nie kurczył?

Śmiało więc możemy przyjąć wrażenia napięcia, następujące przy apercepcyi wyobrażeń przypomnianych, za przypomnienia wrażeń, które weszły w swoim czasie w skład wszystkich wyobrażeń konkretnych, przez te dwa główne zmysły kształtowanych. Wreszcie przy apercepcyi przypomnianych wyobrażeń ma miejsce nierzadko istotny i mimowolny skurcz mięśni czoła i potylicowych, a zatém rzeczywiste napięcie skóry na całéj czaszce; przypomniane więc wrażenia napięcia znajdują jeszcze w bezpośredniém powtórzeniu przyczynę swojego spotęgowania.

Tak więc źródło wrażeń, co złożyły się na ideę duszy katechizmowéj jest czysto zmysłowém; chociaż wrażenia z naciągania skóry pochodzące różnią się zasadniczo swoim charakterem od właściwych wrażeń dotykowych przy macaniu otrzymywanych, przy tém występują zawsze z wrażeniami natężenia odpowiednich mięśni i jakościowo tak mało są od nich oddalone, że prawie niepodobna jedne od drugich oddzielać. Na ideę przeto „jaźni“ złożyły się prawie *jednorodne* wrażenia.

Wrażenia natężenia rozmaitych mięśni, towarzyszące im wrażenia napięcia skóry, a także właściwe dotykowe stanowią główny materyał idei przestrzeni u wszystkich bez wyjątku, a jedyny u ślepych i u Laury Bridgman ślepéj, głuchéj, bez powonienia i z osłabionym smakiem, chociaż rozumiejącéj utwory angielskich autorów. Cała więc zmysłowa treść „jaźni“ pozwala tylko na lokalizacyę jéj w przestrzeni. Gdy skurcz wyżéj wyliczonych mięśni głowy jest rzeczywistym i nieco znaczniejszym, z łatwością czujemy źródło odnośnych wrażeń. Gdy zaś rzeczywistych skurczów brak, lub są nieznaczne, to wrażenia przypomniane i słabe bezpośrednie, jako symetrycznego pochodzenia, składają się na lokalizacyę źródła natężenia, napięcia we wnętrzu czaszki, jakkolwiek nie tak wyraźną, jakiem jest przy symetrycznych podnietach dźwiękowych umiejscowienie źródła dźwięku (1).

Treść idei „jaźni“, nie dająca się rozłożyć przez analizę, nakazuje nam przypisać jéj charakter jednolity, nierozkładalny; brak właściwych elementów dotykowych w treści idei odbiera jéj cechy przedmiotu, stawiającego opór; brak wrażeń wzrokowych lub innego rodzaju usuwa ostatecznie wszelką możliwość identyfikowania jéj z materyą. Z tém wszystkiém umiejscowienie, nie nadając wprawdzie

---

(1) Jeżeli przyłożyć dwa równobrzmiące telefony jeden do jednego, drugi do drugiego ucha, to źródło dźwięku odnosimy wyraźnie do jednego punktu położonego wewnątrz czaszki na średniém płonowém jéj przecięciu (p. Fiz. Foster'a, tłóm. ros. dopełn. Tarchanow'a w t. II, str. 236).

wyraźnych rozmiarów, zmusza jednak do przyznania jaźni charakteru pewnéj istności, pewnéj substancyi.

Kryteryum prawdy, zastosowane do pojęcia jaźni, duszy katechizmowéj, nie pozwala ani na chwilę wątpić o jego słuszności: *Ja* przedstawia się jako jedyna i absolutna powaga, rozstrzygająca w ostatniéj instancyi w kwestyach uwagi i woli, podległa jednak wpływowi wzruszeń. Ztąd ta zaciekła walka przeciw determinizmowi, którego podstawy dla nie-statystyka i nie-psychologa lecz dla zwyczajnego śmiertelnika są daleko mniéj poważne, niż świadectwo własnego kryteryum, na którego zresztą znaczeniu tylko w bardziéj złożonéj kombinacyi opiera się i wiara deterministy w swoje wywody.

Sprawdzian bytu zastosowany do idei jaźni (jestem przekonany, że czytelnik nie pomiesza idei duszy z pojęciem jéj) daje rezultaty bardziéj pozytywne niż w jakimbądź wypadku: idei téj bowiem niepodobna przy analizie wyrugować ze świadomości, im bardziéj natężoném jest usiłowanie, tém jaśniéj w naszéj świadomości ona się uwydatnia. Bytu naszego Ja, bytu duszy katechizmowéj, opierając się na analizie własnych stanów świadomości, niepodobna zaprzeczyć; zwątpić można by wtedy, gdyby świat cały i naszą cielesną powłokę udało się *odczuć* jako fikcyę, a raczéj gdyby możliwém było przestać odczuwać cokolwiekbądź. Co więcéj, jak nie można sobie wyobrazić końca przestrzeni, końca czasu, tak niepodobna sobie *wyobrazić* końca istnienia naszéj jaźni, naszego Ja, a śmiertelności duszy, jak by się wyraził katechizm; na to trzeba by raz przynajmniéj umrzéć tracąc, a zarazem i zachowując samoświadomość.

Subiektywna więc analiza, zastosowana w celu sprawdzenia bytu duszy i w celu stwierdzenia prawdy sądów analitycznych, wyrażających jéj udział w czynności psychicznéj, daje rezultaty stwierdzające w zupełności jedno i drugie; tém niemniéj jednak inną drogą, drogą badań przyrodniczych, fizyologiczno-psychologicznych zdobyte sądy muszą tamte przekonania poprawić: mówią one naprzód, że samoświadomość jest rezultatem czynności półkul mózgu, w rzeczywistości żadnéj substancyi nie odpowiada i ustanie, gdy czynność półkul się przerwie, podobnie jak znikają wyobrażenia halucynacyjne, gdy chory przychodzi do zdrowia; że, powtóre, czynności i myśli nasze są określone przez skojarzenia wyobrażeń między sobą i wyrobienie dróg od odpowiednich ośrodków czuciowych do ośrodków uwagi, a nie przez absolutnie wolną, niezależną wolę.

Oto są dwa rodzaje przekonań; obadwa przedstawiają się zarówno słusznemi i, jakkolwiek jeden zdaje się wprost przeczyć drugiemu, tém nie mniéj obadwa w jednym umyśle zgodnie mieścić się

mogą, jeżeli je łączy wyjaśnienie, w jaki sposób ten sam mechanizm, który określa nasze czyny w sposób bezwzględny, wytwarza zarazem błogie przekonanie o wolności woli i usposabia do wiary w nieśmiertelność.

Rzecz oczywista, że podobne pogodzenie, podobna poprawka dotyczy tylko pojęcia duszy i że to ostatnie z ideą duszy pozostaje i zapewne choć nie nazawsze (bo samoświadomość zmienia się), to jednak na długo jeszcze pozostanie w sprzeczności. Oto największy paradoks psychologiczny.

Pomijaliśmy w dotychczasowém przedstawieniu idei duszy rolę uwagi nienatężonéj, jako całkiem podrzędną; nie możemy jednak nie zaznaczyć jéj ważności dla przyszłego ukształtowania się samoświadomości naszéj. Że taka uwaga (którą nazwaliśmy nieświadomą nie dla tego, ażeby wyobrażenia przypomniane np. słuchowe „uważać!", „uwaga!" nie miały jéj wywoływać, a zatém skierowanie jéj robić „dowolném", lecz dla tego, że brak jéj w świadomości bezpośredniego przedstawiciela, jakby termometru wskazującego jéj stopień) ma przed sobą przyszłość, widać z porównania człowieka dzikiego z cywilizowanym. Oto jeszcze wyjątek z „Początków cywilizacyi" (I, 15).

Lichtenstein opisuje buszmana „przedstawiającego prawdziwą postać małéj niebieskiéj małpy w Kafreryi. *Żywość jego oczu, ruchomość jego brwi, czyniły to porównanie uderzającém. Nozdrza i kąty ust, nawet uszy ruszały się mimowolnie.* Z drugiéj strony nie było w całéj twarzy ani jednego rysu, któryby znamionował nawet tę ograniczoną inteligencyę, którą on posiadał" (1).

Jakże posągowo w obec tego wyglądają oblicza ludzi cywilizowanych, np. profesorów-matematyków, którzy w czasie prelekcyi pochłaniającéj całą ich uwagę zachowują prawie zupełną nieruchomość nie już uszu lub brwi, lecz twarzy całéj, a nawet postaci.

Jeżeli tak daléj pójdzie, czyż świadomość siebie nie zostanie całkiem pozbawioną dziś już tak szczupłego termometru uwagi? Czy nie zmieni się wówczas *idea* duszy? czy nie straci ona zupełnie ów charakter substancyalności, spowodowany umiejscowieniem? Zapewne że tak, a przez to otwartą zostanie droga do usunięcia paradoksu psychologicznego. Wundt już dziś wysuwa na pierwszy plan „Gefühl des Aufmerkens", „uczucie uważania", jakkolwiek przyjmuje, że akt apercepcyi uświadamia się przedewszystkiém dzięki wrażeniom natężenia (2). Co do nas, unikaliśmy dotychczas wyra-

---

(1) Słowa tu podkreślone, w Pocz. cyw. podkreślonemi nie są.

(2) T. II, str. 219: „....denn selbst der Apperceptionsvorgang kommt uns hauptsächlich durch die Spannungsempfindungen zum Bewusstsein, die ihn begleiten."

żenia odpowiadającego owemu „Gefühl“ (uczucie), Wundt używa go także na oznaczenie *charakteru* wrażeń, np. przyjemnego lub przykrego, a także i charakteru wyobrażeń. Uczucie przykrości, przyjemności, uczucie uważania, uczucia estetyczne nie odpowiadają, nie są ani wrażeniem, ani wyobrażeniem prostém (względnie przynajmniéj) a dotyczą jedynie przebiegu wyobrażeń (i wrażeń), wpływu jednych na apercepcyę innych, czy to współczesnych, czy następnych. Uczucia zatém jako *idee* kształtują się na całych grupach elementów świadomości, jako idee-wyobrażenia przedstawiają drugą wyższą formacyę utworów świadomości. Jeżeliśmy dobrze zrozumieli Wundt'a, to właśnie on kwestyę tę tak rozstrzyga (1). Rzecz jasna, że idea uczucia uważania, jako streszczająca wybitniejsze występowanie, zwycięstwo jednych wyobrażeń nad drugiemi, w braku wrażeń natężenia, chyba tylko przez analogię mogłaby doprowadzić umysł przyszłego człowieka do wniosku o istnieniu aktora, któryby bezpośrednio przyczyniał się do uwydatnienia lub zwycięztwa wyobrażeń; lecz wywnioskowane Ja byłoby fikcyą podobną do téj, jaką dla fizyka jest „siła“ przyciągania; wprowadza on ją w rachunek ścisły, lecz jeżeliby usiłował wyobrazić, to zamiast jéj wyobrażenia podsunąłby chyba tylko wysiłek, jaki sam robi, gdy pierwszy lepszy przedmiot do siebie przyciąga.

Studya psychologiczne doprowadziły mię do ewolucyjnego pojęcia duszy, któréj wyobrażenia najwyższém stadyum rozwojowém jest „samoświadomość“, „jaźń“, „subiekt“ człowieka cywilizowanego.

Wobec takiego pojęcia, dusza jako symbol streszczający wszystkie zjawiska psychiczne, lub jako *siła* powodująca je, analogiczna do sił fizycznych, okazuje się nadużyciem téj nazwy, wprowadzającém zamieszanie. Siłę tę, jak wogóle wszystkie siły, nauki przyrodnicze, w obszernem znaczenia tego słowa, starają się wyrugować ze szranek wiedzy. Stawiają natomiast najrozmaitsze funkcye (w matematycznem znaczeniu) przestrzeni, czasu i materyi.

---

(1) Grundzüge etc. t. I, 491—„Entstehung des sinnlichen Gefülhs“ i w t. II, str. 213.

Józef Siemaszko.



DYPLOMACYA AUSTRYACKA
WZGLĘDEM POLSKI
POD KONIEC XVIII WIEKU.

(*Dokończenie*).

List a raczéj memoryał Józefa Ossolińskiego, przesłany Thugutowi (1), jest dokumentem, który ciekawy przez swe szczegóły, nabiera jeszcze wyjątkowo ważnego znaczenia jako wyraz polityki Kościuszkowéj względem Austryi, jako wyraz daléj usposobienia społeczeństwa galicyjskiego dla rozpoczętego w Krakowie ruchu. Rzeczywiście nie może się powstanie Kościuszki, od początku do końca skarżyć na obojętność i na brak udziału czy to w Galicyi saméj, czy na bruku wiedeńskim. Przez cały ciąg jego widzimy mnóstwo powołanych i niepowołanych dyplomatów, robiących się jego mniéj lub więcéj głośnymi rzecznikami. Tajna policya ma na nich baczne oko, nie przeszkadzając do zbytku ich dziełu. Mianowicie dotyczy się to, osoby bawiącego przez dłuższy czas w Wiedniu w interesie powstania Sołtyka.

Przypatrzmy się teraz wzajemnemu stosunkowi władz galicyjskich i powstańczych na głównéj widowni wypadków, usposobieniu mianowicie, z jakiém Austryacy przyjmowali uprzedzające kroki Kościuszki. Tu należy jeszcze uzupełniająco wspomnieć, że już w pięć dni po wybuchu powstania napisał Kościuszko list do wspomnianego Ossolińskiego, z doniesieniem, że myśli zachowywać jak najprzyjaźniejsze stosunki z Austryą, z prośbą, aby się podjął w tym względzie między nim a dworem wiedeńskim pośrednictwa. Jak się Ossoliński z tego polecenia wywiązał, widzieliśmy wyżéj. Nie poprzestając na tém, wystosował Kościuszko 28 kwietnia do cywilnego gubernatora

---

(1) Ob. Ateneum zesz. czerwcowy, str. 479—486.

Galicyi hr. Brigido list z oświadczeniami przyjaźni dla Austryi i z prośbą o udzielenie odpowiednich instrukcyi niższym władzom administracyjnym Galicyi. Bezzwłoczną, nader uprzejmą odpowiedź na ten list dał w zastępstwie powołanego tymczasem do Wiednia hrabiego Brigido, hr. Gallenberg, oświadczając, że umie sobie cenić życzliwość Kościuszki a że mimo wszelkiéj oględności, do jakiéj Austryą zmuszają zamieszania w Polsce, „cywilni i wojskowi austryaccy nie dadzą mu zapewnie swém postępowaniem żadnego powodu do jakiéj bądź uzasadnionej skargi.“ Jedyny to jednakże ślad *piśmiennéj* korespondencyi między władzami austryackiemi a Kościuszką. Odtąd dochodzą czy to do „Kreishauptmanna“ Bauma na Podgórzu, czy to do Gallenberga i d'Harnoncourta rozkazy z Wiednia, aby dla uniknienia wszelkiego możliwego skompromitowania Austryi wobec obu innych dworów, odbywali komunikacyą swą z władzami powstańczemi w Polsce ustnie, bez pozostawienia piśmiennego śladu. Mimo to wywiązały się między władzami powstańczemi w Polsce a władzami galicyjskiemi, przebywającym ciągle w Warszawie de Caché'm, samymże gabinetem wiedeńskim stosunki, które przedstawiają dziwnie oryginalną grę ciągłych sprzeczności. Tak np. nakazuje ministerstwo wiedeńskie pogranicznym władzom galicyjskim przytrzymać Kościuszkę i Madalińskiego wraz z ich żołnierzami, gdyby pobici mieli schronić się na terytoryum galicyjskie, nie przepuszczać wywozu broni, amunicyi, potrzeb wojennych z Galicyi do Polski, nie przepuszczać również do Galicyi ludzi urlopowanych przez Kościuszkę, ale po cichu każe (4 maja) hr. Kolowrat Baumowi powiedzieć Kościuszce, „ale tylko we własném imieniu, bez odwołania się żadnego na rozkaz odebrany z Wiednia.“ aby ludzi zdolnych do broni, nie przepuszczał na brzeg galicyjski, gdyż będą zaciągani w służbę austryacką. Tak daléj ogłasza de Caché w Warszawie d. 3 kwietnia protest przeciw powstaniu krakowskiemu, dodaje jednak w swém sprawozdaniu do Wiednia. „Protest ten został wytargowany na mnie ku uspokojeniu umysłów przez cesarsko-rosyjskiego i pruskiego ministra.“ Gallenberg, Baum nie przestawali utrzymywać cichych związków z władzami powstańczemi, z plackomendantem Wieniawskim w Krakowie; podobnież podpułkownik Dalquen i kapitan inżynieryi Lanfrey pod których komendą, na Podgórzu, naprzeciw Krakowa, zebrały się powoli cztery bataliony pułków Huffa, Lacego, Sataraja i Colloredo. Dnia 3 maja, w obliczu załogi austryackiéj na Podgórzu, był Kraków oświecony a cyfra „infantki“ saskiéj jaśniała w iluminacyi obok cyfry arcyksięcia palatyna, jako przeznaczonego jéj niby na tron polski małżonka. Rozumie się samo przez się, że reprezentanci Prus i Rosyi w Wiedniu, Cesar i Razumowski, nie zaniedbywali za-

dnéj sposobności, aby nie dopuszczać harmonii między gabinetem wiedeńskim a powstaniem Kościuszki. Tak donosił Cesar, bądź to, że Barrère w łonie konwencyi francuskiéj nazywał Kościuszkę „naszym dobrym i wiernym sprzymierzeńcem“, lub że Kościuszko „w gruncie rzeczy Jakóbin, wyprawia do Paryża przez Wiedeń jako emisaryuszów z żądaniem pożyczki Badowskiego i Barsa.“ Nie zbywa naturalnie wśród podobnych okoliczności na fałszywych wieściach, na osobistościach prawiących w Wiedniu, o niezmiernych siłach powstania, o jego wielkich a bajecznych zwycięstwach. Do takich alarmistów dobréj intencyi należy zaliczyć wspomnianego już Sołtyka. Waha się więc i oscyluje ciągle Austrya w swych usposobieniach względem powstania. Czemu jednak zaprzeczyć trudno, to że przez krótki czas, mianowicie aż do klęski Szczekocińskiéj, uwydatnia się i w stosunkach polsko-austryackich owa wszędzie i zawsze stwierdzająca się prawda „o uszanowaniu sukcesu“ choćby ze strony najprzeciwniejszych mu zasadniczo żywiołów. Dotąd nie wchodziła w żadnych negocyacyach dyplomatycznych pomiędzy trzema północnemi mocarstwami Polska *sama* nigdy jako czynnik, z którymby się w rozporządzaniu jéj losów liczyć należało. Niekiedy, mianowicie ze strony austryackiéj, odzywa się nawet na jéj rzecz pewna życzliwość; radzą jednakże *o* niéj *bez* niéj, pomijają ją samę zupełnie. Objaw siły i żywotności a nadewszystko przemijających sukcesów powstania Kościuszkowskiego, sprowadza na chwilę inne usposobienia. Echo podobnéj, szczęśliwéj zmiany odzywa się w rozporządzeniu dyrekcyi ministeryalnéj do tajnéj kancelaryi z 11 maja 1794. „Galicyjski gubernator hr. Brigido nadesłał w załączeniu wystosowane doń przez *tamtejszego* generała Kościuszkę pismo i żądał w tym przedmiocie dalszych instrukcyi. *Ponieważ z ogólnemi regułami przyzwoitości by się nie zgadzało a zdrowy rozsądek wzbrania, aby wobec teraźniejszego, dwuznacznego położenia rzeczy w Polsce Kościuszkę osobiście obrażać*, takowa obraza jednakże by miejsce miała, gdyby to bardzo skromnie i dla cesarsko-królewskich krajów w duchu dobréj sąsiedzkiéj przyjaźni skreślone pismo przez dłuższy czas pozostało bez odpowiedzi, wygotowano dla wiceprezydenta hr. Gallenberga, który obecnie po odwołaniu hr. Brigido kierownictwo spraw Galicyi objął, załączone tutaj całkiem obojętnéj treści pismo, aby takowe we własném imieniu generałowi Kościuszce przesłał. Wogóle powstaje tutaj pytanie, jak się zachować ze względu na urzędową korespondencyą ze strony galicyjskiéj z tamtejszemi władzami w wydarzających się przypadkach, ponieważ częstokroć zdarzają się wzajemne okoliczności, w których rozmowa między niższemi władzami jest nie do uniknienia, a która jakkolwiek się na rzecz ztąd zapatrywać będziemy,

może być traktowaną w całkiem niewinny sposób a bez oficyalnego uznania tamtejszéj władzy, zwłaszcza, iż to praktykuje się i w takich razach, kiedy się jest na stopie nieprzyjacielskiéj z jaką bądź siłą zbrojną.“

Otóż lekkie, faktyczne objawy wrażenia, jakie chwilowe powodzenie powstania nie omieszkało wywołać w umysłach osób kierujących polityką gabinetu wiedeńskiego. Rzeczą uwagi godną, że podobna względność. podobna koncesyjność dla powstania ustaje widocznie z chwilą odebrania wiadomości o pierwszéj klęsce Kościuszki pod Szczekocinami. Zachowując sobie bliższe rozpatrzenie się w następstwach téj klęski na późniejsze miejsce, przypatrzmy się teraz losom, kolejom i czynności rezydenta austryackiego w Warszawie barona de Caché. Dotrwał on szczęśliwie na swém stanowisku aż do owego Wielkiego czwartku, w którym nastąpił pamiętny wybuch warszawski. Nie od rzeczy posłuchać jego wrażeń, kreślonych pod świeżém wrażeniem wypadków 17 kwietnia 1794, o godzinie dziesiątéj wieczorem. „Straszliwy wybuch polskiego wojska i ludu uzbrojonego przeciw Rosyanom nastąpił dzisiaj rano o godzinie 5-téj i trwa jeszcze w całéj swéj sile. Od 6-téj godziny z rana nikt jeszcze nie ośmielił się wychylić głowy poza swój dom, nie znam dla tego początku tego straszliwego wybuchu, jeżeli przyczyną jego nie jest, jak mówią, że Rosyanie chcieli zająć arsenał czy też rozbroić całe tutaj wojsko narodowe. Pogłoska podobna obiegała przynajmniéj przez dwa dni ostatnie. Cokolwiekbądź, ogień działowy, karabinowy, z okien nawet, trwa po wszystkich ulicach bez przerwy a rzeź zdaje się, iż potrwa jeszcze całą noc i rozpocznie się może jutro. Liczą na setki Rosyan zabitych po ulicach i placach stolicy. Mieszkając o sto kroków od p. Igelstroema, jestem narażony na tém większe niebezpieczeństwo. Mój stangret został już postrzelony, chcąc zamykać wielką bramę, którą pospólstwo wyrąbało siekierami, aby sobie utorować drogę dla atakowania Rosyan. Przy téj sposobności zabrano mi konia ze stajni a lud chciał już wtargnąć do moich komnat, które dotychczas szanowano. Dzisiaj rano opowiadano, że król na dole, na podwórzu zamkowém. mając przy sobie tylko swą straż codzienną, przemawiał do wszystkich, aby się nie łączyli ani z Rosyanami, ani z powstańcami. Tego wieczoru ktoś przechodzący pod memi oknami, powiedział mi, że ponieważ Rosyanie już prawie zwyciężeni król oświadczył swój akces do związku Kościuszki. Bogu wiadomo, ile w tém wszystkiém prawdy, podobnie jak w wieści o jednym generale zabitym a dwóch rannych. Hennikstein (rezydent wojskowy austryacki w Warszawie) znajduje się prawdopodobnie w śmiertelnych obawach; wszelka komunikacya jest przecięta między nim a mną,

jakkolwiek ma mieszkanie blisko mnie. Jestem w większéj jeszcze obawie o naszą kasę solną, aby nie była zrabowaną. Wątpię bardzo, czy znajdę jutro jaki sposób do wyprawienia tego listu. Skoro jednakże tylko będzie miał szczęście dojść W. E. (Brigido), proszę Ją donieść do Wiednia, że kuryer Pfaffel doszedł mnie dnia 16 b. m. wieczorem, a że go wyprawiłem w dalszą drogę tego samego wieczoru o godzinie 9-téj. Wtedy to ani ja, ani nikt, jak myślę, nie przypuszczał, że nazajutrz między 4 a 5 rano zbiorą się, aby rozpocząć rzeź po wszystkich ulicach. Przypuszczano, że téj nocy wojsko pruskie, które się znajduje tutaj w pobliżu od dni kilku z generałem Wolky, przybędzie Rosyanom w pomoc, a że wtedy zaciekłość ludu będzie gorszą jeszcze. Na pewne nic jednakże nie można wiedziéć, ponieważ nikt nie wychyla głowy poza okno. Odebrałem wczoraj dwa listy urzędowe do W. E. z 9 i 12 b. m. również doszły mnie listy pana generała d'Harnoncourta z téj saméj daty. Na przyszłość jednakże nie można sobie pochlebiać, abym je odbierał podobnie. Proszę W. E. zakomunikować wszystkie te szczegóły p. hr. d'Harnoncourtowi, do którego mi niepodobna pisać, ponieważ każdemu wierszowi obecnego mego listu towarzyszy strzał działowy lub karabinowy, sprawiający mi roztargnienie nieszczególnie przyjemne. *W wielki piątek, 18 kwietnia, o godzinie 5-téj rano.* Po bardzo silnéj przez całą noc kanonadzie, zaczynają się, sądząc z wrzawy wznoszącéj się w trzech różnych okolicach miasta, strzały karabinowe na nowo w pobliżu mego mieszkania a prawie przed domem generała Igelstroema. Co rzeczą gorszą, to że zbrojni ochotnicy ludowi i z pospólstwa, nie wyjmując żydów, snują się oddziałami po wszystkich ulicach. Jestem ciągle zamknięty u siebie, bez żadnego związku ze światem zewnętrznym, nie mogąc dostać ani wody, ani chleba, a mniéj jeszcze chirurga dla mego stangreta, ranionego wczoraj niewinnie. Bogu wiadomo, co się z nami stanie." Rozpaczliwa ta sytuacya zakłopotanego rezydenta skończyła się przecież tegoż samego dnia jeszcze z ustąpieniem Igelströma z miasta a odtąd widzimy go używającego w Warszawie najzupełniejszego bezpieczeństwa wraz z całém, pozostałém na miejscu ciałem dyplomatyczném. Nie od rzeczy jednakże przypatrzéć się dalszym szczegółom jego warszawskiego pobytu, jako najlepszemu barometrowi zmieniających się ciągle stosunków między gabinetem wiedeńskim a powstaniem Kościuszki. W dziesięć dni już po zwycięstwie powstania na bruku warszawskim, 28 kwietnia, przyszło mu do współki z nuncyuszem papieskim Littą, reprezentantem Anglii Gardinerem, Szwecyi Tollem, Hiszpanii Yriartem, Holandyi pułkownikiem Griesheimem, Prus, Buchholtzem, Kurlandyi Sartoriusem, Saksonii Patzem, obecnemi

w Warszawie, podpisać w imię pogwałconego według nich prawa narodów, akt protestu przeciw uwięzieniu przez władze powstańcze barona Dascha rezydenta rosyjskiego i barona Bühlera przeznaczonego na podobnyż urząd do Monachium. Zresztą, wobec powodzeń chwilowych powstania, nie wynosił gabinet wiedeński tego zajścia do wysokości jakiegobądź zasługującego na szczególną swą uwagę wypadku, aż dopiero uczyniły zeń powoli takową poczynające się klęski Kościuszkowego ruchu. Dnia 7 czerwca odebrał de Caché datowany z Brukselli rozkaz Thuguta, aby korzystając z udzielonego już dawniéj urlopu, opuścił co prędzéj Warszawę i udał się na kuracyą do Karlsbadu, archiwum zaś ambasady austryackiéj wyprawił pod opiekę jakiegobądź bankiera angielskiego lub holenderskiego do Gdańska. Wyjechał w ten sposób z Polski po kilkoletnim pobycie de Caché w przededniu oblężenia prusko-rosyjskiego,—kiedy po dwóch klęskach powstania, pod Szczekocinami i Chełmem, wobec zbliżającego się oblężenia Warszawy;—gabinet wiedeński skorzystał z faktu swego przytrzymania Dascha i Bühlera do przedsięwzięcia następnego kroku. Bawili naówczas od 28 maja w Karlsbadzie (mieszkając pod *Białym Lwem* na rynku) bracia Jan i Stanisław Potoccy, Michał Zabiełło a nadewszystko słynny przez swój udział w genezie ustawy z 3 maja ksiądz Piatoli. Na osobny rozkaz cesarski datowany z Schönbrunnu 28 czerwca, uwięziono wszystkie te osoby jako zakładników i odprowadzono je do twierdzy Josephstadzkiéj. Piatoli znajdował się tamże jeszcze w miesiącu wrześniu a na własne żądanie poddano go śledztwu, w którém obiecywał dostarczyć ważnych szczegółów kompromitujących zachowanie się Prus względem Austryi.

Najciekawszym jednak epizodem w ówczesnych stosunkach Austryi do powstania Kościuszki, pozostanie sprawa *obsadzenia Krakowa*. Jest-to istotnie zbyt ciekawy i jaskrawy w swoich szczegółach, zbyt wyraźnie zręczną pożądliwość pruską niedołężność austryacką a bezwładność polską charakteryzujący wypadek, abyśmy mu nie mieli poświęcić nieco uwagi. Naszych uszu, wiadomości naszéj epoki doszło tylko niewyraźném z owych czasów echem nazwisko niefortunnego plackomendanta Krakowa Wieniawskiego, który za poddanie miasta Prusakom zawisł *in effigie* na szubienicy pod Bernardynami w Warszawie. Przypatrzmy się zbliska jego winie i osądźmy bezstronnie jéj rzeczywistość. Po wyruszeniu w pole, pozostawił go Kościuszko w otwartym zewsząd, sterczącym wówczas ruinami Krakowie z dorywczo zebraną, nieliczną, źle uzbrojoną ruchawką i kilku zardzewiałemi pukawkami. Bez wątpienia wskazują choćby nawet nasze i to niezbyt odległéj daty dzieje, że ludzie od-

wagi i determinacyi, pozostawieni choćby i na takiém, choćby i z takiemi środkami stanowisku, umieli się bronić i ginąć na niém. Nie wszędzie jednakże znaleść bohaterów, nie wszyscy są nimi, a biedny Wieniawski z pewnością do rzędu ich nie należał. Kościuszko sam zresztą nie robił sobie wcale iluzyi ani co do osoby Wieniawskiego, ani co do obronności powierzonego mu stanowiska. Wybierając się na wyprawę, która się miała tak smutnie skończyć klęską pod Szczekocinami, wygotował 28 maja w Jędrzejowie do Wieniawskiego rozkaz, aby w razie zagrożenia Krakowa przez jakie bądź siły nieprzyjacielskie, którym skutecznego oporu stawić nie będzie można, zawezwał władze austryackie na Podgórzu, „aby przyjęły miasto w tymczasowy depozyt.“ Był to ze strony Kościuszki pociąg na polityczněj szachownicy daleko zręczniejszy, aniżeliby go się po jego otwartéj duszy i gołębiéj prostocie spodziewać było można. Oddać Kraków wobec ówczesnych nań apetytów i pretensyi pruskich w ręce austryackie, skoro się go już żadną miarą samemu obronić nie mogło, znaczyło to samo, co skłócić z sobą interes prusko-austryacki, doprowadzić do zerwania węzła koalicyjnego, kto wié, czy nie wywołać krwawego zatargu między Austryakami i Prusakami. Następstwo podobne było tém prawdopodobniejszém, że gabinet wiedeński, jak wiemy, mierzył już od przeszłego roku do tegoż samego celu, że Kraków i jego choćby tymczasowe tylko, choćby depozytalne posiadanie przedstawiały mu równoważnik nabytków prusko-rosyjskich w Polsce, przedmiot zadowolnić się mającéj ambicyi i jakoby pociechy za szereg upokorzeń doznanych w ciągu drugiego podziału. Co tu także nieskąpą miarą w rachubę wchodziło, to usposobienie miejscowéj ludności. Postawiona w alternatywę między okupacyą pruską a austryacką, odzywała się krakowska ludność za drugą, a czy to Wieniawski, czy członkowie komisyi dobrego porządku krakowskiéj, Berniak i Dembiński nie przestawali pod tym względem dawać władzom austryackim na Podgórzu jak najwyraźniejszych objaśnień. Nie można téż powiedzieć, aby władze te na to zamykały oczy i pozostawiały gabinet wiedeński w niewiadomości o tém. Wspomnieliśmy już, że do pierwszych dni czerwca zebrało się tu 4 bataliony piechoty austryackiéj i kilka szwadronów jazdy. Jeżeli najstarszy stopniem podpułkownik Dalquen odgrywa rolę bierną i nie figuruje zbyt pokaźnie na widowni, natomiast „kreishauptmann“ Baum i kapitan inżynieryi Lanfrey krzątają się zabiegle na wszystkie strony, zastępują powolność gubernatora Gallenberga, wysélają „praktykanta“ Lewickiego na Szląsk dla przepatrywania sił pruskich, zasypują Wiedeń doniesieniami. Zresztą i w Wiedniu odzywały się coraz to żywsze, coraz wyraźniejsze apetyty na posiadanie Krakowa.

Czy to konferencya ministrów, czy to rada wojenna wiedeńska z hr. Wallisem na czele, czy arcyksiążę Leopold w korespondencyi z bratem, cesarzem Franciszkiem, czy Thugut, czy sam cesarz wszystko to objawia niedwuznaczną, coraz to gorętszą chęć posiadania Krakowa. Mimo to, zbieg okoliczności i niedołężność ludzka sprawiły, że ów apetyt chybił i przyniósł tylko upokorzenie polityki austryackiéj. Po zwycięstwie odniesioném pod Szczekocinami 6 czerwca, rozdzieliła się armia pruska. Główna jéj siła pod dowództwem króla i następcy tronu posunęła się za ustępującym Kościuszką ku Warszawie, 10-tysięczny korpus, zaopatrzony w artyleryą i wszelki zasób obleżniczy ruszył na Kraków, z przeznaczeniem opanowania nietylko miasta, ale nadto całego województwa krakowskiego i sandomierskiego. W kilka dni już po bitwie Szczekocińskiéj nie był cel marszu Elsnerowego korpusu dla nikogo tajemnicą, a wobec zbliżającéj się nawałnicy podwoiły władze i ludność krakowska swe starania około Austryaków na Podgórzu, rozpoczęli oni sami, Baum i Lanfrey mianowicie gorączkową istnie korespondencyą z rządem wiedeńskim, oraz z Harnoncourtem i Gallenbergiem. Wieniawski zakomunikował Baumowi i Lanfreyowi rozkaz Kościuszki z Jędrzejowa, ofiarujący Austryakom Kraków w depozyt; inni krakowianie, w obawie pruskiéj inwazyi, nie przestawali jeździć na Podgórze i domagać się okupacyi austryackiéj, tém bardziéj, że Elsner zbliżał się ze swym korpusem, a miasto 13 go czerwca, około południa było już z trzech stron otoczone przez Prusaków. Prusakom było tém śpieszniéj pochwycić zdobycz, im dokładniéj wiedzieli, że równocześnie i Austryacy po nią wyciągają rękę. Zobaczmy teraz zobopólną ich grę w téj sprawie. Wskutek raportów od Bauma, Lanfreya, Gallenberga, d'Harnoncourta, zapadła zasadniczo w Wiedniu decyzya zająć Kraków i uprzedzić koniecznie Prusaków. Rozumie się, że niemałym téj decyzyi czynnikiem był ów rozkaz Kościuszki do Wieniawskiego, że nim było i usposobienie ludności krakowskiéj, domagającéj się okupacyi austryackiéj. Zależało tylko na dość wczesnem wydaniu potrzebnych do tego rozkazów, instrukcyi, wreszcie na wyborze niezbędnych do wykonania ich osobistości. Tymczasem przez dziwną fatalność urządzono wszystko za późno, postępowano niezręcznie i powolnie, powierzono wreszcie wykonanie ludziom zdolnym rzecz w stanowczéj chwili tylko popsuć. Jak powiedziano, ścisnęli już Prusacy 13 czerwca rano Kraków z trzech stron i wezwali miasto do poddania. Wieniawski i władze krakowskie pośpieszyli na Podgórze, żądając wkroczenia Austryaków. Przez szczególny zbieg okoliczności zapadła w tym samym dniu, być może, iż i o téj saméj godzinie „na wniosek rady wojennéj nadwornéj" następna decyzya cesarska

(„*Resolutio augustissimi*): „*Wiedeń, dnia 13 Czerwca.* Ponieważ komendant Krakowa pozostawia do wyboru, czy poddanie Krakowa ma nastąpić dobrowolnie, czy wśród pozornego oporu, zdaje się pod każdym względem lepiéj miasto, a równocześnie i zamek poddać, odnośnie objąć dobrym sposobem. Chodzi teraz tylko o to, co się ma stać z załogą, która nie może ani być wziętą do niewoli, ani któréj odwrót po za naszą granicę nie może być dopuszczony. Zależy więc na tém, aby komendant zdecydował się zawczasu na poddanie, aby jeszcze i załodze pozostała droga otwarta zabezpieczenia się na tamtejszéj granicy, a okoliczność ta przyśpieszy z pewnością poddanie; rada więc wojenna nadworna ma o tém zawiadomić kapitana Lanfreya przez osobnego kuryera, który następnie duplikat tego zawiezie feldmarszałkowi Harnoncourtowi. Skoroby okupacya Krakowa w ten sposób nastąpiła, zawiadomi feldmarszałek Harnoncourt o tém najbliżéj stojących generałów rosyjskich i pruskich, że po opuszczeniu Krakowa ze strony Polaków, miasto i zamek obsadził.“ Tego samego dnia wyszedł rozkaz do Lanfreya wraz z jego kopią do Harnoncourta, przyczém jednak nie zapominajmy odległości Krakowa od Wiednia i powolności ówczesnych środków komunikacyjnych. Tymczasem postępowały wypadki na miejscu z niesłychaną szybkością. Dnia 14 czerwca podstąpili Prusacy pod miasto, grozili bombardowaniem i rzezią, jeżeli się Kraków dobrowolnie nie podda. Pojawiały się na przemian zamiary niesłychanéj energii, pożogi miasta, wysadzenia magazynów prochu w powietrzu, obrony do ostatniéj kropli krwi, by wnet ustępować miejsca objawom zupełnego upadku ducha. Przodował w nich sam Wieniawski, jeżdżąc co chwila na Podgórze, ofiarując Baumowi i Lanfreyowi oddanie swojéj komendy w służbę cesarską. Zbliżył się tymczasem wśród tych gróżb pruskich wieczór, nadeszła noc. W nocy ułożyli krakowianie i Wieniawski akt submisyi dla Austryi, do godziny 3-ciéj z rana 15 czerwca był podpisany przez wszystkich. Lanfrey był już gotów, jak pisze, działać na własną rękę i zająć miasto, gdy w tém doszedł go o godzinie $1\frac{1}{2}$ rano (15 czerwca) podpisany przez dwóch niedołężników, Gallenberga i Harnoncourta ze Lwowa rozkaz, zabraniający mu „przedsięwzięcia jakiegobądź kroku bez poprzedniego przyzwolenia dowodzącego siłą prusko-rosyjską.“ Stosownie do tego rozkazu, udał się Lanfrey z aktem submisyjnym krakowian do obozu pruskiego o 4-téj rano, żądając od generała Elsnera pozwolenia na obsadzenie miasta przez wojsko austryackie. Łatwo sobie wyobrazić, że generał pruski na podobne ewolucye kłopotu austryackiego nie uważał. Dał zaś Lanfreyowi następną odpowiedź. „Nie mogę odstąpić od odebranego ze strony mego króla rozkazu, aby miasto zająć.

Wkroczenie wojsk austryackich do Krakowa mogłoby tylko pociągnąć za sobą niezgody między dworami, a czas jest zbyt krótki, abym tę submisyą królowi mógł posłać.“ Odjechał tedy Lanfrey z niczém, pozostawiając Kraków jego losowi i niedołężności Wieniawskiego. O godzinie 9-téj rano, 15 czerwca, była kapitulacya między nim a Elsnerem podpisana. Wieniawski sam, trochę regularnego żołnierza, nowosformowanych tak zwanych kozaków, towarzysze i oddział strzelców Cieńskiego“, pouciekali wraz z wielką liczbą mieszczaństwa krakowskiego na Podgórze, o godzinie 2-giéj po południu obsadzili Prusacy miasto.

Gdy się to dzieje w Krakowie, zastaje Lanfrey, wracając do Bauma na Podgórze, ów wiedeński z 13 czerwca rozkaz nadwornéj rady, aby Kraków, nie oglądając się na nic, obsadził. Rozkazy Gallenberga i Harnoncourta skrzyżowały się w ten sposób fatalnie z rozkazem hr. Wallisa. Skrzyżowanie to, wina nie dość energicznego potępienia godnéj niedołężności Gallenberga i Harnoncourta, wina powolności wiedeńskiéj, opłaciła się gabinetowi austryackiemu nowym wstydem i upokorzeniem. Mimo od tak dawna żywionych, tak pożądliwie objawianych apetytów stał się Kraków zdobyczą pruską. Nie od rzeczy przytoczyć tutaj pod świeżemi wrażeniami wypadku napisany list Lanfreya do hr. Wallisa: „*Podgórze, d. 16 Czerwca 1794.* Nie mogę jeszcze przyjść do siebie z bólu i zmartwienia, jakiego doznałem wczoraj przy wkroczeniu Prusaków do miasta Krakowa. Mieszkańcy tego opuszczonego teraz miasta rzucali nam się dobrowolnie w objęcia, a mimo to nie można im było pomódz. Błagali miłosierdzia, o opiekę cesarza, a my mimo to byliśmy zmuszeni pozostać nieczułymi na to. Moje postanowienie było już powzięte; chciałem i bez rozkazu, nawet z poświęceniem mojéj osoby miasto zająć. Tutejszy komisarz graniczny, starosta Baum może to potwierdzić; bataliony były już wszystkie w ruchu, gdy na domiar wszystkich fatalnych okoliczności jeszcze wczoraj rano o 1½ godzinie nadszedł załączony tutaj w kopii, od ich ekscelencyi generała Harnoncourta i hr. Gallenberga podpisany rozkaz, który bez poprzedniego zezwolenia dowódcy prusko-rosyjskiego korpusu zakazywał jakie bądź przedsięwzięcie. Wyobraź sobie W. E. podwojenie moich cierpień, wyobraź sobie W. E., co jako szczery sługa państwa na mojém pełném czci stanowisku przecierpiałem, gdy dzisiaj przez kuryera odebrałem depeszę dworską, która jest zupełnie odmiennéj treści. Wszelkie moje zmysły są zgnębione; nie mogę rozwiązać zagadki i żałuję tylko, że na tymczasem pozbawiono mnie zaufania, którego nigdy nie nadużywałem, a którém się tylko dla dobra państwa byłbym posłużył. Załączam tutaj W. E. kopią pomienionego rozkazu i jestem

silnie przekonany, że Prusacy nie pozwolą sobie tak tanim kosztem wydrzeć miasta tyle korzystnie dla nas położonego, ponieważ je już od dnia wczorajszego oszańcowywać poczęli.“

Lanfrey miał słuszność; Prusacy mieli Kraków opuścić dopiero 5 stycznia 1796, uwożąc z sobą insygnia królewskości polskiéj z Wawelowéj katedry.

Pozostanie dowodem dziwnéj pobłażliwości wiedeńskiego rządu, że Gallenberg i Harnoncourt zamiast być oddani pod sąd, zostali spokojnie na urzędach. Co do Wieniawskiego, złożył on dowody równéj, choć na tyle do wytłómaczenia łatwiejszéj, iż spowodowanéj groźném niebezpieczeństwém niedołężności. Dwadzieścia cztery godzin wytrwałości z jego strony byłoby mu pozwoliło spełnić Jędrzejowski rozkaz Kościuszki, oddać Kraków Austryakom, a tém samém skłócić ich być może śmiertelnie z Prusakami, o co, jak się zdaje, Kościuszce głównie chodziło. Zresztą spoglądali Prusacy już po zajęciu Krakowa, nadzwyczaj krzywém okiem na stosunki mieszkańców miasta z władzami austryackiemi na Podgórzu, na wędrówkę zbrojnego i bezbronnego ludu z lewego na prawy brzeg Wisły pod opiekę austryacką. W tym celu przeniósł się nawet pruski cywilny komisarz radca Hoym na Podgórze i najął tamże mieszkanie dla czuwania na miejscu nad komunikacyą krakowian w Austryakami. Baum odpowiedział mu na to najmując dla siebie mieszkanie w Krakowie. — Słaby odwet.

Na żalach po niewczasie nie zbywało w Wiedniu, a sam cesarz napisał w rezolucyi do nadwornéj rady wojennéj. „Kapitan Lanfrey powinien był natychmiast po zawarciu kapitulacyi miasto Kraków obsadzić i tylko o spełnionym fakcie dać wiadomość generałom pruskim i rosyjskim, jak to rozkaz przepisywał; nie udawać się zaś do pruskiego obozu, nie wdawać się z Prusakami w żadną rozmowę i nie komunikować im kapitulacyi, co pod żadnym warunkiem jakiegobądź celu nie miało. Ponieważ nadworna rada wojenna mniema do współki z kancelaryą państwa znaleść środki, za pomocą których moglibyśmy się jeszcze dostać w posiadanie Krakowa, oczekuję w tym przedmiocie odpowiednich wniosków, jakoteż instrukcyi co do tego daléj dla generała Harnoncourta, który, mimo że Rosyanie według ostatnich raportów posuwają się w województwie Lubelskiém i Chełmskiém, ma starać się ich uprzedzić, a oba województwa obsadzić i zająć, nie wchodząc w żadne zatargi z Rosyanami i Prusakami.“

Jeżeli w ten sposób zabór Krakowa przez Prusaków rozdrażnił do wysokiego stopnia przeciw nim dwór i oficyalne sfery wiedeńskie;

jeżeli według raportu L. Cobenzla, wywołał i w Petersburgu mało co odmienne wrażenie, miał przynajmniéj to bezpośrednie następstwo, iż spowodował energiczniejszą akcyą w województwach sandomierskiém i lubelskiém. Z Wiednia wyszły rozkazy do Harnoncourta, aby co prędzéj zajął Sandomierz wraz z przyległą okolicą, ku położeniu tamy dalszemu posuwaniu się Prusaków, którzy nie na żart sięgali po cały lewy brzeg Wisły. W końcu czerwca wkroczyło 10 batalionów austryackich do Sandomierza i w okolicę, znajdując jedyną przeszkodę w trudności wyżywienia żołnierza. Co może pozostanie najciekawszą stroną owéj okupacyi austryackiéj, to stosunki widocznego rozdrażnienia nasamprzód między Austryakami a Prusakami. Harnoncourt obrał sobie w końcu czerwca, w początku lipca główną kwaterę na Podgórzu, kiedy następcą w Krakowie po Elsnerze, był pruski generał Ruis. Wiadomość o wkroczeniu Austryaków do Polski, mianowicie o zajęciu Sandomierza spowodowała Ruitsa do konferencyi z Harnoncourtem. Pruski generał domagał się ustąpienia Austryaków z Sandomierza tém więcéj, że król jego téj części Polski pragnie, że już nawet komenda pruska wyprawiona z Krakowa, aby Sandomierz obsadzić a wyżywieniu tak licznego żołnierza krajowi będzie trudno. „Jesteśmy przecież sprzymierzeńcami — odpowiedział na to Ruitsowi Harnoncourt — wojska nasze więc pogodzą się.“ „Bylibyśmy sobie sami poradzili“—odpowiedział Ruits, oświadczając, że pomimo obsadzenia Lubelskiego i Chełmskiego Prusacy nic nie mają, ale że Sandomierz uważali już stanowczo za swoją przypadłość. Obecni téj konferencyi a przy boku pruskiego generała byli jakiś rosyjski podpułkownik, oraz inny oficer niższego stopnia, nazwiskiem Schultz, którzy według raportu Harnoncourta potrącali niechętnie głową nad wkroczeniem Austryaków w Lubelskie i Chełmskie. Nie poprzestając na tém, wystosował Ruits 6 lipca rodzaj somacyi do Harnoncourta, aby Sandomierz i Sandomierskie bezzwłocznie opuścił, a na przyszłość z wszelkiemi żądaniami odnosił się nie do niego, ale do samego króla pruskiego. We dwa dni późniéj dał Harnoncourt suchą odpowiedź, że się cofać z Sandomierskiego nie myśli. Równocześnie zaś pocieszali w Petersburgu żale L. Cobenzla, z powodu obsadzenia Krakowa przez Prusaków, Ostermann i Markow zapewnieniami, że okupacya Krakowa pruska jest tylko chwilowym środkiem wojennym, a że przy jakimbądź nowym podziale Polski Austrya z próżnemi rękami nie wyjdzie.

Jeżeli w ten sposób wkroczenie Austryaków do Polski staje się powodem nadwerężenia dobréj harmonii między nimi a Prusakami, staje się nie mniéj powodem zerwania dobrych stosunków między

gabinetem wiedeńskim a Kościuszką, przynajmniéj takich, jakie dotąd istniały. Dnia 9 lipca 1794 napisał Kościuszko do Harnoncourta list z cierpkiemi wyrzutami z powodu bezprawnego i nie wywołanego niczém wkroczenia Austryaków do Polski. Najciekawszym jest koniec tego listu, ze względu na uznanie władzy Stanisława Augusta, jakie zawiera. „Przyczyny podobnego postępowania nie pokusi się nikt przypisywać nigdy złamaniu wierności istniejących traktatów ze strony króla i Rzeczypospolitéj polskiéj.“ Gabinet wiedeński odpowiedział na ten list tylko aresztowaniem Aleksandra Batowskiego i Sołtyka w Wiedniu, oraz zabraniem im wszystkich papierów. O równoczesném prawie uwięzieniu Piatolego, Zabiełły i Potockich, wspomnieliśmy już wyżéj.

Odtąd to rzec można staje się zaborczość i pożądliwość pruska w Polsce węzłem coraz ściślejszych stosunków między gabinetami petersburskim a wiedeńskim. Jesteśmy nawet przekonani, że tém właśnie tłómaczy się owo bierne uczestnictwo rosyjskiego korpusu Fersena podczas późniejszego oblężenia Warszawy przez króla pruskiego. Niczego innego przynajmniéj nie każą się domyślać oświadczenia ministrów Ostermanna, Markowa, Bezborodki według licznych depesz L. Cobenzla. Rosyjscy ministrowie przyjmują ze skwapliwą wiarą oświadczenia ambasadora austryackiego, zapierającego się wszelkich stosunków z Kościuszką, nie mogą się dość energicznie skarżyć na złą wolę i pożądliwość Prus, na złą wiarę ich posła w Petersburgu, Goltza, a zaręczają Austryi na każdéj konferencyi równy udział w przyszłych łupach polskich. Do tego téż niestety celu dąży odtąd coraz widoczniéj polityka austryacka wśród coraz draźliwszéj, coraz namiętniejszéj rywalizacyi z pruską. W depeszy z 26 sierpnia do Cobenzla, nie posiada się Thugut z oburzenia nad pretensyą pruską, aby gabinet wiedeński „pożyczył“ im korpus Harnoncourta do oblężenia Warszawy, kiedy Prusacy sami opuszczają Austryą w jéj wojnie przeciw Francyi. Na krótko bowiem przedtém, 18 sierpnia zażądał owéj pomocy we własnoręcznym z pod Warszawy liście Fryderyk Wilhelm II, ale że ces. Franciszek owéj pomocy odmówił, tłómacząc, iż liczba jego wojska na pograniczu polskiém nie przenosi 18—20000 ludzi i starczy zaledwie na potrzebę, na jaką je przeznaczone. Nie dość na tém, wyprawił jeszcze dwór berliński do Wiednia jako rzecznika podobnego żądania Lucchesiniego. Jak przyjazd jego do Wiednia był uważany przez tamtejsze sfery oficyalne, niechaj dowodzi ustęp depeszy Thugutowéj do L. Cobenzla. „Odebrano już zapewnie od hr. Razumowskiego (posła rosyjskiego w Wiedniu) w Petersburgu wiadomość o niespodzianém pojawieniu się markiza Lucchesiniego w Wiedniu, śmiesznie upozorowaném

czułemi łzami, które mu miał wycisnąć nieznany tutaj, smutny stan zdrowia jego żony. Jedyną jednakże jego przyczyną jest ów nieprzerwany szereg brzydkich intryg, któremi się zajmuje ciągle podstępna polityka berlińskiego dworu."

Odtąd ciągnie się rzeczywiście wskróś całéj wewnętrznéj polityki i negocyacyi dyplomatycznych austryackich jak nić czerwona, wzrastająca przeciw Prusom niechęć. Noszą jéj ślady najwyraźniéj czy to instrukcye dla własnych władz cywilnych i wojskowych, czy korespondencya między Thugutem a różnymi reprezentantami dyplomatycznymi Austryi. W instrukcyi do Harnoucourta z 24 sierpnia zaleca mu wystrzegać się jakiéj bądź piśmiennéj korespondencyi z władzami powstańczemi a poprzestawać w razach potrzeby jedynie tylko na komunikacyi z niemi ustnéj,—ale równocześnie zakazuje mu stanowczo dawać jakąbądź pomoc zatrudnionym oblężeniem Warszawy Prusakom. To samo usposobienie przemawia w depeszach L. Cobenzla do Wiednia, z tym chyba jeszcze tylko dodatkiem, że ministrowie rosyjscy podzielają niedwuznacznie usposobienia austryackie przeciw Prusom. „Skoro," pisze Cobenzl w depeszy z 9 września do Thuguta, „żądanie króla pruskiego co do 6000 naszego żołnierza, stało się tu wiadomém, zauważył Markow pierwszy, że ten pomysł ma tylko na celu odnalezienie nowego pozoru do odwlekania wzięcia Warszawy." Gniewy te wzrastały z każdym dniem. Mianowicie gniewał, jak widać z depeszy Thuguta do Cobenzla (11 września), do najwyższego stopnia gabinet wiedeński zamiar Prusaków, by wysadzić Austryaków z posiadania Sandomierza i Sandomierskiego za pomocą zakładanych tamże magazynów pruskich, któreby naturalnie były wymagały osobnych załóg pruskich a stały się w ten sposób środkiem powolnego wyrugowania Austryaków. Thugut poznał się na téj sztuce, odmówił żądaniu pruskiemu i pisał do Cobenzla, co następuje. „Zamiar Prusaków wyprawić nas jakimbądź sposobem i objąć na własny rachunek a we własne posiadanie Sandomierz, praktykuje się ciągle pod najrozmaitszemi postaciami." Odtąd to wreszcie,—mówimy tu o dniach wrześniowych,—steruje polityka Thuguta, mianowicie w Petersburgu i z wyraźném przyzwoleniem Rosyi, do następnéj przystani. W przekonaniu, że powstanie Kościuszki nie jest dość silném, aby się módz oprzéć połączonéj akcyi Prus i Rosyi; w przekonaniu że wobec pożądliwości pruskiéj Austryi pozostaje obowiązek pamiętania o własnym interesie, żąda gabinet wiedeński, jakkolwiek poprzednio nie dawał inicyatywy do podziałów Polski i pragnął nawet utrzymania jéj niezależnego bytu,—teraz zupełnéj jego zagłady wraz z obszarem dla siebie, któryby równoważył nabyt-

ki obu innych mocarstw. Przy téj sposobności protestował Thugut w Petersburgu bardzo stanowczo przeciw popieranym przez Lucchesiniego w Wiedniu intrygom głośnego księcia Nassau-Siegen, aby sobie z resztek pozostawionych przy życiu Polski, wykroić nad Wisłą jakieś miniaturowe księstwo czy królestwo. Propozycye te Thuguta, komunikowane przez Cobenzla, doznawały w Petersburgu tém chętniejszego posłuchu, im niżéj spadał tam barometr pretensyi pruskich i kredyt Fryderyka Wilhelma II. Mianowicie wywołał straszne oburzenie przeciw niemu odwrót z pod Warszawy. Obwiniano ze strony rosyjskiéj i austryackiéj w Petersburgu króla pruskiego głośno o zdradę sprzymierzeńca, o stosunki skryte z Kościuszką, podobne, jakie utrzymywał dwa lata poprzednio podczas wyprawy do Szampanii z Dumouriez'em, o podobne opuszczenie Fersena w Polsce, jak roku zeszłego Clerfayta na teatrze wojny nadreńskiéj. Wiadomość o odwrocie Prusaków z pod Warszawy, nadeszła do Petersburga 14 września. Cobenzl pisze o wrażeniu, jakie ta wiadomość wywołała. „Cesarzowa (Katarzyna) pochlebiała sobie, że ta wiadomość (o wzięciu Warszawy) nadejdzie w dzień imienin wielkiéj księżnéj Elżbiety, które się obchodzą dzisiaj. Łatwo tedy ztąd wnosić o wrażeniu, jakie sprawiło przedwczoraj rano przybycie p. Nowosilcowa.“ Słowem, padały gromy na ów odwrót pruski z pod Warszawy, który, przypisywano zazdrości pruskiéj względem obu innych mocarstw, a jeżeli z powodu pewnych zajść w Lubelskiém, Chełmskiém i na Wołyniu między wojskami rosyjskiemi a austryackiemi, nie zbywało wtedy na materyale do nieporozumień między dworami cesarskiemi, łączyły się przecież oba, podczas tego ostatniego aktu powstania w uczuciu wspólnéj niechęci przeciw Prusom. Czyż przypadek rzeczywiście tylko zrządził, jeżeli w takiéj właśnie chwili uwięziony w Josephstadzkiéj twierdzy Piatoli zażądał przesłuchania swego przez jakiego komisarza cesarskiego, oświadczając, iż ma ważne do poczynienia zeznania w przedmiocie intryg pruskich przeciw Austryi z epoki dawniejszéj? Odpowiedzi na to zapytanie dać już nie jesteśmy wstanie, bo na tym ostatnim, interesującym współczesne dzieje Polski fakcie, kończy się czwarty i ostatni dotąd tom zajmującéj nas publikacyi. Zamyka się on właśnie w przededniu katastrofy Maciejowickiéj. Dalszy tom, którego niezbyt odległego wyjścia należy się spodziewać po skrzętności takiego wydawcy, jakim jest dr. Zeissberg, będzie zawierał nie mniéj zapewnie ciekawy materyał do ocenienia wrażeń i następstw owéj katastrofy, tudzież owych toczących się w Petersburgu układów, które kładąc ostateczny koniec istnieniu Rzeczypospolitéj, nałożyły przecież do pewnego stopnia przynajmniéj wędzidło pretensyom Prus a odsądzając je od

Krakowskiego i Sandomierskiego, skończyły się z ich wielkiém niezadowoleniem.

Zastrzegając sobie zawczasu prawo obznajmienia naszych czytelników z dalszym ciągiem tego interesującego wydawnictwa, o ile naszych dziejów dotyczyć będzie, rozpatrzmy się, rekapitulując krótko, w plonie, jaki do nich dotąd dostarcza. Plon to obfity, tém ciekawszy zaś, im mniéj dotąd był znanym. Rola, jaką Austrya odegrała w ostatnich latach niezależnego bytu Polski, nie była dotąd dokładnie znaną. Ważne wydawnictwo Viwenota i Zeissberga odsłania ją w całéj autentycznéj dokładności. Że zaś prawdziwie, całkiem prawdziwie, najlepszym tego dowodem, iż nie można powiedziéć, aby cała ta publikacya stawiała pomnik chwały i zręczności polityce austryackiéj. Chwilą i osobą kulminacyjną w całym swym przebiegu stosunków między Austryą a Polską, jest krótka epoka panowania Leopolda II, jest sam tenże cesarz. Po stanowisku, jakie zajął względem reformy podjętéj w Polsce przez ustawę z 3 maja, po szerokich usiłowaniach, jakie w tym celu podjął na najrozmaitszych dworach europejskich, należy przypuszczać, że, gdyby go przedwczesna śmierć nie zaskoczyła, w stanowczéj chwili byłby się pokazał innym od swego młodego i niedoświadczonego następcy. Umierając, nie dokończywszy zamierzonego widocznie przez siebie dzieła, pozostawił tylko jego fragment, który inni umieli tylko popsuć. Dzieło podjęte, nie dokończone przez Leopolda i Kaunitza, nie mogło być ani zrozumianém, ani doprowadzoném do skutku przez Franciszka, Filipa Cobenzla, Spielmannów i Colloredów. Tych zaś epigonów politykę cóż charakteryzuje? Wśród ponurego, nie dość fatalnego dla ówczesnéj Polski towarzyszenia straszliwego, przygłuszającego wszystko, podstawnego akordu rewolucyi francuskiéj, obok niekiedy dobréj woli i uczciwych aspiracyi najdoszczętniejsza nieudolność, idąca ostatecznie mimo woli tam, dokąd ją podstęp pruski prowadzi. Niedołężność tu stwierdza się zarówno w wielkich, jak w małych rzeczach; zarówno na wielkiéj widowni polityki europejskiéj, jak na małéj między Podgórzem a Kaźmierzem. Na zamku Merl pod Luxemburgiem idzie polityka austryacka, protestując i broniąc się, w pułapkę nastawioną sobie przez Schulenburgów Lucchesinich, Bischofswerderów; nad Wisłą, po Szczekocinach, sprząta jéj tenże sam podstęp z przed oczu upragniony Kraków ze zręcznością i wśród szczegółów, któreby mogły miéć wartość melodramatyczną, gdyby sam przedmiot nie był straszną tragedyą. Wreszcie, po wypróbowaniu wszelkich środków, po różnych targaninach i porywach lepszych

popędów w inny, uczciwszy kierunek, kończy ta polityka przyjęciem bez dobrodziejstwa inwentarza tego, co jéj ofiaruje cyniczny program nie mniéj cynicznego Thuguta. „Nie mogłem cię ocalić, niechaj cię przynajmniéj pomszczę,“ miał podobno powiedziéć Gustaw Adolf, odebrawszy wiadomość o zniweczeniu Magdeburga. Inaczéj Thugut. Thugut powiedział sobie. „Nie mogłem cię ocalić, niech się przynajmniéj wraz z innymi podzielę tém, co po tobie zostaje!“—a gabinet wiedeński program swego cynicznego męża stanu podpisał, zatwierdził i wykonał. Otóż ostateczny sens moralny ciekawéj publikacyi, z któréj zdaliśmy sprawę.

Kazimierz Jarochowski.





O ZNACZENIU PRZENOŚNI W KRAKOWIAKACH.

IV.

Uogólniając występujące w pieśniach ludowych waryanty: studnia, staw, morze, dunaj i t. p. w formułę „woda“, i zestawiając przygody, u tych różnéj formy wodozbiorów zdarzające się, z powieścią Nestorową o małżeństwach Drewlan „u wody“ — przychodziemy do wyjaśnienia wielkiéj kategoryi zagadkowych przenośni w pieśniach weselnych i innych.

Na pierwszém miejscu trzeba postawić tego rodzaju wyrażenia na pozór ciemne, co najmniéj, a zazwyczaj za bezsens uważane, jak np. *Oj idzie woda idzie, r o z ł o g a m i, — Oj jakże mnie nie kochasz, da pójdę z żołnierzami.— Oj idzie woda idzie, da od k o ś c i o ł a strugą,— O jak mi jedna umrze, da ożenię się z drugą* (Kolberg: *Lud* II, str. 223, N. 298). Z tą pieśnią sandomierską, drugą warto zestawić (str. 214, N. 291) także weselną, ale szyderczą: *Ślepa baba, dziad młody, prowadził ją do w o d y; — Stąpaj babo szeroko, jeszcze woda daleko. — Stara baba w w i e ń c u, usiadła przy młodzieńcu — A młodzieniec jéj niechce, rośnij babo jesce.* — Konopka w pieśniach ludu krakowskiego zapisał jedną, opisującą zalecanki, a zaczynającą się od słów (str. 118, N. 18): *idzie woda od ogroda.*

Umieszczenie kościoła nad wodą w pieśni miłosnéj, jak zestawienie w tych samych warunkach oświadczyn miłośnych z bliskością wody, traci swą niezwykłość, skoro przypomnimy sobie Nestorowe porywanie żon „u wody.“ Kościół, jako miejsce ślubów chrześciańskich, koniecznie musiał tam stanąć, gdzie ślub pogański faktem porwania. posięścia—dokonywał się.

A daléj, przy lub w wodzie przedmiot miłości, bardzo logicznie, w ciągu obrazów poetycznych mógł i musiał się znaleść. Odpowie-

dnio wyraziła się pieśń podhalska (Zeiszner str. 64, N. 155): *Wysokie* (1) *podwoje, gdzie kochanie moje,—Bystra woda bieży, gdzie kochanie leży*,—a nie inaczéj rzecz trzeba rozumiéć w dziwacznych metaforach „Jasia i Kasi“ (Kolberg I, N. 5, str. 45, strofa 9): *Ona se spoczywała pod jaworem w chłodzie — A Jasio se spoczął na bieżącéj wodzie*;—(tamże str. 63, N. 599, strofa 3): *Usiadł ci on usiadł, na bukowéj kłodzie — A ona usiadła przy bieżącéj wodzie*;—(tamże N. 5*gg*, str. 55, strofa 2): *I przywędrowali pod czerwone morze — Ona siadła na kamieniu, on na zgniłéj kłodzie.* Pomijając wyraźnie popsute wyrazy, któremi chciano zastąpić jakiś jeszcze mniéj zrozumiały tekst pieśni (2), w tradycyjny tylko sposób przekazywany z pokolenia w pokolenie (co tylko może dawność tego ustępu pieśni gwarantować); widzimy niewątpliwie w scenie miłosnego uwiezienia dekoracye.... wodne.

Na Szląsku (Roger, str. 134, N. 256 i 257): *Ciecze woda z Kalinowa*, z *Jasinkowego dwora, — Wszystkie ławeczki zebrała, jeno Jasienkowa została* (obraz weselny).

Następuje rwanie jabłek, także weselne, i puszczanie ich po wodzie (zamiast po stole), pukanie jabłkiem do okna kochanki. Na co ona odpowiada przypomnieniem znanych już nam akcesoryów:

> Poznałach ja cię po głosie, żeś *pasł koniczki* po rosie,
> Poznałach cię po mowie, iż masz *mój wianek* na głowie.

Odpowiedniego znaczenia są krakowiaki u Wacława z Oleska (str. 128, N. 196): *Z góry woda idzie, stanęła na prędzie, — Z naszego kochania pono nic nie będzie.*

Jak dalece nie można przywiązywać znaczenia do dosłownego tekstu, świadczy inny krakowiak z tymże samym poprzednikiem (antecedens), choć inny jest następnik (sequens) u Konopki (str. 11, N. 57): *Idzie woda z góry, na dole się wraca — Gdzie moja dziewczyna, gdzie mi się obraca?* — W tamtym krakowiaku (Wacława z Oleska) jest wątpliwość; tu, poszukiwanie tylko. Że oba wnioski są oparte jedynie na tradycyjnym związku scen i aktów małżeńskich oraz miło-

---

(1) Kolberg I, str. 56, strofa 9: Zielone podwoje.

(2) Jawór w chłodzie = bukowéj kłodzie, — ile że drzewa wzajem się zastępują, a tylko różnica wymawiania stanowi o istnieniu „chłodzie“, „kłodzie“; „zgniłéj“ jest dodatkiem zdrowego rozsądku o kłodzie leżącéj w wodzie, może długo.—W szląskiéj pieśni (Roger, str. 137, N. 263) jest jakby tego objaśnienie:

> *A w ogrodzie przy wodzie, przy wysokim jaworze*,
> O wisi tam mój wianeczek z czerwonéj róże;
> A wyleciał ptak z gaju, wziął wianeczek z jawora,
> A juści ty dzieweczko musisz być moja;
> Poleciał z nim *nad morze*, puścił wianek do morze,
> Wypomnij sobie, coś mi mówił w téj nowéj komorze.

snych z okolicą wodną, świadczą roje innych krakowiaków z innym wnioskiem (W. z Ol. str. 172, N. 637): *A z góry woda się leje, dziewczyna do mnie się śmieje, — Pójdźno bliżej dziewcze moje, będziewa się śmiać oboje,* — albo (W. z Ol. str. 154, N. 461): *Idzie woda, idzie koło naszéj chatki — Niema nic lepszego nad młode mężatki.* — Do tego odpowiedni (str. 161, N. 528): *Płynie kaczor, płynie, koło mego domu — Kogo kocham szczerze, nie powiem nikomu*— już tylko chatkę zostawił, a analogiczny obraz do pierwszego wiersza wtrącił. Inny krakowiak (str. 123, N. 162; str. 160, N. 520) inaczéj obraz wody uzupełnił: *Płynie woda, płynie, po kamieniach huczy — Kto nie umie wzdychać, miłość go nauczy,* — albo (N. 161, str. 123): *Płynie woda płynie, po kamykach huczy--Kto nieszczerze kocha, niech zakończy życie.*—Krakowiak jeszcze świeższy (N. 105, str. 118) ma: *Na dół rzeka płynie, ze źródła się sączy — I mnie od cię pani nikt nie rozłączy* (por. N. 292, N. 417). Jemu pokrewny inaczéj znowu domalował przenośni (Konopka str. 8, N. 38): *Dunaju, dunaju, bystra woda w tobie — A moja dziewczyno gadają o tobie.*

Zawracając od krakowiaków i pieśni przygodnych, do pieśni weselnych, na zasadzie wspólnéj im przenośni — o płynieniu wody obok miejsca przygód miłosnych — czynimy to, wzbogaceni nowym dowodem ich tożsamości w takich zwrotach, jak przybywanie przedmiotu miłości zza wody. Tak oto pieśń weselna w Sandomierskiém, nucona przy tańcu oczepinowym, tak się wyraża dosłownie, a dosadnie (Kolberg II, str. 41, N. 35, strofa 4): *Wczoraj byłaś nad jeziorem, a dziś nad Wisłą, — Wczoraj byłaś grzeczną panną, a dzisiaj inną* (t. j. mężatką) *Basiuniu.* — Prawie tak samo śpiewa drużba, zapraszając do obiadu, po powrocie z kościoła (w Pułtuskiém, *Bibl. Warsz.* 1848, III, str. 618, N. 118) o chłopcu: *I rozbujał się ten siwy koniczek, rozbujał*—a na nim Jasio wywija, konia wiąże u jawora, kłania się matce i pyta o Maryś. *Oj Maryś nie dunaj — Przepłynąłeś bystre jezioreczko—Przepłynie i Dunaj.* W końcu, jako skutek przepłynięcia, pojawia się konieczność powieszenia wianka nad drzwiami. Patrząc nań, będzie matka płakać.

Zgodnie z tém w pieśni podlaskiéj (Gloger, *Obchody weselne* t. I, str. 44, 287) żmija głosi Jasiowi: *Weźmiesz żonę za wodami — Za bystremi Dunajami* i t. d.

Młodzieńcy, już nam znani, w „Wodném ożenieniu“ widzą zdala po wodzie płynący wianek-dziewczynę, są zawsze względem niéj za wodą (Kolberg I, N. 16). Stado koni, i t. p. stworzenia, czy to na weselu, czy w innych pieśniach, zjawia się bądź tylko nad wodą, bądź téż jest za wodę przepędzone, lub za nią ucieka. Zwróciliśmy téż uwagę w *Epopei ludowéj o Szczerbcu Chrobrego,* że bohater ten

epiczny przebywa także rzekę symboliczną w swéj podróży... po Predysławę. Na Kujawach (Kolberg III, str. 307, N. 84) przy oczepinach śpiewają wyraźnie o panu młodym: *Z tamtéj strony wody — Jedzie Jasio młody — Wiezie on wiezie chusteczkę — Dla Kasi urody.*— Dziewczyna téż bywa za wodą (Konopka str. 5, N. 16): *A cisnę ja cisnę, chusteczkę za Wisłę — Sama do mnie przyjdzie, o któréj pomyślę.* Cykl pieśni p. t. „Sen“ (Kolberg I, N. 9) wie także o jeździe Jasia za Wisłę lub morza i t. p. Cykl „Gąsior“ wyraźnie nuci: *Z tamtéj strony jeziora — Pasła panna gąsiora.*

Równie charakterystycznie brzmią krakowiaki (W. z Ol. str. 121, N. 137, por. str. 156, N. 482): *Z tamtéj strony wody stoi chłopiec młody—Żeby mi się dostał, pościłabym środy;—Środybym pościła, piątkibym suszyła—Żeby mi się dostał, tobym się cieszyła* — albo: *Żeby mi się dostał na Zielone Świątki* (1). Tu odnajdzie się klucz śpiewki, u Konopki (str. 6, N. 20) brzmiącéj: *Z tamtéj strony Wisły kąpała się wrona—Kiedyś mnie nie chciała, siedźże sobie doma*— a gdzieindziéj kończonéj: *Pan porucznik myślał, że to jego żona.* Tu téż należą także: *Szeroki jareczek nie można przepłynąć—Przyjdzie mi chłopczyno dla ciebie zaginąć* (str. 75, N. 220). Pomijając inne, zauważmy takie: *Przyjdź suchaj ku mnie, albo przytoń wodą — Wszystkiego oddalę, a ja pójdę z tobą* (Zejszner str. 70, N. 87, por. str. 126, N. 20); albo: *Moja frajereczka przy potoczku w lesie—Idzie bystra woda, to mi ją przyniesie* (str. 86, N. 296).

Mamy tu już wodę przedstawioną w ruchu, przynoszącą już miłe osoby, gdy dotąd woda była jakby martwą, biernie ulegającą faktowi przepływania.

O krok tylko daléj posunął się szląski już nam znany waryant (Roger str. 134, N. 256): *Cieknie woda z Kalinowa—Z Jasinkowa dwora,— Wszystkie ławeczki zebrała —Jeno Jasienkowa została* i t. d. Woda płynie z dworu kochanka, co na jedno w pogaństwie wychodziło z kościołem, o którym sandomiérską pieśń cytowaliśmy (Kolberg, II, str. 223, N. 298). Wskazywaliśmy mimochodem, jak wszystkie szczegóły téj pieśni są symbolami miłosnémi. Teraz dobitniéj zwracamy uwagę na owe *ławeczki*, t. j. kładki. — Pomijamy już okoliczność, że nazwa i fakt tych kładek, po bagnistych drogach i polach wiodących—cofa nas (2) w dość odległe czasy wzmianek o nich

---

(1) Zielone Świątki były świętem Rusalek, przez kąpiel głównie czczonych, wedle Stogława (r. 1551). Mycie też na Morani w ten sam dzień się odbywało. Trulański zaś sobór 691 r. zakazywał Rusalij w Wielkanoc, kiedy my znamy oblewanie dyngusowe!

(2) Por. mój artykuł Małopolska N. XI „Drogi“ w *Słowniku geograficznym* VI, str. 73, — por. „Kładki“ (Kolberg, I, N. 5*ff*, str. 54, strofa 8.

historycznych (XIII — XV w.) i przenosi nas w dobę Polski wodnéj, bardzo nadającéj się do ślubów „u wody.“ Jak na teraz jest ciekawą rzeczą, że woda zdaje się tu przeszkadzać kochankowi czy przyszłemu mężowi przyjechać na wesele. Mamy tu jakby wylew, przybór, słowem (jak to wyżéj zauważono), wodę w ruchu.

Wtórując téż zaborowi „ławeczek“ przez wodę w pieśni szląskiéj, weselnego zakroju, czytamy w pieśni czerwonoruskiéj zaręczynowéj, że (W. z Ol. str. 1, N. 1): *Woda łąki pozalewała, drogi pozabierała — Ni kędy przejechać, Feduniowi na zaręczyny.* — I następuje opis, jak lubi go: „*testonko, teszczenka, diwońka, swatenka, rodonko*“ — *mosteczki mu moszczą — z kamienia drogiego — z pierścienia złotego.* Nie będzie zbyt śmiałą hypoteza, uważająca, że woda płynąca rozłogami od kościoła, od dworu Jasieńkowego i t. p., unosząca kładki, pojawia się i w téj pieśni zaręczynowéj. Tylko z tą różnicą, że widziémy w téj ostatniéj pieśni dany środek przyjazdu t. j. most „z perstenia zołotoho“, czyli most z pierścienia zaręczynowego.

Innym środkiem przebycia wód wezbranych, jest czółno; w jego braku... tonięcie charakterystyczne pojawia się. Wszakże nim te szczegóły, z wodą połączone, rozpatrzymy, musimy w osobnym ustępie kwestyą mostu rozważyć.

V.

Most zjawił się nam w postaci pierścienia, który ułatwił narzeczonemu przebycie wód dzielących go od przyszłéj. Zjawia się on nie poraz pierwszy.

W pasieniu pawia (Woycicki, *Pieśni Białochrob.* I, str. 170) jest waryant taki: (Wstęp) *Tam na morzu Czerwoném — Rybacy siatki rzucają — Cóż dobrego ułowiono? — Złoty pierścień ułowiono. — Przez ten pierścień woda bieży — Pod tą wodą trawa leży — Po téj trawie chodzą pawie* i t. d. — Panna je pasie, z piór wianki wije, daje komu chce, za co dostaje fartuszek, koszulkę i chusteczkę, to jest zwykłe podarunki przez lubego dawane pannie lub lubemu przez pannę (1). Pieśń litewska (Kraszewski, *Litwa*, I, str. 372, N. 28) opowiada analogicznie, jak z pod klonu zdrój płynie, w nim słońca córki rano się myjąc zgubiły pierścień, i boży synowie wyłowili go siecią. Poczém w drugiéj części zjawia się konny młodzieniec i zagadki daje dziewczynie: co od wody głębszego, od młodości milszego, a dziewczyna, dla gniewu matki, nie chce go słuchać.

(1) Konopka, str. 91, N. 6, 7, 8 i znane cytaty str. 5, N. 16; Kolberg III, str. 30, N. 84; Fartuszek II, str. 90, N. 123.

Pasienie pawia odpowiada konnemu kochankowi w skutkach, w polskich pieśniach; stąd zupełnie właściwie w obu tych różnonarodowych pieśniach, zastępują się przy jednéj prawie inscenizacyi (1).

Zastanawia tu, że w tych waryantach cała sprawa pasienia lub konnego miłośnika odbywa się w wodzie niejako, pod pierścieniem (2); wygląda to na to, jak gdyby i „wesele wodne", odbywające się pod wodą (Kolberg I, N. 16) także, w którém

ożenienie — w wodzie tonienie,
żoneczka — w wodzie toneczka (topielica), [lub zimna woda, ryba];
poduszki — w wodzie kamuszki,
pierzyna — na wodzie trzcina,
drużbowie — w wodzie rakowie,
albo : drużbowie — w morzu węgorze,
drużeczki — w wodzie rybeczki,
albo : druchniczki — morzu płociczki i t. d.

polegało na téj saméj fikcyi, ile że jeden waryant podaje zalecenie utopionego: *A moje złote pierścieńce — Z wodą wypłyńcie* (N. 16*p*, str. 203, strofa 11) — a więc, by nad wodą, jak w powyższych pieśniach, stanął ten brakujący dotąd pierścień (czyli most ze ślubnéj powodzi)?

Z kolei mamy grupę pieśni inną, wspominającą wyraźnie most przy (t. z. „nowinie", t. j.) pasieniu, zajęciu, lub zgubie koni, przyczém mamy jakby waryant „pierścienia złotego". Znaną jest mianowicie pieśń weselna czerwonoruska, w któréj starościna weselna radzi staroście weselnemu—dla odzyskania koni za dunajem będących — położyć most z „biłoij ryby kosty" (W. z Ol. 14, N. 36).—Owa rybia kość czy ość przypomina znowu zagadkowy „kiść brzozowy", z którego w zabawie, kujawskim sposobem granéj p. t. „Jawór" (3) most się buduje dla „pana". Może fonetycznie tak się to działo: „per + s + ten"; może to „pe" lub „per" wydało „*b*iałą *r*ybę" i „brzozę", gdy „sten" wydało kost, ość, lub kiść.—Jakkolwiek dziwnym nasz wywód zmian może się wydawać, już raz przy brzozowéj kłodzie i jaworowym chłodzie i przy „miniorze", „majerze i morzu" — takie zmiany spostrzegliśmy (4).

---

(1) Te pieśni tłómaczą trawę w krakowiaku: *Bieży konik bieży, trawa pod nim leży— Biedny ten chłopczyna co dziewczynie wierzy.* (W. z Ol. N. 498, str. 188; por. N. 564, str. 164. — (2) Por. Kolberg I, N. 10, str. 144: *Wyszła była grzeczna panna z pod czarnego morza— Chowała se gołąbeczki w téj nowéj komorze* (por. N. 5*gg*: pod czerwone morze). — (3) Kolberg III, str. 220, inaczéj „mąż i żona" albo „przeciąganie przez ogień" (sobótkowy?). Żeg. Pauli, *Pieśni ludu polsk.* I, str. 16: W hailkowym moście płaci się czarnookiém dziewczęciem za przejście jego. — (4) Podobne zmiany w identycznych pieśniach: deputaci (W. z Ol. str. 435, N. 313) = desperacy (Kolberg II, N. 151, str. 129); ponieważ sołtysi bywali „deputati" (stąd deputaci) na wojnę, zrobiło się stąd „spółtosi" (Kozłowski str. 87, N. 16), a także „potoczyli" (str. 88); z rajtarów rajtaracy (Żeg. Pauli, *Pieśni ludu polsk.* str. 109, N. 15).

W pieśni nazwanéj przez Wóycickiego „Sen“ (II str. 66; W. z Ol. str. 281, N. 100, str. 461, N. 354; Kolberg I, N. 9, str. 133), gdy Jaś utoniony płynie po morzu, i ma miecz w siebie wbity, Marysia skacze doń „z brzegu (lądu) wysokiego“, ale także i z „mostu“, a chusteczka, jabłuszka, puszczenie dziecka na wodę, pytanie rybaków łowiących o Jasia, itp. szczegóły nastrajają całość na zwykły weselny dramat, z jego nieodbitémi akcesoryami.

W znanéj pieśni „Jaś i Kasia“ (Kolberg I, N. 5), czasem most się zjawia, bądź jako miejsce utopienia Kasi, (N. 5rr), bądź rąbania topiącego ją Jasia (N. 5 w.); ze stałego jednak prawie szczegółu, że warkocz topionéj zaczepia się o koło, można wnosić, iż akcya rozgrywa się na moście, zbudowanym nad kołami młyńskiémi, przy stawidłach.

Identyczna w zasadzie pieśń, zwana przez Wóycickiego „Burmistrzówna“ itp. (Kolberg I, N. 12), a zastępująca utopienie dziewczyny przez uwoziciela, utopieniem dziecka przez nią a potém jéj saméj za karę dzieciobójstwa, ma za scenę akcyi swéj—nie co innego téż, tylko młyn, gdy chodzi o schwytanie dziecka, a most, gdy topią matkę wyrodną. Warto tu zauważyć dla objaśnienia cytowanych waryantów: „ości rybiéj, kiścia brzozowego, kłody, chłodu,“ że łowiący dziecko młynarczyk siedzi często „na kłodzie, na pędzie.“

Jakkolwiek młyn tak wielką grać zdaje się rolę w tych pieśniach, niby ze względu na prokreacyjne znaczenie ruchu kamieni młyńskich, to jednak zwyczaj, obserwowany w Borysławskim powiecie (*Opis* str. 322 i 323) nacisk zdaje się kłaść na wodę, obficie zebraną w sadzawce młynarskiéj, nie zaś na sam młyn. Mianowicie, gdy wesele jedzie koło młyna, młynarz zastawia wodę, a panna młoda obdarza go pasem, żeby wodę puścił, bo *inaczéj nie chcą jechać*.

Na Podhalu karpackiém, jedna pieśń wyraża się: *Po borach po lesie drzewo woda niesie. — Młynarz go hamuje, most z niego buduje*, (Zeiszner str. 95, N. 359),—co by mogło nam tłómaczyć, czemu wesele jechało koło młyna, bo jako po najlepszéj mostowéj lub grobelnéj komunikacyi z kościołem (1). Druga także podhalska pieśń zdaje się dowodzić, że obyczaj borysławski był jakby powszechniejszym, bo nuci (str. 118, N. 6) w chwili *powrotu* od ślubu: *Jechaliśmy popod gaje, objadły nam kozy maje — Jechaliśmy popod młyn, naszéj moloduszce w oczy dym.*

W ogóle, znając szynkowniany, gospodny, charakter młyna (2), nie będziemy się dziwili wzmiankom o nim w pieśniach weselnych, ile

(1) Tak było pod Łęczycą r. 1345 (*Cod. dipl. Pol.* Rzyszczewski II, str. 693).— (2) Cyt. *Słow. geogr*, str. 63 i 64, B.; por. Rzyszcz. *Cod. Pol.* II, str. 718—719; Kod. Mazow. str. 94. Kod. Wielkopol. N. 1764; por. zakaz dawania ślubów w karczmach z 1331 r. (*Star. Pom. Pr. Pol.* IV, str. 43).

że w młynie może wesela się odbywały. Wzmianki zaś o zalotach do młynarek (1), nie wyjmując słynnéj pieśni o młynarzu i staroście (2), wyjaśniają się z wyjątkowego, arystokratycznego stanowiska młynarzy wśród klasy roboczéj, czyniącego ich córki ponętną partyą.

Most téż pojawia się w sandomierskiéj i maryampolskiéj pieśni ślubnéj, gdyż nucą, że „po moście kalinowym“ jadą do kościoła (Kolberg II, str. 36, N. 84, *Wiek* 1873, N. 139, *„a nie gnij się kalinowy moście“*); po takimże moście (3), ucieka młodość, dziewictwo.—W opoczyńskiém, na dobranoc państwu młodym śpiewają pieśń: w której dziewczę staje w chłodzie pod jaworem, wygląda Wojtysia. *Oj jedzie, jedzie mój kochanek, — Da p o m o ś c i e od bora* (*Bibl. Warsz.* 1847, II, str. 194, N. 94). — Na Podhalu także nucą (Zeiszner str. 58, N. 112): *Poczkaj mnie Janiczku w Krakowie n a m o ś c i e — Poszlem ci p i ó r e c z k o rybeczką na poczcie* — gdzie pióreczko jest synonimem wianka dziewiczego, uwitego gdzieindziéj z pawich piórek, stada pasionego przez dziewczynę (Zeisz. str. 104, N. 413, por. str. 69, N. 101, str. 57, N. 109), a rybeczka przypomina takąż metaforę za dziewczynę.

Na moście, dogoniony jest mąż przez smutną wiadomość, że go żona zdradza (4).

Tak rozpatrując wszelkie wzmianki o moście, wypadałoby może zwrócić uwagę na następne szczegóły, z mostem jakoby, z jego budową, się wiążące. Gra „jawór“ czy „jaworowe drzewo;“ hailkowe: „proso sijali“, „dziewka na wydaniu“ itp. mają do czynienia to z wyborem narzeczonego, to z budową mostu, przez który „pan nasz“ przejeżdża. Pieśń hailkowa czeska, (Erben *Prosto narod*....... str. 64) zawiéra ciekawy przyśpiew, w części (tj. „hela“) znany i naszym pieśniom (5).

Hela, hela, pani nasze, żumber, żumber, da
(szweder szweder, tarum tandara).

Pieśń nasza p. t. „Gąsior“ (6) śpiewa téż charakterystycznie po każdym ustępie z przygody téj słowiańskiéj Ledy: *Z tamtéj strony jezio-*

---

(1) Zeiszner str. 95, N. 356; Woycicki II, str. 93, N. 6; W. z Ol. N. 367, str. 145, N. 187. str. 126, N. 129, str. 205. — (2) Kozłowski 115, N. 41, Wóycicki II, str. 332, ale też *Bibl. Warsz.* 1847, II, str. 649, N. 30. (karbowego) str. 190 i 191, N. 3, (młynarza); Zeiszner str. 49, N. 52.— (3) Godna uwagi, że kalinowy most, ma odpowiednik w kalinowym lesie (Woycicki II, 76) przy rozplecinach, i borku (Kolberg IV, 12, N. 122 *a*). Tém się tłómaczy związek mostu z borkiem niżéj. — (4) Kolberg *Pieśni* I, N. 7, most bywa w Krakowie, Radomiu, Lwowie, Toruniu; ale też cisowy (7n. str. 9, zd. str. 115), lipowy (7y str. 109, 7bb, str. 113).— (5) Imię Heliś str. 113. Kasieńka helisia (Kolberg I. str. 45, N. 7, strofa 14 N. 5 *gg* str. 63). — (6) Kolberg II, str. 148, N. 180; Wojcicki I, str. 167; Żeg. Pauli *Pieśni l. polsk.* str. 120, N. 25; Konopka 112, N. 13; Roger str. 51, N. 94 i str. 49, N. 88—89.

ra. — Z tamtéj strony jeziora, jechunder mach c u m b e r — Jaworowy Wojtek zaborowy, jeziora — Pasła Kasia gąsiora, pasła jechunder mach c u m b e r.

Waryant krakowski i mazowiecki (Konopki i Woycickiego) rozdziela tekst wyraźniéj bez „cumber.“

Z tamtéj strony jeziora
Lipcem jaworem
(Oj tam) = Wojtek za borem
Jeziora
Pasła panna gąsiora.

Pieśń weselna iliryjska (1), wspomina też szumber (u Lublany) czyli żumber, w związku myśli, znanym owym grom i pieśni z Galicyi w zbiorze W. z Oleska (str. 49) hailkowéj, kędy jednak nie szumber ale „Zelman“ stanowi przyśpiew.

Oto iliryjska: *Hinder hunder* (2) *szumber — Cała szumberska drużyna* (wtór) — *A czego od nas chce szumber* (wtór). — *Myby radzi dziewce. — Ja jéj nie dam, mężowie. — Gdy jej nie dasz sama, matko, — Weźmiemy ci ją sami. — Pójdź, idź, moja córo, — Prędzéj nazad przychodź — Gdy sucha grusza rozkwitnie* (symbol miłości spełnionéj) — *Wtedy nazad powracaj — Z Bogiem, z Bogiem — Wszystkim wiernym sługom — Którzyście nam ją dali — Niechaj pójdzie z nami.*

Pieśń czerwonoruska weselna (W. z Ol. str. 12, N. 31) odpowiednio do tego opowiada, jak dwaj cieśle w lesie bukowym ścięli „sambir derewce“, spuszczają je w dunaj i pytają się: *Czy wpirne uwirne sambir derewce — Czy pijme czy woźme starosta swaneńki* — i na oba pytania otrzymują przeczenie. Wzmianka tu o zrąbaniu drzewa sambir wśród powrotu z kościoła, tém mniéj zdaje się próżną, że jest dość powszechną. Zwłaszcza podlaskie pieśni weselne (3), nucone przy komorze ślubnéj, są ważne, bo objaśniają i komorę (4), w któréj panna gołębie (tj. kochanka) chowa (wedle niektórych pieśni), i cel rąbania drzewa. Picie wody, lub pasienie koni przez Kasię stanowi wstęp, daléj następuje ścięcie jawora lub topoli, z których buduje się ciemniczka lub świetlica dla Jasia, niby zdrajcy na kilka lat uwięzionego, ale też i przez Kasię wyrąbywanego z ciemnicy itd. Do tego samego przecież celu, co komora, służy też i most, ułatwiający drogę pożądanym gościom (w hailkowych pieśniach) tak, że „sambir de-

(1) Ze zbioru Korytki obejmującego pieśni słoweńców, kraińców itd. — (2) Takie rzeczy mogą śmieszyć, ale mimo to zastanawia podobieństwo tych wykrzyków niby bezmyślnych „jechunder mach cumber“ i „hinder hander szumber.“ — (3) *Bibl. Warsz.* 1847 IV, str. 632, N. 98, i str. 639, N. 109, por. Woycicki I, str. 95. — (4) Taka komora stała (Kolberg I, N. 10) jest w pasieniu.

rewce“ jednéj pieśni, do chwytania dla dygnitarzy weselnych przeznaczone, jest podobno mostem z białéj rybiéj kości, dla powrotu symbolicznych koni z za wody przeznaczonym, przez tychże dygnitarzy (W. z Ol. str. 12, N. 31, str. 14, N. 31); jest téż ową „kłodą“, „chłodem,“ itp., na których Jaś z Kasią odpoczywają. Pojawienie się żumbra w hajłkach lub weselach, tak samo go, jako most weselny, charakteryzują.

W takim razie dla nas byłby jasnym i koniecznym związek wyrazów: *cumber*, *żumber*, *szumber*, *sambir*. Nasza polska *cembrzyna* (1) do téj rodziny możeby należała. Wogóle, sambir derewce i itp. może by nam wyjaśnił kilka zwyczajów ludowych, niewytłómaczonych dotąd zadawalniająco. Do takich zaliczamy tak zwany comber i klocki, jeden zwyczaj tłustoczwartkowy a nawet popielcowy, a drugi popielcowy.

W Krakowie comber, 1600 r. będący kobiecą uroczystością tłustoczwartkową p. t. Babski Comber i mający pieśni „combrowe,“ różnie jest teraz wykładany. Miał to być burmistrz tego nazwiska, okrutny, cąbrzący (czupurzący, za czuprynę targający), którego téż bałwana (gdzieindziéj Judasza) rozrywają w ten dzień (zamiast przed Wielkanocą). Także znowu zmuszano pozostałych w bezżeństwie chłopców i dziewczyny ciągnąć kloc, z okrzykiem „comber“ i chodzić w wianku grochowym na głowie (2). Nad Narwią hulające kobiety w ostatki zabierają kloce (3), w Wielkopolne toż samo ma miejsce p. t. bachus.

Ta powszechność nazwy i włóczenia kloca, będącego synonimem kary za bezpłodność, przypomina, że i sambir (żumber) z miłością i jéj skutkami ma ścisły związek, aczkolwiek w innym związku i gdzie indziéj się pojawia. Dodajmy, że wedle jednéj pieśni czerskiéj (Kozłowski str. 59, N. 19), Jaś kupuje dla Kasi, za koniki sprzedane: trzewiki, letniki i tak wygadzając zbytkownicy, późniéj niby

---

(1) Grimm *Gesch. d deutsch. Sprache*, ed. 2 str. 234 ma dąb=timbr, zimpar; por, polski dąb i dąbrowa. Godna uwagi, że u Tacyta (Germania c. 9): „część Swewów czci Izys,“ która wyrażona jest w postaci czólna (*in modum liburnae figuratum—signum ipsuis*), a u Długosza (I, 47) Jowisz po polsku ma się zwać „Jesse“, jako specyalny bożek Polaków. Jeżeli by to była Isis Tacytowa, czczona przez Słowian (Kętrzyński *Die Lygier* str. 82), możnaby sądzić za Lelewelem (*Pol. Wiek. Śred.* I, str, 427), iż jest pewien związek etymologiczny między svar (blask) a polskim Jesse, i widzieć w łodzi Izysowéj Tacyta zwykły kloc, więc toż samo co włocznie Jula w Wolgaście (Dytmar i Helmold) i w Szczecinie (Żyw. św. Ottona), to jest symbole słońca (svar). Wówczas forma sambir itp. byłaby takiem zepsuciem svar, jak Jesse, i nie łączyłaby się etymologicznie z dąbrową, dęb-em cembrz-yną. — (2) Kolberg V, str. 260, i nast. gdzie Łepkowski krakowski i Kierski wielkopolski cytowani. — (3) *Obrazki wiejskie* Gregorowicza I, str. 229. Na Podhalu słowo „ucendrać“ zabłocić (Zeiszner str. 67 N. 169) pewno w „combrze“ ma źródło, bo się wówczas błocono.

z braku koni, ją zaprzęga do redła, brony, ale *przedewszystkiém* na niéj *przywozi* „zielony jawór“ z boru, to jest drzewo w podlaskiém do ciemnicy lubego użyte, i w ogóle miłosne. W tym razie tedy i jawór jest combrem, jest karą w małżeństwie.

Ślad combrowych pieśni mamy w pieśni Podhalskiéj (Zejszner, str. 48, N. 49, por. N. 46): *Niebyło nas ino dwa, chcieli wozić p o n a s d r w a—A my chłopcy niemali, przecie my się nie dali*,—albo: *Stawajcie chłopcowie, dajcie sobie zagrać — Ino se nie dajcie c z u p r y n k i w y t a r g a ć.*— W jednéj tkwi wyrozumienie ciągnienia kloca, w drugiéj szarpania takiegoż za włosy, jako kary.

Zdaje się, że w tém budowaniu mostu weselnego z „sambir derewca,“ w klocu combrowym, trzeba szukać klucza do owego *drzewa* kalinowego i jaworowego, które „pływa“ po nad parą ślubną, uwieszone na sznurze jedwabnym (Konopka str. 49; por. Gloger *Obchody weselne* I str. 43: „Tam na góry“ etc.

Gdyby chodziło o jakąś konkluzyą z tego zestawienia wzmianek weselnych i miłosnych o moście, kładkach, „sambir derewcu,“ żumbra v. combra, i kloca (klocków), bylibyśmy skłonni do jéj wypowiedzenia w téj formie, że stawianie mostu (ławki) było wielką kwestyą cywilizacyjną, w Polsce jeszcze wieku XIII (1). Mosty wiodły do miast śród błot schowanych, przez wody warownych, trudno inaczéj dostępnych. To się musiało koniecznie odbić w obrzędach ludu pogańskiego, żyjącego w warunkach topograficznych jeszcze cięższych. Na tym gruncie realnym zaczęła snuć swe przenośnie fantazya, słusznie do wesela za most uważając pierścień itd. i każąc bezżennym zwozić kloce do takiego mostu... dla innych.

VI.

Zagajaliśmy już poprzedni ustęp uwagą, że mnóstwo danych wskazuje na to, jak gdyby wyobraźnia ludowa: pod wodą, w nizinie jakiejś mieściła właściwą scenę ślubów. Most czy pierścień na wodzie lub woda zasklepia się ponad pastwiskiem pawi itp., ponad wodném weselem, ponad spoczywającą Kasią i Jasiem (N. 5). O ile to ma związku z porwaniem Kory (dziewczyny, v. Persefony, v. Prozerpiny) w niziny Hadesu, z poszukiwaniem Eurydyki przez Orfeusza, Prozerpiny przez Herkulesa i Pirytousa, w to nie wchodzimy (2).

---

(1) Leszek Czarny sejm zwołuje, celem zbudowania mostu (*Cod. Pol. dipl.* Rzyszczewskiego. (2) Por. pieśń „Szatan“, „Rycerz i Dziewczyna“, w których piekło (podziemie) występuje.

Zaznaczamy natomiast, że odpowiednie zagłębienie się, identyczna odmiana poziomu wyraża się w naszych pieśniach weselnych... przez tonięcie lub topienie. W krakowskiém, zapalając świeczki przy weselu, śpiewają prawdziwy dyalog (Konopka str. 54): *Żegluję, płynę, — Moja Basiu ratuj mnie, bo zginę, — Zapal świece albo dwie,— Oj ratuj siebie albo mnie.— Jakże ja cię mam ratować,— Kiedy niemogę zgruntować.* — Pieśń ruska, przy wybieraniu się do ślubu (W. z Ol. str. 9, N. 24) nucona, opowiada, że w niedzielę rano (dzień ślubu) morze grało, a właściwie panna młoda tonęła; wołała „bateńka", ale czółno i wiosło powódź (ślubna, już znana, zabierająca ławeczki, zalewająca ługi) uniosła.—Pieśń zwyczajna ruska (W. z Ol. str. 226, N. 25) przedstawia kozaka, który tonąc, woła ratunku: batka, matki, siostry... „miłenka", go tylko ratuje, mimo braku wiosła i czółna.

Krakowiak (W. z Ol. str. 163, N. 557) powtarza to zwięźléj, bez obrzędowego wołania wszystkich członków rodziny: *Z tamtéj strony Wisły, kochaneczka tonie — Gdybym miał łódeczkę, popłynąłbym po nie— Lecz nie mam łódeczki ani wiosełeczka — Utonie, utonie moja kochaneczka.* — Podobnie płynie już panna a tonie konkurent w „Wodném weselu" (Kolberg I, N. 16), Jaś w „Śnie" (N. 9) a za nim i Kasia, doń w wodę skacząca.—Tylekroć cytowany „Jaś i Kasia" (N. 5) ma także topienie Kasi, która tak dna zgruntować nie może, jak panna młoda: w pieśni weselnéj u Konopki. Jeden waryant, zupełnie weselnie opiewa (str. 68): *Tonie Kasia tonie, przed nią wianek płynie—Idzie tatuś* (matka) z *pola, tatusiu* (matulu) *ratuj mnie.* W innych waryantach przybywa jéj na pomoc brat (mularz) „po jedwabnym sznurze," a gdy go zbrakło (str. 65, strofa 17), ona niebożątko, warkoczyka dodaje" (1). Zamiast takiego wołania obrzędowego rodziny: w pieśni, Kasia pływa (5 *gg*, 5 *f*) do krza rokity, iwy, po różnych zakątach, albo spostrzega 6—7 poprzednich (czy spółczesnych?) żon Jasia (N. 5, l, n.).

Cała ta pieśń mało zresztą prawdopodobną zbrodnią się zajmuje, lecz tylko jak inne jéj podobne, przekształca epizody weselne na osobne dramaty. O tém przekonywa rola Kasi, która wprawdzie tonie, brat lub rybacy ją wyciągają (jak kawalera w „Wodném weselu," lub we „Śnie"), ale która zasiada téż na kamieniu i włosy rozpuszcza po prawém ramieniu,—do rozplecin, a pozornie tylko do suszenia.

---

(1) Ten brat to obrzędowy; a sznur i warkocz oczepinowy (*Obchody weselne* I, str. 214—215), dla tego w N. 5 mm, str. 59, czytamy u Kolberga, niby nie w miejscu: *Oj moja Kasiulu, złóż sobie ten warkocz— Niech ci go nie starga lada jaki smarkacz*, tj. drużba.—Ciekawa u Woycickiego II, str. 76 oczepinowa mówi o puszczaniu włosów wodą do matki.

Podobnie pieśń „Kara“, „Burmistrzówna“ itp. (Kolberg I, N. 12) już w tym fakcie okazuje, że jest przenośnią, gdy skazana na utopienie, jak w Kasi i Jasiu, głowę sobie zawiązuje niby z bólu (właściwie, znak oczepienia), następnie tonie sama, rzadziéj topiona jest (wbrew N. 5) przez brata (1), który „gorszy jest kata“ (Kolberg I, N. 8 *i* str. 121, strofa 4). i w wodzie płynąc, po weselnemu, wzywa brata, siostry, ojca, matki (2). Jeżeli kat ją topi, co jest bardzo rzadko, proponuje małżeństwo topionéj, co nie jest bez kozery.

Pieśń czerska śpiewa (Kozłowski str. 102, N. 26): *Naści Jasiu weź to dziecię, — Powiedziałeś nie zradzę cię. — Nie zradziłeś ty mię k a t u — Na te moje młode lata* — i ten wykrzyk stał się pewno źródłem saméj osoby, która tylko z pojęcia kary może wypłynąć; kary zaś tu właściwie niéma, tylko inna opowieść ślubu i wesela.

Pomijamy okoliczność, że tak uwodzona (N. 5), jak topiona za dzieciobójstwo (Kolberg N. 12) Kasia, odróżnia się strojem od towarzyszek, co wskazuje na jéj ślubne ubranie. Rozbieranie też topionéj (N. 5) przez Jasia, znane jako czyn samowolny panny w pieśni z XVI w. (Wóycicki I, str. 44), jest także weselne, naturalne. Przybranie wreszcie głowy w rąbek, znak małżeństwa, pod pozorem bólu głowy (jak w Kolberg N. 5), wyklucza potrzebę krycia się z dzieckiem, topienia go, a potém kary i świadczy przeciw pojmowaniu całéj pieśni, jako obrazu kary (por. N. 9).

Zwracamy uwagę natomiast na ważną synonimikę ludową, w pieśniach już nam znanych wyrażoną. Dziewczyna tonąca zastępywana bywa przez wianek, w „Wodném weselu“ np. i widzieliśmy, że równie dobrze oboje łabęty (tj. chłopcy) łapią. Następnie mamy dosadne objaśnienie (Kolberg I, N. 18 *a*, str. 208), którém uzasadnia się równanie, że wianek jest tém samém w pieśniach obrzędowych, co dziecko. Czytamy bowiem frazes: *Pozbyłam wianka rucianego,— A nabyłam żyjącego.*—Tym sposobem topienie dziecka jest przenośnią tylko, zamiast tonięcia dziewczyny saméj. lub wianka jéj, stale używaną.

---

(1) Brat narzeczonéj stał się przedmiotem osobnych pieśni: „Podolanki,“ trującéj brata (Kolberg I, N. 8) na żądanie konkurenta, i drugiéj (N. 18), w któréj za utratę cnoty, brat siostrę ścina (Przecięcie fartuszka lub warkocza szablą jest także w N. 5. Jestto zastąpienie dziewczyny przez warkocz lub fartuszek naturalne). Rola taka brata w pieśniach, jako niemiłego opiekuna, odpowiada takiejże roli opiekuńczéj jego w dzisiejszych weselach. Dla tego też w *Epopei o Chrobrym*, był rozdział wyjaśniający historycznego brata Predysławy szczególniéj weselnego brata, jakim być zresztą musiał. Inaczéj mówiąc, historya objaśnia się obrzędami i odwrotnie. — (2) Wójcicki II, str. 293, Kolberg I, str. 162, 165, 167, Kozłowski str. 136, N. 5.

Z kolei rozważając wszelkie szczegóły dotąd rozpatrywanych pieśni o topieniu, znajdziemy stałe zjawisko, że *rybacy* (1) i *sieci* bardzo czynnie występują w ratowaniu tonących, ile że wiosła i czółna niéma. Otóż i tu widzimy charakterystyczną wielce metaforę w użyciu, która zdaje się wszystkim tym „topieniom" odbierać znamię rzeczywistości. Mianowicie, w tańcu oczepinowym, w krakowskiém, śpiewają przy wkładaniu czepka na głowę panny młodéj: *Pragnęłaś Kasieńko na kawałek s i e c i — Niech ci się teraz na główeczce świeci* (2).—Widocznėm tu jest, że mężatkowska namitka, brak obciętych obrzędowo warkoczy (kosy) pokrywająca, nazwana jest siecią rybacką. Zestawiając tę przenośnią z wyżéj cytowaném tonięciem, niepodobna się oprzéć myśli, że z niém w związku jest siéć owa, ze strony panny młodéj, jak pierścień złoty (materyał na most weselny) ze strony pana młodego.

Sielanka Szymonowicza p. t. *Kołacze* (3), w tym związku myśli, kładzie w usta trzeciéj pary druchen wzmiankę o morzu. *Morzem ma być młodzieniec, morza żeglarz prosi.—Morze nie słucha, ale gdzie chce żagiel nosi.*—Cała Sielanka zbyt jest przesiąkła symbolami właściwémi pieśniom obrzędowym, na weselach ludowych nuconym, byśmy mieli prawo tę metaforę uważać za obcą im. Jeśli zaś jest ludową, to ten dowód piśmienny z przed 1624 (roku śmierci Szymonowicza) świadczy o bardzo dawném istnieniu (w końcu XVI wieku) w wyobraźni ludowéj związku małżeństwa z żeglugą, pływaniem, wodą. To czyni nasz domysł o pogańskiéj starożytności tego związku prawdopodobniejszym.

Skoro to przyjmiemy za tymczasową hypotezę, wówczas pieśń krakowska (4) wyrażająca się: *Przewieś mię* (bis) *lub mi pożycz wiosła—Bo mię od matusi s w y w o l a wyniosła*—będzie nam wskazówką, jak pod wpływem chrześciaństwa, ślub „u wody," tu zwany przewiezieniem za wodę (stosownie do wyżéj cytowanych przenośni), przestaje być uważany za legalną formę małżeństwa. Woda, czółno, jak u Szymonowicza, ma znaczenie bardzo, dla XVI wieku i dla ludu dzisiaj, wyraźne, prokreacyjne, ale poeta wiąże tę przenośnią jeszcze z obrzędem kościelnym („*kapłanie, gotuj stułę*"), a lud prosty bieżącego stulecia już od sakramentu odłączywszy, nazwał

---

(1) Brat Predysławy w Epopei o Chrobrym też jest rybakiem. — (2) Konopka *Pieśni l. krak.* str. 54, strofa 2. Chłopiec tak samo na „Przeplóreczkę", co uciekła w proso, *sieć* zastawia. -- (3) *Sielanki* wyd. Mostowskiego 1805, str. 88. — (4) Konopka str. 16, N. 97: por. Kolberg *Lud* IV, str. 12, N. 122*a*. *Wędrowała mała... w k a l i n o w y m borku pierwszą nockę spała. I przywędrowała aż do saméj Wisły w o d y, p r z e w i e ś ż e m n i e* (bis)... *powiedzże mi przewoźniczku czémże mam ci płacić, czyli talarami czy c n o t ę u t r a c i ć* (por. N. 36, 76).

„swywolą.“ To też mając nielegalność „przewiezienia“ na myśli, dodaje owa pieśń: *Jeszcze ja téj swywoli poradzę — Dzieciątko utopię, w wianku się nachodzę*, — to jest przenośnią wynaturza po części (utopienie), a po części zostawia nietkniętą (wianek = dziewiczość).

Tak samo zapomniawszy w „Karze“, „Burmistrzównie“ i t. p. (Kolberg N. 12) o przenośném znaczeniu tonięcia i topienia, pieśniarz mówi przez usta rzekoméj winowajczyni: *Masz ich moja matko jeszcze dwie — Chowajże je w lepszéj cnocie niźli mnie* (str. 164, 167).

Materyału na sieć, którą dziewczynę łowią, dostarczyły (jak widzieliśmy) czepek jéj mężatkowski, jakiś sznur jedwabny, po którym się brat do topionéj Kasi spuszcza (nawet po jéj warkoczyku, co bardzo ważne). Ze względu na łapanie koni (stada owego pasionego przez dziewczynę, a nawet znanego Herodotowi) i wiązanie ich także sznurami, moglibyśmy i te sznury tém łacniéj do materyału na sieci dołączyć, że koń zastępuje kochanka, więc luba może tak jego pętać, jak on ją łowi w wodzie.

VII.

Brak dotąd jest z cytowanych przez nas typów: deszczu i kamienia. Wszakże rozbierając deszcz bardzo szczegółowo w *Pamiętniku kieleckim* z 1871 r. („Parę słów o krakowiakach“), a do kamienia, jak do sznurów, dawszy materyał w *Epopei ludowéj o Chrobrym*, dla skrócenia rzeczy, na rozebranych typach poprzestaję.

Wypadłoby na zakończenie niniejszych uwag, streścić cel i rezultat tak niniejszych badań, jak wogóle wyspowiadać się z całego poglądu na zawartość t. z. literatury ludowéj.

Zastrzegając całą możebność omyłki, przypuszczamy, że:

1° Mniemane nonsensy w pieśniach i podaniach ludowych mogą być także rezultatem utraty przez nas klucza do ich zrozumienia. A na tę zgubę składają się następne czynniki:

a) zmiana cywilizacyi pogańskiéj na chrześciańską, sprowadzająca zarówno w nas, jak w ludzie prostym, zacieranie się pojęć i uczuć o formach pogańskich;

b) Wszystkie inne czynniki destrukcyjnie działające, jak analogia dźwięków i obrazów, własnych lub obcych, niepamięć i niezrozumienie i t. d. i t. d.

Rzecz bardzo prosta, że nie wszystkie nonsensy mogą być przedmiotem rozsądnego badania, ile że często nonsens—takim... urodził się w fantazyi poety ludowego.

2° Odbudowa sensu w takich materyałach musi te wszystkie czynniki wytwórcze nonsensów uwzględnić, posługując się nadto wskazówkami:

a) natury, że tak powiem, paleograficznéj (jak znane już przekształcenia wyrazów przez lud lub i śpiewającego) mogące przyczynić się do rekonstrukcyi tekstu;

b) porównywaniem z sobą nietylko krakowiaków, ale pieśni i prozy, czy to zwykłéj, czy obrzędowéj.

Co do krakowiaka, przypuszczając, że jego forma jest bardzo starożytną, prócz tego stawiam hypotezę, że niejeden dzisiejszy krakowiak jest tylko jakby dwoma skrajnemi wyrazami bardzo długiego (wewnątrz) postępu, mówiąc po matematycznemu. To się znaczy, że w ramach krakowiaka można zmieścić szerokie powieści innych kształtów, do czego przez swą treść i terminologią się nadają.

To pokrewieństwo treści rozciąga się daléj jeszcze.

Dulski w swych *Kolędach podolskich*, jak Gloger w *Obchodach weselnych* są za historyczną podstawą i początkiem wielu pieśni i obrzędów, w czém zdaleka i wyjątkowo potwierdzać zdaje się ich K. Wł. Woycicki, oraz W. A. Maciejowski.

Stosowniéj zdaje się Woycicki, Kolberg spostrzegają uderzające tożsamości, np. w sobótkowych, rusalnych pieśniach, do czego dodać trzeba podlaskie weselne.

Jeśli porównamy w dodatku podania, to koniecznie nastręczy się myśl, że proza jest tylko nową redakcyą szczegółów znanych w formie rymowéj.

Zaczém wynika konieczność badania całego obszaru materyałów.

c) Sądzilibyśmy wreszcie, że do rekonstrukcyi mogłyby pomódz ślady literatury ludowéj zachowane w synodykach różnych, w pisarzach XVI wieku. Tak np. *Herby* Paprockiego (p. h. Przyjaciel) opowiadają szczegóły dziś powtarzające się w *Śnie*, a splątane jakby z przygody Henryka Brodatego w Gąsawie i Sandomierskiego u Jadźwingów, o którym ostatnim (tonącym), wedle mistrza Wincentego pieśni żałosne śpiewano.

Jaś i Kasia przypomina żywcem żale Ludgardy, o których Długosz pisze, że były przedmiotem *in teatro* znanym; jak sądzę treścią tensonów dla owoczesnych polskich trubadurów.

Wskazywaliśmy, za Karłowiczem, jak wyprawa Chrobrego i Szczodrego w opisie Gallusa i Mat. Cholewy do rysów historycznych przybierała rysy weselnego obrządku. Nie wynika stąd byśmy w *Epopei* zaprzeczali bytu wyprawy saméj, albo w *Jasiu*

i Kasi oraz *Śnie* widzieli tylko historyczny element. Nam chodzi o wskazanie w tych danych, przez źródła historyczne (i literackie) dostarczonych, materyału oddziaływającego pokrewną treścią lub formą na materyał pogańskiéj cywilizacyi, oraz określeń chronologicznych, dla przypuszczalnego istnienia treści dzisiejszéj literatury ludowéj, nie jako zasada *ogólna*, ale jako fakt *szczegółowy*.

Taka rekonstrukcya w obrębie własnéj literatury daje tylko obraz miejscowych często wytłómaczeń dla ogólnych zjawisk mitologicznych. Może się zdarzyć, że wykład taki okaże się fałszywym w porównaniu z rezultatem badań porównawczych.

3° Badanie porównawcze, oparte na Wedach i aryjskiéj mitologii, jest nieodbicie potrzebnym sprawdzianem wszelkich studyów nad literaturą ludową.

Mimo to, sądzimy, że stadyum przechodniém jest praca w rodzaju naszéj, obrabiająca materyał *a posteriori*, wznosząca się, macając, od szczegółów do ogółu.

Omawiając cel i rezultaty niniejszéj rozprawki, oddamy, zdaje się, wiernie oboje, w twierdzeniu, że (z warunkiem sprostowania na skutek rozleglejszych porównań aryjskich) dzisiejsze krakowiaki, w związku z innemi formami cywilizacyi pogańskiéj (literatury ludowéj i obrzędów weselnych) — odbijają, między innemi, na tle dawnych ogólno-aryjskich pojęć i obrazów: starosławiańskie, miejscowe stosunki tak topograficzne, jak obyczajowe. Zastrzegamy z góry warunek sprostowania wedle danych aryjskich. Tak np. bowiem w dotąd mi dostępnych zbiorach naszych, nie wpadł mi pod oko wyraźny dowód, by koń łączył się ze studzienką, jakkolwiek pasienie koni, nietylko konne zaloty, odbywają się u wody, *respective* i u jéj ocembrowania i t. p. Ponieważ mieszkania wodne Antów i Lachów, oraz weselne obrzędy Słowian (u Nestora) zdawały mi się być silniéj reprezentowane w dokumentach literatury pogańskiéj, odniosłem i konną postać zalotnika czy męża przyszłego, znaną i ludowym weselom, do wody weselnéj polskiéj, zamiast do studzienki, choćby aryjskiéj. Znalazłem silne téj tezy śródwodnych mieszkań poparcie w metaforze topień i tonięć pana lub panny młodych, kochanków razem lub osobno, oraz budowli mostów. Doprowadziwszy studyum zbierawcze i porównawcze do tego punktu, nie bierzemy się do zestawień z tonięciem lub topieniem małżonków lub kochanków takich faktów ogólno-mitologicznych, jak cytowane wstępowanie do piekieł lub téż puszczanie z wodą dzieci: Romulusa z Remusem, Mojżesza, Ozyrysa, Perseusza z Danaą, i do poszukiwań, czy niéma dla nich jakiéj ogólnéj formuły mitologicznéj.

Budowanie mostu weselnego z pierścienia (cąbra) zestawiłem z liburną Izydy u Tacyta; wskazałem jednak, że odpowiada ono i pewnym warunkom hydrograficznym dawnéj Polski. Niech mi téż wolno będzie odwołać się do cytowanéj już méj rozprawki „Małopolska“ w *Słowniku geograficznym*, w któréj przytoczyłem fakt przedsiębiorstwa ciesielskiego za Kazimierza W., rozciągającego się i do budowania całych wsi, a znanego i w XIII wieku, o ile z nazwy wsi Cieśle v. Pechenery można to wnosić. Takie przedsiębiorstwa mogły się złożyć także na utrzymaniu metafory mostu, aryjskiego może początku, w pamięci ludu. Most bowiem stanowił integralną część miasta, choćby jako bruk miejski (ławki).

Łatwo jednak zauważyć, że wszelkie metafory, z krakowiaków lub innych poematów dobyte, grawitują w niniejszéj rozprawie do różnych ustępów obchodu weselnego. Przyznaję się, że przypadła mi do serca teorya Ant. Nowosielskiego (Gryfa, Marcinkowskiego) w *Ludzie ukraińskim* wyrzeczona o religijném znaczeniu małżeństwa jako tajemnicy bogów, tajemnicy stworzenia. *Epopeja* oparła się zresztą na téj teoryi, dedukując z niéj swój system redukcyi kolejnych i tu stosować się mogący: najprzód bóstwo, potém bohater historyczny, wreszcie mąż (kochanek) stają się ogniskami krystalicznemi, centrami, gdzie skupia swe tkanki i najzrozumialéj rzuca swe hafty wyobraźnia ludowa. (Zachodni badacze dzisiejsi tę teoryą odrzucają).

Aryjski świat ducha; odległa przeszłość własna, pogańska, chętnie oplątująca swą barwną a mętną siecią i postaci historyczne, zwłaszcza gdy po temu są dane dziejowe; wreszcie punkt biegunowy życia ludzkiego,—miłość i posięście kobiety z ich następstwami—oto trzy fazy przejściowe, odzwierciedlające się, jak sądzę, w dzisiejszéj literaturze ludowéj, na tle odpadków z tła cywilizacyjnego swoich i obcych epok.

Nie twierdzimy, by ten system wyczerpywał wszystkie tajemnice i zagadki literatury ludowéj. I cykl słońca, lubo téż mający epizod prokreacyjny, ma swych reprezentantów w niéj. Mają go pewno i inne cykle. Sobótka np. łączyć się zdaje ich wiele. W niniejszéj pracy kierowaliśmy się wskazaną ideą — tajemnicy małżeństwa.

Tu i owdzie rzucane uwagi porównawcze zmierzały do tego, aby wskazać możebność niejaką użycia pewnych przynajmniéj szczegółów z dzisiejszéj obrzędowości i literatury do charakterystyki doby pogańskiéj i późniejszéj nawet, jako materyał pomocniczy, często uzupełniający, wyjaśniający, krótkie dane źródeł historycznych. Może kiedy na pojedynczych przykładach natrącania te szerzéj rozwiniemy.

Niniejszą robotę uważamy za dalszy ciąg i rozwinięcie twierdzeń *Epopei ludowéj*. Uważano ją za zaprzeczenie Szczerbca lub wyprawy kijowskiej. Być może, że połączenie różnych kwestyi sprowadziło ten zamęt w sądzie wielu czytelników. Co do nas, odróżniamy bardzo wyraźnie w naszych dążeniach elaborat fantazyi ludowej od wielu faktów historycznych, choć styczność obu zaznaczamy i dowodzimy wzajemnego ich wpływu.

Niech ta uwaga będzie komentarzem do naszego wykładu stosunku tu cytowanych faktów historycznych, do analogicznych pieśni ludowych starożytniejszego początku.

Ernest Sulimczyk Swieżawski.





HENRYK SAINT-SIMON I SAINT-SIMONIZM.

I.

Pochodzenie arystokratyczne Saint-Simona.—Jego młodość, służba wojskowa w Ameryce, pociąg do zajęć przemysłowych. — Zachowanie się jego w czasie rewolucyi francuskiéj i proces z Redernem.—Powtórne jego kształcenie się umysłowe.— Pierwsze dziełko.—Ubóstwo St.-Simona —Jego proces.—Stosunek z Augustynem Thierry, z Augustem Comte.—Zamach samobójczy —Olinde Rodrigues.—Zwrot religijny Saint-Simona i śmierć jego.

Saint-Simon żył i działał jednocześnie z Owenem, z tą jednak różnicą, że w tym samym czasie, kiedy sława Owena rozchodziła się po świecie, nieuznany i zmęczony upokorzeniem genialny myśliciel francuski targnął się był w rozpaczy na własne życie.

A jednak porównywując spuściznę umysłową Owena i Saint-Simona, nie podobna nie widzieć ogromnéj wyższości tego ostatniego. Owen, niezaprzeczenie utalentowany i obdarzony w wysokim stopniu zdrowym rozsądkiem, był przedewszystkiém praktykiem. Saint-Simon, przeciwnie, odznaczał się zdolnościami teoretycznemi. Teorya też jego wyznacza mu miejsce pomiędzy geniuszami ludzkości: nie teorya jednak społeczna, jakkolwiek także ważna, ale teorya filozoficzna. Saint-Simon zainaugurował nowoczesny kierunek pozytywny, wytykając główną jego myśl przewodnią i zaznaczając ważniejsze jego problematy. August Comte, genialny również myśliciel, jest bądźcobądź spadkobiercą Saint Simona.

Henryk Klaudyusz hrabia Saint Simon urodził się w Paryżu 17 października 1760 r. (1). Matka jego była także z domu Saint-Simont. Był on najstarszym z ośmiorga dzieci. Ród jego słynął ze starożytności z wielkiego znaczenia społecznego i wielkich zdolności umysłowych. Saint Simonowie wyprowadzali swoje pochodzenie od hra-

(1) Saint-Simon parę razy skreślił krótki rys swego życia i znajduje się on w XV tomie—Oeuvres de Saint-Simon et d'Enfantin.

biów Vermandois, panów na Saint-Simonis (1), którzy mieli być potomkami Karola Wielkiego. Posiadali oni ogromne dobra. Po śmierci Ludwika XIV, w radzie regencyjnéj zasiadał dziadek Henryka, Ludwik de Rouvzay, książe de Saint-Simon, jeden ze znakomitszych pisarzy, autor rzetelnych, ostrych i pięknym stylem pisanych „Pamiętników,“ które dopiero w ostatnich czasach w całości wydano. „Był to w swoim czasie—powiada Henryk—jedyny szlachcic, który zachował dawny charakter feudalny i okazał prawdziwą niepodległość.“ Atmosfera rodowa wytłoczyła silne piętno na Henryku: stąd wysokie jego rozumienie o misyi swojéj w ludzkości, stąd poszanowanie dla przeszłości dziejowéj, stąd uznanie wielkich zasług feudalizmu, do ugruntowania którego przyłożył się był także potężnie wrzekomy jego protoplasta, Karol Wielki. Poczucie wyższości szlacheckiéj zdradziło się mimowoli w liście jego do synowca, gdzie przypomina, że pierwszorzędni myśliciele, jak Galileusz, Bakon, Kartezyusz i Newton, byli szlachcicami.

Dzieckiem już okazywał wiele siły charakteru i pewną niepodległość myśli. Opowiadają, że mając lat trzynaście, odmówił pójścia do pierwszéj spowiedzi, ponieważ nie wierzył w jéj wartość, co miało rozgniewać ojca do tego stopnia, że kazał go zamknąć do więzienia Saint Lazare. Na wykształcenie jego miał wielki wpływ d'Alembert, któremu przeważnie zawdzięczał swą skłonność do studyów filozoficznych. Nosząc się z myślą zrobienia czegoś wielkiego dla ludzkości, pracował dużo nad sobą. Biografowie jego opowiadają, że służący, budząc go wcześnie zrana do pracy, powtarzał z jego polecenia te słowa: „Wstawaj, panie hrabio, masz przed sobą wielkie rzeczy do spełnienia!“

Sama pozycya społeczna wskazywała mu zawód wojskowy, a wojna o niepodległość w Ameryce północnéj otworzyła mu do niego piękną drogę. Odznaczywszy się chlubnie w dniu 17 października 1783 r. kiedy Waszyngton zmusił Cornwallisa do kapitulowania, otrzymał order Cyncynata. Saint-Simon jednak z usposobienia nie był żołnierzem: walczył, bo celem wojny, była wolność, lecz sama wojna wydawała mu się tém, czém istotnie jest—pozostałością barbarzyństwa. W Ameryce już przyszedł do tego przekonania, że nie wojna, lecz przemysł powinien być istotnym celem człowieka i ludzkości, i że rewolucya amerykańska właśnie w tym względzie zwiastowała nową erę polityczną. *Listy do Amerykanina* (2) świadczą, że stosun-

(1) Miasteczko nad Sommą w Pikardyi.

(2) Wątpliwość, czy *Listy* te były utworem Saint-Simona, usuwa się ostatecznie, zdaniem mojém — 1) przez to, że zawierają szczegóły biograficzne z życia autora i 2) że

ki ekonomiczno-społeczne w Ameryce północnéj pozostawiły wielkie wrażenie w umyśle Saint-Simona.

Po powrocie do Francyi, Saint Simon otrzymał stopień pułkownika. Mając dużo czasu swobodnego, uczęszczał na kursa matematyczne Monge'a. Lecz ponieważ zawód wojskowy wydawał się mu próżniaczym, i zajęcia przemysłowe nęciły go, podał się więc do dymisyi.

Następnie widzimy Saint-Simona w 1785 r. w Holandyi, a w 1787 r. w Hiszpanii, gdzie wszedł w blizkie stosunki z Franciszkiem hr. de Cabarrus, słynnym finansistą, który zaprowadził asygnaty i założył bank ś-go Karola w Hiszpanii. Nosząc się z pomysłami wielkich prac przemysłowych—w Ameryce przedstawił już był wicekrólowi Meksyku plan przekopania kanału Panamskiego—teraz wchodząc w plany rządu hiszpańskiego połączenia Madrytu z morzem za pomocą kanału, wypracował odpowiedni projekt, który jednak, pomimo poparcia Cabarrusa, odrzucono. Przedsiębiorcze jego usposobienie nie dawało mu spokojności. Udał się więc do Andaluzyi i tam zorganizował komunikacyą dyliżansową na wzór téj, jaka już istniała we Francyi.

Rewolucya francuska początkowo pociągnęła była czynną naturę Saint-Simona. Wróciwszy do Francyi, osiadł w swoich posiadłościach i brał czynny udział w ruchu wyborczym. Upadek feudalizmu był w jego oczach nieunikniony. Sam nawet redagował adres do Zgromadzenia Narodowego, w którym żądano zniesienia tytułów szlachectwa. Szlacheckie jednak jego pochodzenie stało się następnie powodem, że musiał pozostawać na uboczu. Rewolucya przytém, rujnując majątkowo jego matkę, która w posagu przyniosła znaczne dobra jego ojcu, zachwiała jego pozycyą materyalną i zmusiła go pomyśléć o zabezpieczeniu swojéj przyszłości. Wszedł więc w spółkę z Prusakiem, hr. Redern, z którym poznał się był jeszcze w Madrycie i z którym—jak mu się zdawało—łączyła go pewna wspólność zamiłowań filozoficznych. Nabywali oni dobra narodowe, parcelowali i odprzedawali je. Spekulacya ta przynosiła ogromne zyski. Spółka jednak z Redernem nie wyszła na pożytek Saint-Simonowi. Rządowi terorystycznemu wydały się podejrzanemi bliskie jego stosunki z dyplomatą pruskim, i kazano go uwięzić. Opowiadają, że uprzedzony przez gospodarza hotelu, w którym mieszkał, zdołał szczęśliwie umknąć, lecz kiedy następnie uwięziono gospodarza pod

---

uczniowie jego zaliczają ten utwór do jego dzieł. W olbrzymiém wydawnictwie dzieł Saint-Simona i Enfentin'a—*Lettres de Henri Saint-Simon à un Américain* znajdują się w XVIII tomie.

zarzutem ułatwienia mu ucieczki, wrócił do Paryża i sam się oddał w ręce rządu. W więzieniu pozostawał 11 miesięcy: najprzód w Sainte-Pélagie, później w Luksemburgu. Tam rozmyślał nad swojém życiem, nad rewolucyą, nad przemianami politycznemi i zastanawiał się, na jakiém polu największy może przynieść pożytek ludzkości. Wtedy to, „w najokrótniejszéj epoce rewolucyi—opowiada Saint-Simon swemu synowcowi—pewnéj nocy, kiedy znajdowałem się w więzieniu w Luksemburgu, pojawił się Karol Wielki i rzekł do mnie: „Odkąd świat istnieje, żadna rodzina nie doznała tego zaszczytu, by wydała pierwszorzędnego bohatera i pierwszorzędnego filozofa. Zaszczyt ten spotka mój ród. Synu, powodzenie twoje jako filozofa wyrówna memu powodzeniu jako żołnierza i polityka“ (1). Spekulacya, którą prowadził z Redernem, przybrała po 9-tym termidorze jeszcze większe rozmiary, ponieważ sprzyjała jéj wielce ta okoliczność, że rzeczywista cena asygnat była o wiele mniejsza od nominalnéj. Przy rozwiązaniu spółki, co nastąpiło w 1797 r. na żądanie Saint-Simona, został on podobno skrzywdzony, chociaż otrzymał w każdym razie znaczną sumę, bo 144.000 franków. „Zawiodłem się—skarżył się następnie Saint-Simon—na spólniku moim; mniemałem, że dąży on wraz ze mną, tymczasem drogi nasze były różne: on gonił za majątkiem; ja zaś wdzierałem się po krętéj górze, na wierzchołku któréj stoi świątynia sławy“ (2).

Ażeby spełnić swoję misyą filozoficzną, o któréj myśl wywołała wizyę w więzieniu luksemburskiem i coraz silniéj opanowywała jego umysł, postanowił przejść na nowo całą dziedzinę umiejętności i przyswoić sobie ostateczne rezultaty najnowszéj wiedzy w sposób jak najłatwiejszy i najpewniejszy. W tym celu—jak powiada—ożenił się i otworzył dom swój dla uczonych. Posłuchajmy, co sam mówi o tém powtórném kształceniu się swojém, które rozpoczął mając lat 38.

„Wnet po zerwaniu z Redernem, pisze—powziąłem myśl utorować umysłowości ludzkiéj nową drogę, drogę *fizyczną-polityczną*. Powziąłem myśl pchnąć wiedzę daléj i dać w tém inicyatywę szkole francuskiéj. Przedsięwzięcie to wymagało pracy przygotowawczéj. Musiałem zacząć studyować nauki fizyczne, poznać ich stan obecny i przy pomocy badań historycznych zrozumieć, w jakim porządku następowały odkrycia, które wzbogaciły wiedzę. Ażeby poznać to, nie poprzestawałem na samej pracy w bibliotekach: rozpocząłem na nowo swoje wykształcenie, uczęszczałem na wykłady najznakomit-

(1) Str. 101. XV Volume. *Lettre à son neveu* (Victor de Saint-Simon).
(2) Str. 67. XV Volume.

szych profesorów; zamieszkałem naprzeciw szkoły politechnicznéj; poprzyjaźniłem się z niektórymi profesorami téj szkoły; przez trzy lata starałem się przyswoić sobie wiedzę jedynie w gałęzi nauk fizycznych. Wydawałem hojnie pieniądze, by nabyć naukę; wyborny stół, dobre wino, wielka uprzejmość dla profesorów dostarczały mi wszelkich ułatwień, jakich mogłem sobie życzyć. Musiałem przezwyciężać wiele trudności. Mózg mój stracił już swoję plastyczność: nie byłem już młody. Lecz z drugiéj strony miałem także ważne korzyści. Odbyłem wielkie podróże; wchodziłem w stosunki z wielu osobami zdolnemi; otrzymałem pierwsze wykształcenie pod kierownictwem d'Alembert'a, wykształcenie, które oplotło mój umysł siatką metafizyczną tak gęstą, że żaden ważny fakt nie mógł jéj ominąć. W 1801 r. oddaliłem się od szkoły politechnicznéj i zamieszkałem przy szkole medycznéj. Zawiązałem stosunki z fizyologami i rozstałem się z nimi dopiero, kiedy dokładnie poznałem główne zasady ustroju ciał organicznych. Przestawszy studyować fizyologią, wyjechałem za granicę. Pokój, zawarty w Amiens, pozwolił mi udać się do Anglii. Celem mojéj podróży było dowiedzieć się, ażali Anglicy nie zajmowali się otworzeniem nowéj drogi, którą zamierzałem wytknąć. Wyniosłem z tego kraju przekonanie, że mieszkańcy jego nie kierowali swych prac ku celowi fizyczno-politycznemu, że nie zajmowali się reorganizacyą systematów naukowych, i że na warsztacie swoim nie mieli żadnéj nowéj zasadniczéj myśli. Wkrótce udałem się do Genewy i zwiedziłem część Niemiec. Wyniosłem z téj podróży przeświadczenie, że w kraju tym ogólna część nauki znajdowała się w stanie dzieciństwa, albowiem opierała się na zasadach mistycznych" (1).

W czasie pobytu Saint-Simona w Genewie, w 1803 r., wyszło tam z druku pierwsze jego dziełko p. t. *Lettres d'un habitant de Genève à ses contemporains*. Przeszło ono zupełnie niespostrzeżenie, i sam autor o niém następnie nie wspominał. Znajdujemy w niém jakby w zarodku myśl filozofii pozytywnéj i myśl jego religijną. Co do poglądów społecznych, to uległy one w późniejszym czasie nader ważnym zmianom, ażeby można było ich szukać—jak to czynią niektórzy—w tém dziełku.

Sposób kształcenia się, użyty przez Saint-Simona, niezawodnie pod względem umysłowym był bardzo dla niego korzystny, ale kosztował go bardzo drogo, pozbawił go bowiem ogniska domowego i zrujnował majątkowo. Ożeniwszy się, bez prawdziwego przywią-

---

(1) Przytoczyłem ten ustęp podług wydawnictwa Rodrigues'a (str. XX), który zestawił to opowiadanie z kilku pism Saint-Simona.

zania, Saint-Simon już w następnym roku rozwiódł się z żoną (1). Życie wystawne, hojność dla uczonych (wspierał geometrę Poisson'a), podróże—zrujnowały go zupełnie. W r. 1805 musiał przyjąć już nędzną posadę kopisty w domu zastawniczym, gdzie za 9 godzin dziennéj pracy dostawał 1000 fr. na rok. Nie mając czasu w dzień, pisał swoje rozprawy po nocach. To go strasznie męczyło. Diard, dawny jego sługa, dowiedziawszy się o tém, raz przy spotkaniu się z nim, rzekł do niego: „Panie! miejsce, które zajmujesz, nie jest godne ani twego nazwiska, ani twoich zdolności; proszę cię: przenieś się do mnie; możesz rozporządzać wszystkiém, co do mnie należy; będziesz pracował podług swego upodobania, a ludzie przecież poznają się na tobie" (2). Saint-Simon odzyskał więc znowu swobodę pracy. Diard dał nawet nakład na drugą jego ważną pracę, która pojawiła się w r. 1808 p. t. *Introduction aux travaux scientifiques du dix-neuvième siècle*. Odpowiadając niejako na żądanie Napoleona, objawione w Instytucie, aby ten przedstawił mu ówczesny stan nauk i środki, któremi można przyczynić się do ich postępu, w dziele tém Saint-Simon skreślił główne zasady filozofii pozytywnéj, które następnie Comte rozwinął i ujął w całość umiejętną. Dalszym ciągiem poprzedniéj pracy były *Lettres au Bureau des longitudes*. Rozprawy te jednak nie przyniosły autorowi ani sławy, ani korzyści pieniężnéj. Nieustanne wojny w Europie nie sprzyjały ruchowi umysłowemu. Jedyny pożytek z tych rozpraw miał autor—jak sam powiada—ten, że przyczyniły się znacznie do jego wykształcenia.

Ze śmiercią Diard'a, Saint-Simon znowu się znalazł w ciężkiém położeniu. Naówczas zwrócił się do Rederna, z początku domagając się zwrotu należnéj mu części, następnie prosząc go jedynie: „o chleb, książki niezbędne i stancyą"; ale twardy Prusak szorstko mu odmówił, nazywając jego pomysły bredniami, a jego samego ateuszem, i nie chciał słuchać o proponowanym mu polubownym sądzie. „Lepiéj mieć za spólnika takiego ateusza jak ja — pisał Saint-Simon ostatni raz do Rederna — aniżeli takiego nabożnisia jak pan" (3).

W r. 1813 położenie materyalne Saint-Simona znowu się poprawiło. Rodzina wyznaczyła mu skromną pensyą, a przyjaciele jego ciesząc się, że wyszedł z ciężkiéj choroby, w jaką był zapadł, wsparli go pieniędzmi i zachęcili do dalszych prac. W krótkim też czasie

---

(1) Będąc w Genewie, Saint-Simon podobno oświadczył się słynnéj autorce, Staël. Oświadczenie to miał sformułować w następujący dziwaczny sposób: „Pani jesteś nadzwyczajną kobietą w tém stuleciu, ja jestem nadzwyczajnym mężczyzną; razem spłodzimy dziecko jeszcze bardziéj nadzwyczajne."

(2) Str. 74. XV. Volum. — (3) Str. 135, XV. Vol.

wygotował on dwie rozprawy, lub raczéj pomysły do obszernych prac: *Mémoire sur la science de l'homme* i *Travail sur la gravitation universelle.* Tymczasem środki pieniężne wyczerpały się zupełnie i Saint-Simon wpadł w straszną nędzę. Wówczas to, posyłając kopie swych rękopismów do rozmaitych ludzi bogatych, skarżył się w listach, że od trzech tygodni jada suchy chleb tylko i pije wodę, że pracuje w zimnym pokoju, i że sprzedał ostatnią koszulę dla zapłacenia kosztów przepisywania manuskryptów.

W liczbie osób, którym Saint-Simon posłał swoję pracę p. t. *Mémoire sur la science de l'homme*, był późniejszy historyk Jakób Mikołaj Augustyn Thierry. Miał on wówczas lat 19. Zachwyciła go przysłana mu „historya postępu umysłu ludzkiego, oparta na faktach i pełna myśli nowych i pięknych“ — jak to wyraził w liście swoim z dnia 13 stycznia 1814 r. Zbliżył się więc do jéj autora i w tymże jeszcze roku wydali oni wspólną pracę p. t. *Réorganisation de la société européenne*, na któréj Thierry podpisał się jako uczeń Saint-Simona. Książka ta zwróciła na siebie uwagę: rząd francuski starał się rozmaitemi sposobami przeszkodzić jéj rozpowszechnieniu. Główną jéj myślą było, że możliwie najlepszym ustrojem byłby taki, w którymby narody europejskie rządziły się własnemi parlamentami, a nadto miały jeden ogólny parlament dla rozsądzenia sporów pomiędzy narodami. Był to pierwszy pomysł federalizmu parlamentarnego w Europie, któremu następnie Proudhon dał szatę demokratyczną, autorowie bowiem *Reorganizacyi społeczeństwa europejskiego* nie uwzględnili demokratycznéj dążności swego czasu, chociaż w drugiéj swéj pracy, zamieszczonéj w maju 1817 r. w piśmie Saint-Simona, *L'Industrie* (1), Thierry objawił już większe zrozumienie swego czasu, zaznaczając, że polityka, która była niegdyś własnością gabinetów, stała się po rewolucyi francuskiéj udziałem samych narodów. W 1815 r. Saint-Simon i Thierry wydali razem dziełko p. t. *Opinion sur les mesures à prendre contre la coalition de 1815*, w którém doradzali narodowi francuskiemu zbliżenie się i porozumienie z narodem angielskim. Już w dziele o reorganizacyi społeczeństwa europejskiego zalecali Francuzom utworzyć wspólny z Anglikami parlament. Wogóle Saint-Simon i saint-simoniści byli stałemi zwolennikami ścisłego przymierza z Anglią. Stosunek, jaki istniał pomiędzy Saint-Simonem i Thierry'm, był bardzo korzystny dla obu: Thierry, pracując specyalnie nad historyą, przynosił Saint-Simonowi obfity materyał historyczny; Saint-Simon zaś nadał kierunek filozoficzny

---

(1) L'Industrie ou Discussions Politiques, Morales et Philosophiques dans l'Interêt de tous les hommes livrés à des travaux utiles et indépendants.

i społeczny badaniom historycznym Thierry'ego, co uczyniło go — można powiedzieć — najsympatyczniejszym ze spółczesnych mu historyków francuskich. Stosunek ten zerwał się w r. 1817, Saint-Simon zanadto przekonany o swojéj nieomylności. nie znosił opozycyi. Wzburzony sporem, powiedział wyniośle do Thierry'ego: „nie rozumiem stowarzyszenia bez rządu.“ „A ja — odrzekł Thierry — nie rozumiem stowarzyszenia bez wolności.“ I spółka dwóch potężnych umysłów rozpadła się.

Pozycya materyalna Saint-Simona zawsze pozostawała niepewna. Wprawdzie za powrotem Napoleona z wyspy Elby otrzymał on, dzięki ministrowi Carnot, posadę bibliotekarza w bibliotece Arsenału, ale utracił ją wraz z upadkiem rządów cesarskich. Żył następnie z prenumeraty swych pism i z zapomóg, które mu nadsyłano.

W tym samym roku, kiedy zerwały się jego stosunki z Thierry'm, znalazł on nowego bardzo gorliwego ucznia w późniejszym znakomitym filozofie, Auguście Comte'cie. Przez dwa lata Comte z uwielbieniem słuchał swego mistrza, lecz następnie coraz bardziéj różnił się z nim w wielu poglądach. Stosunek jednak wzajemny trwał jeszcze przez lat kilka, chociaż niezupełnie już szczery. Saint-Simona bolało, że Comte nie uznawał w nim powagi geniuszu pierwszorzędnego; Comte'owi zaś wydawało się, że Saint-Simon przeszkadzał rozgłosowi jego nazwiska. Dwie olbrzymie ambicye nie mogły wytrwać dłużéj w zgodnym z sobą stosunku. Saint-Simon oświadczył, że stowarzyszenie pomiędzy nimi przestaje istnieć, ponieważ Comte nie chce poddawać się jego kierunkowi. Comte, milcząc, wyszedł. Zerwanie to pociągnęło nawet za sobą pewną wzajemną gorycz.

W czasie swych stosunków z Comte'em, Saint-Simon rozwinął w zupełności swoje poglądy industryalne. Starał się nawet zjednać bankierów i przemysłowców większych do nowéj, wskazywanéj im przez siebie czynności politycznéj. Ci słuchali go, podpisywali się nawet na zapowiedziane przezeń dzieła, ale pozostawali obojętnymi dla całéj jego nauki. Kiedy jednak zaczęło się uwydatniać coraz większe jéj przeciwieństwo z teologią, wylękli się i w liście do ministra policyi w końcu października r. 1817 tłomaczyli się, że podpisując zapomogę na wydanie dzieła, wcale nie wiedzieli, co ma ono zawierać. Pomimo to Saint-Simon nie ustawał w swéj agitacyi. Szeregiem drukowanych listów nakłaniał przemysłowców do czynniejszego wystąpienia; zachęcał ministrów do podjęcia roli reformacyjnéj; wskazywał królowi, jaką ma być jego polityka, jeżeli chce utrwalić dynastyą Bourbonów. Jednę z jego broszur, gdzie przeprowadzał paralelę pomiędzy Bourbonami i Sztuartami (*Des Bourbons et des Stuarts*, 1822), skonfiskowano. Miał nawet proces polityczny, który

jednak skończył się uniewinnieniem. Proces ten zwrócił na niego uwagę demokratów postępowych, zwłaszcza młodego Bazard'a.— W tym czasie Saint-Simon zawiązał stosunki z pismem *Censeur européen* i zaprzyjaźnił się z B. Constant'em, Pawłem Ludwikiem Courier i znakomitym poetą, Béranger'em.

Bazard w biografii Saint-Simona (*Biographie portative des contemporains*) powiada: „Widząc się pewnego dnia opuszczonym przez wszystkich, opuszczonym nawet przez tych, których najwięcéj kochał i którzy mieli bardzo wielkie dla niego obowiązki (1), widząc się pozbawionym wszelkich środków materyalnych do propagowania swoich przekonań, targnął się na swoje życie...“ Stało się to 9 marca 1823 r. Saint-Simon strzelił w głowę, ale kula nie weszła do mózgu; spowodowała tylko utratę oka i zdrowia.

W dwa miesiące po tym wypadku zbliżył się do Saint-Simona najulubieńszy jego uczeń, Olinde Rodrigues, żyd z pochodzenia, ale wychowany przez ojca w niewierze filozoficznéj. Entuzyasta ten ogromny najlepiéj odpowiadał przedśmiertnéj dobie Saint-Simona, w któréj filozof przeobraża się w założyciela nowéj religii. Francyą ogarnął wówczas silny prąd religijny katolicki, który rozszczepił się na dwa kierunki: jeden dążył do restauracyi staréj wiary (Józef de Maistre), drugi zaś starał się pogodzić katolicyzm z nowemi wymaganiami czasu (Lammenais). Saint-Simon, w którym strona uczuciowa wzmogła się potężnie w tym czasie, odczul także potrzebę powszechnéj wiary. Dzieło jego: *Le Nouveau Christianisme* jest najbardziéj subiektywném ze wszystkich i najwięcéj téż zwolenników zyskało.

Ostatnie dni życia reformatora otoczono opieką i miłością. Po sześciotygodniowéj chorobie, mając dokoła siebie ukochanych uczniów, czytając z upodobaniem „Historyą zdobycia Anglii przez Normandów“, którą mu przysłał Thierry, 19 maja 1825 r., „zasnął w marzeniu o szczęściu powszechném“ — jak się wyraził Leon Halévy w mowie pogrzebowéj — z następującemi słowami na ustach: „Całe moje życie streszcza się w jednéj myśli: zapewnić ludziom jak najswobodniejszy rozwój ich zdolności.“ Na pogrzebie Saint-Simona zebrał się dość znaczny poczet ludzi; Thierry i Comte byli także. Gall robił autopsyą i w mózgu jego dostrzegł: brak zupełny przezorności i wytrwałość niezmordowaną.

Sam Saint-Simon tak ocenił swoje życie: „Życie moje przedstawia szereg upadków, chociaż chybioném nie było, albowiem za-

(1) Enfantin wyraźnie powiada, że to Comte rozdarł serce swego mistrza. Str. 223 Oeuvres d'Enfantin et de Saint-Simon. VIII Vol. Paris, 1866.

miast spuszczać się w dół, zawsze podnosiłem się w górę; na polu odkryć działalność moja podobna była do przypływu; często opuszczałem się, ale siła, która mię podnosiła, zawsze brała przewagę nad siłą przeciwną.“

II.

Pisma Saint-Simona. — Jego teorya filozoficzna. — Pochód umysłu ludzkiego. Filozofia pozytywna. — Rozwój moralności. — Przeobrażanie się czynności materyalnéj. — Poglądy historyozoficzne. — Czém powinna być historya? Postęp, oslą jego konieczność porządku. — Porządek feudalny i przemysłowy. Przeobrażanie się pierwszego w drugi. — System przejściowy. — Doktryna przemysłowa (industryalna). — Różnice organizacyi feudalnéj i przemysłowéj. Położenie klasy najuboższéj jest miarą wyższości systemu politycznego. Polityka przyszłościowa. — Monarchia reprezentacyjna. — Plan zorganizowania przedstawicielstwa w izbach. — Środki do szczęścia powszechnego. Prawdziwa równość. — Własność. — Stosunek Saint-Simona do robotników. Dla czego uważają go za socyalistę? — Niepojmowanie ważności prądu demokratycznego. — Zwrot socyalny i religijny. — Czém są religie? — Nowy chrześcianizm.

Oprócz wspomnianych powyżéj dzieł, Saint-Simon wspólnie ze swoimi uczniami wydawał: *l'Industrie* (1817 i 1818 r.), *le Politique* (1819), *l'Organisateur* (1819 i 1820 r.), *Du Système industriel* (1821 i 1822), *le Catéchisme des industriels* (1823 i 1824), i ogłosił parę artykułów w *Opinions littéraires, philosophiques et industrielles*, wydawanych przez Leona Halévy'ego. Wydawcy dzieł Saint-Simona w ogólnym zbiorze: *Oeuvres de Saint-Simon et d'Enfantin* (1) starali się wydzielić to, co pochodziło od samego Saint-Simona i ogłosić wszystko, co stawało się, lub stało rzadkością bibliograficzną. Przedtém Rodrigues i Lemonnier wydawali jego dzieła.

Saint-Simon nie dał w pismach systematycznego wykładu nauki swojéj; on — można powiedzieć — siał tylko tu i owdzie swoje myśli i poglądy. Nadto wiele myśli wypowiadał w rozmowach ze swoimi uczniami, którzy następnie je opracowywali, i stosownie do swego widzenia rzeczy, wprowadzali do nich dość znaczne odmiany. Zwłaszcza wypada to powiedzieć o pracach Augusta Comte'a.

Postaram się streścić główne poglądy Saint-Simona tak, jak sie przedstawiają w jego dziełach — filozoficzne i historyozoficzne, socyalne i religijne.

---

(1) Pełny tytuł: Oeuvres de Saint-Simon et d'Enfantin, publiées par les membres du Conseil institué par Enfantin pour l'exécution de ses dernières volontés et précédées de deux Notices Historiques.

„Zbadać pochód umysłu ludzkiego, ażeby pracować następnie nad udoskonaleniem cywilizacyi, oto cel, który sobie zamierzyłem“ (1) — powiada Saint-Simon.

Ludzkość — podług niego — jest istotą zbiorową, która rozwija się i dojrzewa. Dojrzewanie polega przedewszystkiém na nagromadzaniu wiedzy. Na początku umysł ludzki nie miał wiedzy o świecie, objaśniał więc wszystko, podług własnego przywidzenia, domniemania. Był to okres teologiczny. W miarę jednak wzrostu wiadomości o świecie, nadziemski i teologiczny pogląd ustępował ziemskiemu i pozytywnemu t. j. opartemu na wiedzy, którego ostateczna przewaga jest niewątpliwą. My żyjemy w epoce przejściowéj, podobnéj do epoki rewolucyjnéj za czasów cesarstwa rzymskiego, kiedy odbywało się przejście od politeizmu do teizmu. Dzisiejsza „rewolucya filozoficzna rozpoczęła się oddawna: początek jéj należy odnieść do uprawy nauk pozytywnych, wprowadzonéj do Europy przez Arabów przeszło dziesięć stuleci temu“ (2).

Nauki rozwijając się traciły kolejno charakter teologiczny i, przeszedłszy przez metafizykę, stawały się pozytywnemi: najprzód astronomia, ponieważ jéj zjawiska są najprostsze, późniéj fizyka, daléj chemia, za naszych czasów wreszcie fizyologia, któréj jednę gałąź stanowi psychologia. Astronomiczna teorya, odkryta przez Kopernika, a dowiedziona i ustalona przez Galileusza, niwecząc mniemanie, że świat istnieje dla człowieka, potężnie podminowała teologią. Epokę, w któréj nauki przyrodnicze zaczęły się stawać prawdziwie pozytywnemi, trzeba odnieść do Bakona, który dał pierwszy hasło do tego wielkiego przewrotu; do spółczesnego mu Galileusza, który go rozpoczął; do Kartezyusza wreszcie, który nieodwołalnie obalił w umysłach jarzmo powagi w przedmiotach naukowych (3).

Filozofia pozytywna powinna być wynikiem i uogólnieniem wiedzy. Bez materyału naukowego samo rozumowanie do niczego doprowadzić nie może. Wówczas tylko możemy mieć pewność, kiedy opieramy się na faktyczném wykazaniu, czyli demonstracyi. „Wierzenie można zwalczać, ale demonstracyi trzeba uledz“ (4). Plato, Kartezyusz i Kant tworzyli niejasne spekulacye, które przyniosły mało korzyści; Arystoteles i Bakon opierali się na faktach i wzbogacili filozofią. Żywiołami filozofii, która jest nauką ogólną, są nauki specyalne. Filozofia, „pod względem biernym, jest streszczeniem zdobytéj wiedzy; pod względem czynnym—jest wskazaniem

(1) Str. 148. XVIII Vol. — (2) Str. 25. Programme de travaux qui seront employés dans l'ouvrage, qui a pour titre L'Industrie. XIX. Vol. — (3) Str. 136. XX Vol. (4) Str. 144. XXI Vol. Du Système industriel.

nowych dróg naukowych, które trzeba otworzyć, i wykazaniem środków, które są potrzebne do odkryć nowych i uzupełnienia rozpoczętych“ (1). Filozofia powinna wszystkie zjawiska objaśnić jedném prawem i z jednego prawa wyprowadzić—z prawa powszechnego ciążenia.

Rozwój umysłowy jest jedną tylko stroną rozwoju ludzkości. Odbywa się jeszcze rozwój moralności i czynności materyalnéj. Bez pewnych ogólnych pojęć moralnych, niepodobna przypuszczać istnienia społeczeństwa. „Początek moralności wikła się koniecznie z początkiem społeczeństwa“ (2). Moralność, tak samo jak wiedza, przeobraża się. Pojęcia nadprzyrodzone zamienia przyrodzonemi, z niebieskiéj staje się ziemską. „Wierzenia religijne nie mogą być podstawą moralności“ ; okazuje się przeto konieczność, „oprzéć ją na innych zasadach, zasadach pozytywnych (to jest wyprowadzonych z obserwacyi)“ (3). „Ważnym krokiem, który ma zrobić cywilizacya, jest ustanowienie moralności ziemskiéj i pozytywnéj“ (4). Czynność materyalna ludzkości także rozwija się i przeobraża: zamiast wojny wzrasta przemysł; społeczeństwa szukają dobrobytu nie w zaborze, lecz w pracy i dobrém gospodarstwie.

Jak widzimy, Saint-Simon przyczynił się wielce do ustalenia dwóch główniejszych podstaw nowoczesnéj filozofii pozytywnéj: teoryi ewolucyi i transmorfizmu.

Poglądy historyozoficzne Saint-Simona niezaprzeczenie oddziałały silnie na literaturę historyczną, nie tylko pośrednio przez Augustyna Thierry'ego i Augusta Comte'a, ale nawet bezpośrednio, jak tego dowodem wielkie z niemi pokrewieństwo niektórych pomysłów Guizot'a. Wreszcie Saint-Simon dał próbkę, że mógłby sam zostać jednym ze świetniejszych historyków. *Narodziny chrześcianizmu* (*Naissance du christianisme*) (5), pokrótce ale krytycznie i z głębokim filozoficznym poglądem opowiedziane, nabierają jeszcze większego znaczenia po całym szeregu prac Renana, przedstawiając się niejako zwięzłem ich streszczeniem. Znakomitem jest także jego porównanie polityczno społecznego porządku Greków i Rzymian z porządkiem feudalnym (6).

Historya — zdaniem Saint-Simona — nie była opracowywana za jego czasów tak, jak należało. Uważała się ona za rzecz więcéj literacką, aniżeli naukową. Wprawdzie angielscy historycy, a zwłaszcza Hume, w dziełach swoich zwrócili już główną uwagę na rozwój

(1) Str. 109, XV Vol. — (2) Str. 32, XIX Vol. — (3) Str. 107, XX Vol. — 4() Str. 38, XIX Vol. — (5) XIX Vol. — (6) Str. 30—57. Opinions littéraires 1 t. d.

cywilizacyi. Wiele jednak w tym kierunku nie zrobiono i historya zawsze nie była tém, czém powinnaby być, t. j. „prostym szeregiem spostrzeżeń nad pochodem i rozwojem cywilizacyi (1). Nauka staje się wówczas pożyteczną, kiedy daje podstawę do przewidywania. Taką podstawą w historyi może być dobra znajomość przeszłości. Albowiem „przyszłość składa się z ostatnich wyrazów szeregu, którego pierwsze wyrazy stanowią przeszłość. Kiedy zbada się dobrze pierwsze, łatwo nakreślić następne: w ten sposób z przeszłości dobrze obserwowanej, można łatwo wywnioskować przyszłość" (2). Ludzie mogą wywierać chociaż ograniczony i drugorzędny wpływ na historyą, wszakże wówczas tylko, kiedy zrozumieją dobrze, jakiemi drogami ona idzie.

W historyi ludzkości widzimy postęp. — Na czemże on polega? Na tém, że lepsze, t. j. korzystniejsze dla ogółu zastępuje to, co mniéj jest dobrém. Stosuje się to zarówno do dziedziny duchowéj jak materyalnéj. Pierwszym krokiem na drodze postępu było wyjście z nieporządku, anarchii, chaosu. Nieporządek, organicznie związany z nędzą, lenistwem i ciemnotą, jest tak niekorzystną rzeczą dla powszechności, że wszystko, co zaprowadza jakikolwiekbądź porządek, już jest lepszem od niego. A że niska umysłowość i dzikość obyczajów czyniły możliwem utrzymanie porządku jedynie za pomocą siły fizycznéj, przeto z natury rzeczy zapanować musiały despotyzm, niewolnictwo, podbój. Był to porządek narzucony, ale nie przyjęty, nie zaprowadzony dobrowolnie. Mógł on trwać do czasu tylko. W miarę rozwoju umysłowego, moralnego i ekonomicznego, zaczęła się wyrabiać nowa odpowiedniejsza organizacya. Pierwotna więc ustąpiła téj, jako lepszéj. Każda następna właśnie dla tego ustala się, że była korzystniejszą od poprzedniéj. Jeżeli porównamy wszechstronnie porządek społeczno-polityczny Greków i Rzymian z porządkiem feudalnym, to przekonamy się, że ostatni jest wyższym od pierwszego. Zdanie to — należy zauważyć — wypowiedział Saint-Simon wbrew niemal powszechnemu podówczas przekonaniu o wyższości cywilizacyi grecko-rzymskiéj nad średniowieczną. Dla nas— zdaniem Saint-Simona—średniowieczna cywilizacya ma tém jeszcze większe znaczenie, że cywilizacya nowoczesna jest jéj wytworem i od niéj otrzymała ten odmienny charakter, którym się różni od cywilizacyi narodów starożytnych.

Porządek feudalny był zawsze jeszcze organizacyą wojenną. Dopiero wyzwalanie się gmin, czyli gminu nadaje coraz większe zna-

---

(1) Str. 70. L'Organisateur. Oeuvres de Saint-Simon et d'Enfantin. XX Vol. Paris 1869. — (2) Str. 122, XV Vol.

czenie klasie przemysłowéj (1), która dąży do nowego porządku, porządku przemysłowego. Równocześnie ze wzrostem znaczenia klasy przemysłowej, klasy, które można nazwać teologicznemi i feudalnemi, coraz więcéj tracą na poważaniu i władzy rzeczywistéj. Przeobrażanie się polityczne porządku feudalnego rozpoczęło się — można powiedzieć — od reformacyi Lutra. Rewolucya angielska za Karola I, wypędzenie Sztuartów, rewolucya amerykańska i rewolucya francuska daléj prowadziły to dzieło. Wreszcie „nadeszła chwila, kiedy ma nastąpić powszechna rewolucya, rewolucya wspólna wszystkim ludom cywilizowanym, gdziebykolwiek mieszkały" (2).

Saint-Simon zamierzał i obiecywał pójść za przykładem Condorcet'a, który — w jego mniemaniu — był najzdolniejszym filozofem z ostatniéj połowy XVIII stul., i obszerny dać pogląd na całość dziejów ludzkości. Skończyło się jednak na szczegółowszym rozbiorze epoki najważniejszéj w dobie nowoczesnéj: epoki przeobrażenia się systemu feudalnego na przemysłowy. Wykonał to w piśmie *L'Organisateur*, nieregularnie wydawaném od listopada 1819 do lutego 1820 r.

System feudalny ostatecznie ukonstytuował się w XI stuleciu, i w tymże samym czasie zaczęły się urabiać nowe żywioły, które przygotowywały jego upadek i zamianę na porządek nowy. W systemie feudalnym władza rozdzieliła się na doczesną i duchową, czego nie było u Rzymian, a co stało się ważnym nabytkiem postępowym. W XI stul. obok władz dawnych wytwarzają się nowe władze (*pouvoirs*), albo lepiéj — zdolności (*capacités*), ponieważ charakter ich znacznie się zmienia. Władzami nazywamy je właściwie dla tego, że stanowią siły, lecz utracają one dawną swą dowolność i powagę, przestają być władzami objawienia, stają się władzami demonstracyi. Zamiast władzy wojskowéj—feudalnéj, wytwarza się zdolność przemysłowa; zamiast władzy teologicznéj — zdolność naukowa. Dawne władze rozciągały swe działanie na ludzi, nowe rozciągają na przyrodę. Wzmocniwszy się, ostatnie wystąpiły z opozycyą przeciwko pierwszym.

Opozycya objawiła się nasamprzód w dziedzinie duchowéj i przeszła w XVI stul. w walkę otwartą. Reforma ugruntowywała się i rozpościerała przez całe XVI i początek XVII stul. Wkrótce potém następuje walka przeciwko władzy doczesnéj we Francyi i w Anglii.

---

(1) Klasa industryalna obejmuje wszystkich, co pracują produkcyjnie. Najbardziéj uwydatnia to autor w artykule: „Le parti national ou industriel comparé au parti antinational." Oeuvres de S.-Simon. Vol. XIX. — (2) Str. 168. Lettres de Henri Saint-Simon à un Américain. XVIII Vol.

We Francyi Richelieu pracował nad zburzeniem potęgi feudalnéj, Ludwik XIV zakończył tę pracę. W Anglii walka skończyła się rewolucyą 1688 r., która ograniczyła władzę królewską. Dotąd jednak „napadano na części składowe systemu, ale nie na jego całość; rozbijano części, należało zaś rozbić cały system“ (1). Tego dokonał wiek XVIII, „ciąg dalszy, uzupełnienie i streszczenie dwóch poprzednich wieków“ (2).

Żywioły nowe z początku były słabe, ażeby w walce mogły opierać się na własnéj tylko sile, korzystały więc z walki wzajemnéj władz dawnych i łączyły się z tą, lub ową, stosownie do większéj korzyści jaką otrzymać mogły. I tak, we Francyi gminy połączyły się z królem przeciwko feudalizmowi, w Anglii zaś z feudalizmem przeciwko królowi. Francuscy królowie wspierali wzrastanie sił nowych. Minister Colbert, sam poprzednio rękodzielnik, podnosił znaczenie uczonych, artystów i rękodzielników. Ludwik XIV popełnił wielki błąd, łącząc się ze szlachtą. Gdyby tego nie był zrobił, zapobiegłby nieszczęściu, które spadło „na niewinnego i nieszczęśliwego Ludwika XVI.“

Wyzwolenie gmin wytworzyło własność przemysłową, pochodzącą z pracy i zupełnie niezależną od własności ziemskiéj. Własność ta stała się źródłem wielkiego bogactwa klasy nowéj. „Wszystkie sztuki, znane do tego czasu, ogromnie udoskonaliły się, nadto ich liczba nieporównanie wzrosła. Rolnictwo pomnożyło swe produkty w olbrzymich rozmiarach. Stosunki handlowe udoskonaliły się nieobrachowanie i równocześnie przyjęły ogromne rozmiary, zwłaszcza od czasu odkrycia Nowego świata. Słowem, działanie rodzaju ludzkiego na przyrodę powiększyło się w stosunku niedającym się ocenić, albo raczéj wówczas to dopiero wyrobiło się na prawdę“ (3). Każdy nowy wynalazek, każde nowe odkrycie podnosiły znaczenie klasy przemysłowéj. Wynalazek prochu przeniósł w jej ręce siłę realną: wojna stała się zależną od sztuk przemysłowych i nauk obserwacyjnych. Wynalazek druku utorował drogę opinii coraz powszechniejszéj. Nauka, stając się bardziéj pozytywną, wzrastała i wzmagała się. W XIII stul. powstały pierwsze szkoły, gdzie uczono nauk obserwacyjnych. Utworzenie akademii nauk przez Colbert'a, „było pierwszym krokiem w organizacyi politycznéj duchowego żywiołu nowego porządku“ (4).

System feudalny nie mógł przeistoczyć się odrazu w system przemysłowy. Musiał więc wytworzyć się system pośredni, przej-

(1) Str. 101, XX Vol. — (2) Str. 102, XX Vol. — (3) Str. 129 i 130, XX Vol. (4) Str. 139, XX Vol.

ściowy, w którym dawne zasady kojarzyły się niejako z nowemi. W tym peryodzie klasami przewodniemi są: co do strony doczesnéj, legiści; co do strony duchowéj, metafizycy. Jedni i drudzy wiele się przyczynili do podminowania porządku feudalnego i teologicznego. „Obalenie sądownictwa feudalnego i ustanowienie wymiaru sprawiedliwości mniéj uciążliwego i bardziéj prawidłowego — jest zasługą legistów“ (1). „Co do metafizyków, to zawdzięczamy im reformę XVI w. i ustanowienie zasady swobody sumienia, która podkopała podstawę władzy teologicznéj.“ (2).

Dzięki legistom i metafizykom, którzy „są skłonni brać formę za treść i wyrazy za rzecz“, upowszechniło się przekonanie, że systemów spolecznych może być nieograniczona mnogość.“ „W istocie jednak, niema i nie może być jak tylko dwa systemy organizacyi społecznéj rzeczywiście różne: system feudalny, czyli militarny i system przemysłowy; w dziedzinie duchowéj—system wierzeń i system demonstracyi pozytywnych. Te dwa wielkie systemy społeczne muszą koniecznie dzielić pomiędzy siebie całe życie ludzkości cywilizowanéj. W saméj rzeczy, tak dla narodu jak dla osoby pojedynczéj, są tylko dwa cele czynności, albo zdobycz, albo praca, którym odpowiadają w dziedzinie duchowéj, albo wierzenia ślepe. albo demonstryacye naukowe, t. j. oparte na obserwacyach pozytywnych“ (3) Prawdziwą przyczyną rewolucyi francuskiéj była zmiana fundamentalna systemu społecznego. „Rewolucya cywilna i moralna, która odbywała się powoli przeszło od sześciu stuleci, spowodowała i konieczną uczyniła rewolucyą polityczną“ (4).

Epoka przejściowa, w któréj odbywa się walka dwóch systemów, w któréj panuje zamieszanie w umysłach i anarchia w społeczeństwie, łączy się ze słabością odporną organizmu społecznego. Dla tego to cesarstwo rzymskie nie mogło się oprzeć najazdowi barbarzyńców. My jesteśmy w szczęśliwszych warunkach. W świecie starożytnym rozprzężenie dla tego było silniejsze, że nie rozumiano, „jak daleko postąpiła cywilizacya, a dla tego chciano zawsze rzeczy niemożliwych; słowem. nigdy nie pojmowano tego, że się znajdowano w epoce przejściowéj (5). My to zrozumieliśmy, i dla tego możemy łatwiéj uniknąć grożącéj klęski. My wiemy, jak daleko iść możemy. Wiemy, że chąc, ażeby epoka rewolucyjna ostatecznie się zamknęła, należy przyjąć *doktrynę przemysłową.*

Cóż to jest ta doktryna przemysłowa?

Wszelki zrealizowany system społeczny—podług Saint-Simona—jest zastosowaniem tylko wyrobionego już systemu filozoficznego.

---

(1) Str. 8, XXI Vol. — (2) Str. 8 i 9, XXI Vol. — (3) Str. 12 i 13, XXI Vol. (4) Str. 78, XXI Vol. — (5) Str. 26, XIX Vol.

Wymyślać systemy, chociażby najlepsze, jest ćwiczeniem umysłowém, które korzyści bezpośredniéj nie przynosi społeczeństwu. „Nie tworzy się systemu organizacyi społecznéj, lecz spostrzega się nowe pasmo idei i interesów, które się sformowało, i okazuje się je — oto cała rzecz. System społeczny jest faktem, albo jest niczém" (1). „Konstytucya trwałą jest tylko wówczas, kiedy w swych istotnych żywiołach jest wyrażeniem swojéj epoki. Siły politycznéj nie stwarza się; zapisuje się ją tylko, kiedy dosięgnie dostatecznego rozwoju cywilnego, do liczby potęg kierujących, albo też ona sama siebie wówczas wpisuje do téj liczby. Na tém polega cała rzecz. Uznanie to, czyli— jeśli chcemy—uprawnienie sił mających przewagę w społeczeństwie w każdéj z ważnych epok cywilizacyi, stanowi właściwie to, co nazywa się konstytucyą, która bez tego warunku byłaby poprostu marzeniem metafizyczném" (2).

System przemysłowy najwięcéj zawdzięcza ekonomistom. Gminy nie pojmowały zasad, które kierowały ich czynnością; nieśmiertelny Smith wykrył je. Say metodycznie je rozwinął i nadał im charakter więcéj naukowy. „Wykład ekonomii politycznéj Say'a — podług mego widzenia rzeczy (powiada Saint-Simon) — zawiera bardzo wielką liczbę uporządkowanych myśli pozytywnych. Autor ten, tak słusznie ceniony, najwięcéj się zbliżył — mojém zdaniem — do mety, chociaż w każdym razie do niéj nie dotarł" (3). Legiści burzyli stary porządek, ekonomiści budują nowy. „Wkrótce ekonomia polityczna zajmie właściwe sobie miejsce. Na początku opierała się ona na polityce; przyjdzie chwila, kiedy polityka oprze się na ekonomii politycznéj, czyli raczéj ona sama stanowić będzie całą politykę. Chwila ta niedaleka" (4).

Uważnie oceniając fakty dziejowe, widzimy, że porządek przemysłowy coraz bardziéj rozpościera się i wypycha niejako porządek feudalno-militarny. Podstawą ostatniego była wojna, zabór; podstawą pierwszego jest przemysł, czyli praca. W ostatnim panowały klasy teologiczne i militarne, w pierwszym przewodzić będzie klasa przemysłowa. Klasa ta obejmuje—podług Saint-Simona—wszystkich pracowników, tak fizycznych jak umysłowych. „Ciało przemysłowe — powiada on — składa się z dwóch wielkich rodzin: z rodziny uczonych, czyli przemysłowców teoryi, i z rodziny bezpośrednich wytwórców, czyli uczonych w dziedzinie zastosowania" (5). Najjaskrawiéj uwydatnił Saint-Simon w tak zwanéj *Paraboli*, kogo zaliczał do klasy przemysłowéj. W przeciwstawieniu do klasy feudal-

---

(1) Str. 179 i 180, XX Vol. — (2) Str. 197, XXII Vol. — (3) Str. 183, XVIII Vol, (4) Str. 186, XVIII Vol. — (5) Str. 60, XIX Vol.

néj obejmującéj rodzinę królewską, szlachtę, wojsko, duchowieństwo, biurokracyą, sądownictwo i wszystkich tych, co żyją bez pracy, umieścił on w klasie przemysłowéj: uczonych, artystów i zawodowców (*artisans*), obejmując pod tą ostatnią nazwą: rolników, fabrykantów, kupców, bankierów i wszelkiego rodzaju robotników. Tylko klasa przemysłowa jest pożyteczna, i „wzrastając nieustannie kosztem innych, stanie się wreszcie jedyną klasą“ (1).

Organizacya feudalna i organizacya przemysłowa ważne przedstawiają różnice pomiędzy sobą. Nowe klasy przewodnie nie tylko zastąpią dawne, ale stosunek ludu do nich będzie zgoła odmienny od poprzedniego. Zaufanie w naczelników teologicznych „polegało na zupełnie ślepéj uległości umysłowéj, która wymagała od każdego, aby całkowicie wyrzekł się własnego rozumu. Zaufanie w zdania uczonych wcale inny ma charakter: jestto zezwolenie na wnioski o rzeczach dostępnych sprawdzeniu, na wnioski przyjęte jednomyślnie przez ludzi, którzy nabyli i wykazali zdatność konieczną do sądzenia o tém“ (2). Stosunek naczelników przemysłu do ludu jest także wcale odmienny od tego, jaki panował pomiędzy nim i naczelnikami wojskowymi: ci ostatni rozkazywali, tamci kierują; poprzednio lud był poddanym (*sujet*), teraz staje się spólnikiem (*sociétaire*). W dawnym systemie rządzili ludzie, w nowym rządzą zasady.

„Wszelka instytucya polityczna czerpie swe siły w tych usługach, jakie oddaje większości społeczeństwa, a więc klasie najuboższéj“ (3). System feudalny trzymał się tak długo dla tego, że dla większości przynosił znaczniejsze korzyści, aniżeli poprzedni. Szlachta pełniła służbę wojskową, zawód podówczas najbardziéj niebezpieczny i męczący. Od czasu jednak wynalezienia prochu i zaprowadzenia wojska stałego, przeistoczyła się w klasę bezużyteczną i próżniaczą. Duchowieństwo, dopóki było jedynym krzewicielem oświaty, dopóty miało wielkie cywilizacyjne znaczenie; odkąd jednak zaczęło zawadzać swobodnemu rozwojowi wiedzy, pożyteczna jego rola w społeczeństwie ustała.

Z rosnącą przewagą klasy przemysłowéj wzrasta wolność i wytwórczość, które są w ścisłéj zależności od siebie. Zamiast wojny, produkcya stanie się głównym celem narodów. W przemysłowym porządku, polityka jest to nauka produkcyi (4). Wszystko więc należy kierować ku temu, aby podnieść wytwór do możliwie najwyższego stopnia. W tym celu siłę polityczną trzeba przenieść do klasy przemysłowéj. Ona powinna owładnąć izbami. Wówczas da się

---

(1) Str. 74, XIX Vol. — (2) Str. 156, XX Volum. — (3) Str. 67, XXI Vol. (4) Str. 188, XVIII Vol.

zaprowadzić należyta oszczędność grosza publicznego, i samo jego użycie będzie najstosowniejsze. Klasa przemysłowa ma niezaprzeczenie większe zdolności gospodarczo-administracyjne, niż klasy feudalne, ponieważ nieustannie je wyrabiała i rozwijała. „Dopóki kierunek sprawami publicznemi tj. sprawami przemysłowców, uczonych i artystów, których ogół składa naród, powierzać się będzie szlachcie, wojskowym, duchowieństwu, legistom i próżniaczym właścicielom, których ogół tworzy wielkie stowarzyszenie trutniów przeciwko pszczołom, dopóty zgoła niepodobném będzie układanie budżetu prawdziwie ekonomicznego“ (1).

W nowym ustroju, zamiast dawnych władz, duchowéj i doczesnéj, zorganizują się dwie nowe potęgi, także duchowa i doczesna. „Nowa potęga duchowa składać się będzie, na początku, ze wszystkich europejskich akademii umiejętności i ze wszystkich osób, zasługujących na dopuszczenie do tych ciał naukowych“ (2). Co do spraw doczesnych, to każdy naród europejski przekaże je przedsiębiorcom robót pokojowych, którzy zatrudniają największą liczbę osób. Następstwem tego, władza duchowa należeć będzie do tych, co posiadają wiadomości pożyteczne dla rodzaju ludzkiego; władza zaś doczesna do ludzi użytecznych, pracowitych i pokojowych.

Formą przejściową, od ustroju całkowicie dowolnego do ustroju prawdziwie liberalnego, najwięcéj odpowiadającą chwili bieżącéj jest monarchia reprezentacyjna. Ogranicza ona dawną zasadę, podług któréj narody uważały się za dziedzictwo panujących, a królowie za urodzonych właścicieli swoich narodów, i nie uznaje dobrych rządów za łaskę panujących, jeno za ich obowiązek.

W piśmie *Organisateur* Saint-Simon przedstawił nawet plan odpowiedniego zorganizowania izb w celu powiększenia produkcyi. Miało być ich trzy: izba wynalazcza (*chambre d'invention*), złożona z 300 członków (200 inżynierów cywilnych, 50 poetów i literatów, 25 malarzy, 15 rzeźbiarzy i 10 muzyków); izba badawcza (*chambre d'examen*), złożona także z 300 członków (100 uczonych z dziedziny nauk nieorganicznych, 100 uczonych z dziedziny nauk organicznych i 100 matematyków); wreszcie izba wykonawcza, w któréj każda gałąź przemysłu byłaby reprezentowana stosownie do swojéj ważności. Pierwsze dwie izby same miały określić sposób swego odnawiania się; trzecia miała powstawać z wyborów, lecz ponieważ deputowani, nie mieli otrzymywać dyjet, mogli to być tylko ludzie bogaci. Zadaniem pierwszéj izby byłoby obmyślać projekty; drugiéj—badać je;

(1) Str. 172, XXII Vol. — (2) Str. 115, XXII Vol.

trzeciéj wreszcie, decydować ostatecznie o ich przyjęciu i wykonaniu.

System przemysłowy najwięcéj odpowiada szczęściu powszechnemu. Jakież bowiem są środki ogólne, prowadzące do szczęścia społeczeństwa? „Nie obawiamy się utrzymywać śmiało—powiada nasz autor, i każdy człowiek rozumny łatwo znajdzie na to dowód, że niema innych jak nauki, sztuki piękne i inne sztuki zawodowe (*les arts-et-métiers*) (1), ponieważ ludzie mogą być szczęśliwi jedynie przez zaspokojenie swych potrzeb fizycznych i moralnych, co jest jedynym celem i przedmiotem więcéj, lub mniéj bezpośrednim nauk, sztuk pięknych i zawodowych. Do tych trzech kierunków i tylko do tych trzech odnoszą się wszystkie prace, prawdziwie pożyteczne dla społeczeństwa: po za ich obrębem są tylko pasożyci i panujący (*dominateurs*)" (2).

W systemie przemysłowym naturalnymi naczelnikami, lub raczéj kierownikami ludu pracującego będą wielcy przemysłowcy (pryncypałowie, czyli patronowie), kierujący wytwarzaniem (3). Będą to ludzie bogaci, pieniężni. „Pieniądz tém jest w ciele polityczném, czém krew w ciele ludzkiem" (4). „Odkąd ludzie stali się równymi wobec prawa, prawa polityczne opierają się na posiadaniu pieniędzy, czyli rzeczy, których można dostać za pieniądze" (5). Równość taka, o jakiéj marzono podczas rewolucyi, była dla Saint-Simona złudzeniem, „krwawem głupstwem," „równością turecką." Jest ona—zdaniem jego, wręcz przeciwna prawdziwéj równości, téj która jest naturalną podstawą społeczeństwa przemysłowego. Ta ostatnia stanowi najwyższy stopień równości możliwéj i pożądanéj, a zasadą jéj jest, iż „każdy otrzymuje znaczenie i zyski odpowiednie do swojéj zdolności i swego wkładu" (6). Majątek prawdziwego przemysłowca—zdaniem Saint-Simona—nigdy nie powstaje z jakiegokolwiekbądź rodzaju grabieży, ale jest owocem albo wynalazczych zdolności, albo wytrwałéj pracy i surowéj oszczędności. Majątki przemysłowców „nigdy nie bywają nabyte kosztem jednostek, albo też narodu i zawsze idą na pożytek całéj masy społeczeństwa (7)." Bankierowie stoją w oczach Saint-Simona na pierwszém miejscu w ustroju przemysłowym. Jakkolwiek w pismach naszego autora czytamy, że „pra-

---

(1) Saint-Simon zalicza do sztuk zawodowych: rolnictwo, rzemiosła, przemysł fabryczny i roboty publiczne. — (2) Str. 191 i 192, XX Vol. — (3) „Rozumiem przez naczelników rozmaitych robót wszystkich przemysłowców, którzy nie są prostymi robotnikami." Str. 218, XXII Vol. — (4) Str. 93, XIX Vol. Moyen Constitutionnel d'augmenter les richesses de la France etc. — (5) Str. 200 i 201, XIX Vol. — (6) Str. 150, XX Vol. — (7) Str. 209, XX Vol.

wo organizujące własność jest najważniejszém ze wszystkich praw"; że własność „powinna być zorganizowana w ten sposób, ażeby pobudzała właściciela do użycia jéj możliwie najbardziéj produkcyjnego"; że wbrew dawniejszemu kodeksowi cywilnemu, który usiłował utrwalić o ile można własność w posiadaniu rodzin, nowy kodeks powinien „ułatwiać sposoby zostawania właścicielami wszystkim tym, których praca jest pożyteczną dla społeczeństwa" (1); to wszakże nigdzie nie znajdujemy dokładnego określenia, jak własność miałaby być zorganizowaną. W każdym razie w nowym ustroju mieli być właściciele i proletaryusze. I właśnie Saint-Simon mniemał, że jego nauka przyczyni się do zabezpieczenia własności i postawienia zapory proletaryuszom.

A oto jak się zapatrywał na właściwą kwestyą robotniczą.

„Celem bezpośrednim mojéj pracy—powiada on—jest jak można najbardziéj polepszyć los téj klasy, która prócz pracy swych rąk, innych środków do życia nie ma" (2). Pisał to w r. 1821. Dla osiągnięcia rzeczonego celu, cóż należy zrobić? Trzeba dać ludowi naukę i pracę, tj. zaprowadzić taki porządek, który najwięcéj sprzyja rozwojowi przemysłu i wzrostowi nauki, a takim porządkiem jest industryalny, na czele którego stoją uczeni i przemysłowcy. Oddanie budżetu i administracyi w ręce przemysłowców ogromnie powiększy zakres pracy, wykonywanéj przez „ludzi z ludu." Wzrost wiedzy ułatwi jéj nabywanie, a bardziéj rozpowszechniona oświata uczyni równiejszym udział wszystkich we władzy, albowiem „dla dobra ogólnego, władza powinna być rozdzielona w stosunku do oświaty" (3).

Saint-Simon, spodziewając się, że bogaci przemysłowcy we własnym interesie popierać będą jego doktrynę, zwracał się przeważnie ku nim. *Du Système Industriel* zawiera albo listy do deputowanych, którzy byli przemysłowcami, albo zdania naczelników przemysłu. Do robotników—ile wiem—zwracał się bezpośrednio tylko dwa razy: w najpierwszéj swojéj pracy, *Lettres d'un habitant de Genève à ses contemporains*, i po 18 latach w broszurce, *A Messieurs les ouvriers* (w listopadzie 1821 r.), w któréj radził robotnikom nie łączyć się z innemi stronnictwami politycznemi, lecz zalecał utworzyć własne stronnictwo wytwórców, stronnictwo, które samo tylko -zdaniem jego, miałoby przyszłość przed sobą. Do téj broszurki dołączył śpiew pracy, napisany—na jego prośbę, przez słynnego autora Marsylianki, Rouget'a de l'Isle.

---

(1) Str. 178, XXI Vol. — (2) Str. 81, XXII Vol. — (3) Str. 41, XV Vol. Lettres d'un habitant de Genève etc.

Biorąc wszystko pod uwagę, co powyżéj powiedziałem,— Saint-Simon przedstawia się nam jako industryalista, nie zaś socyalista.

Dla czego jednak, pomimo że sam Saint-Simon nieustannie mówił o industryalizmie, a wyrazu: *socyalizm* nie używał nawet, zaliczano go i zaliczają do rzędu socyalistów? Czy jest to tylko błąd, czy też tkwi może w tém głębsza przyczyna? Niezawodnie, do postawienia Saint-Simona na czele socyalistów przyczyniła się wiele ta okoliczność, że uczniowie jego poszli w kierunku socyalistycznym i rozwinęli całą doktrynę socyalną, znaną pod nazwą Saint-Simonizmu. Lecz dla czego właśnie ci, co nosili już w swych piersiach aspiracye socyalistyczne, przylgnęli do nauki Saint-Simona i z założeń jego budowali nową doktrynę, która coraz bardziéj zbliżała się do tego, co my dzisiaj nazywamy socyalizmem? Dla tego samego powodu, dla którego socyalizm jest bezpośrednim wynikiem industryalizmu. A właśnie Saint-Simon logicznie rozwinął system industryalny—rzec można—do jego krańcowości. Przytém uczuciem, które, u niego miało ważne teoretyczne znaczenie, uzupełniał niejako te wady, które logika dziejowa wytknęła następnie systemowi industryalnemu. W pierwszéj już jego pracy Bóg zapowiada: „wszyscy ludzie pracować będą; wszyscy uważać się będą za robotników w warsztacie, w którym odbywająca się praca ma na celu zbliżenie umysłowości ludzkiéj do mojéj boskiéj przezorności“ (1). W r. 1821 w obszernym liście do króla Saint-Simon powiada: „Główna zasada, ustanowiona przez boskiego twórcę chrześcianizmu nakazuje, ażeby wszyscy ludzie uważali się za braci i—o ile można—najwięcéj współdziałali dla dobrobytu swego. Zasada ta jest najpowszechniejszą ze wszystkich zasad społecznych. Zawiera ona w swych następstwach nie tylko całą moralność, lecz także całą politykę. Jest ona prawdziwie budującą zasadą“ (2).

Z drugiego jeszcze względu Saint-Simon może się uważać za rozpoczynającego kierunek socyalistyczny. Do jego czasu—rzec można—przywiązywano bardzo wielkie znaczenie do formy rządu; mówiąc dzisiejszym językiem, dawano przewagę stronie politycznéj nad społeczną. Dla Saint-Simona forma rządu była dość obojętną, i wielokrotnie powtarzał, że nie zmiana formy rządu, lecz zmiana stanowiska rozmaitych czynników w ustroju społecznym, stanowi prawdziwy postęp ludzkości. Dzisiaj przychodzimy do przekonania, że strona polityczna i społeczna są ściśle z sobą połączone, i że rozwój, tak polityczny jak społeczny, zdąża ku jednemu celowi: równości

---

(1) Str. 55, XV Vol. — (2) Str. 229, XXII Vol.

praw i powinności obywatelskich. Tego Saint-Simon nie dostrzegł jeszcze: nie widział on tego, że ta *równość*, którą tak lekceważył, była chorągwią coraz bardziéj wzbierającego w dziejach prądu demokratycznego. Z tego téż powodu nie ocenił należycie dwóch zagadnień; które coraz szerszem kołem umysły ogarniać poczęły: równouprawnienia kobiet z mężczyznami i równouprawnienia narodów. Co do pierwszego, to w swojem genewskiem dziełku potrącił raz je kilkoma wyrazami, dopuszczając kobiety do udziału czynnego w organizacyi społecznéj. Drugiego zagadnienia nie zrozumiał. Zdawało mu się, że podnoszenie kwestyi narodowości sprzyja tylko interesom militarnym, a nie widział tego, że jest to w gruncie kwestya *równouprawnienia narodów*. Uczucie i w tym wypadku wprowadzało go na dobrą drogę. Komentując w r. 1821 przemowę królewską. potępił dwuznaczne zachowanie się ajentów dyplomatycznych francuskich w sprawie rewolucyi neapolitańskiéj i stanowczo wyrzekł: „Nie, naród francuski nie może być neutralnym pomiędzy żołnierzami cesarza austryackiego i narodem neapolitańskim“ (1).

Od r. 1821 spostrzegamy w umyśle Saint-Simona widoczny zwrot ku interesom ludowym. Od tego roku wyraz: *społeczny* (social) coraz częściéj zastępuje u niego wyraz: *industriel*. Zajmuje się więcéj losem proletaryuszów i dowodzi, że są oni już zdolni do administrowania własnością, a więc dotychczasowa opieka nad nimi powinna ustać, i prawo powinno uznać w nich spólników właścicieli.

Zwrot socyalny u St.-Simona szedł—można powiedziéć—równorzędnie ze zwrotem religijnym. Siła moralna chrześcianizmu podniecała potężnie w naszym reformatorze uczucia braterstwa. *Nouveau Christianisme* objawia pełno pragnień socyalistycznych.

W rozwoju myśli Saint-Simona widzimy jakby koło, w którém ogniwa ostatnie stają się coraz podobniejsze do pierwszego. Myśli jego w ostatnich pracach żywo przypominają te, które wypowiadał na początku. Ta mistyczność, która objawiła się była w *Lettres d'un habitant de Genève*, znowu pojawia się po długim peryodzie—że się tak wyrażę—trzeźwości umysłowéj.

W pierwszéj już swojéj pracy, wytykając Condorcet'owi popełnione błędy, Saint Simon wypowiedział, jak pojmował religią. „Religie—mniemał—nigdy nie były i nie mogły być czém innem, jeno zmateryalizowanemi systemami filozoficznemi. A więc powiedzieć, że religie w swéj treści są błędne, jest to oświadczyć, że systemy filozoficzne w swéj treści są błędne, albo też że pospólstwo jest w możno-

---

(1) Str. 154, XXII Vol.

ści pojmować myśli najbardziéj oderwane. Prawdą jest, że religie jak i wszystkie instytucye mają swe dzieciństwo, swą epokę największéj siły i epokę upadku, i że podczas upadku przynoszą szkodę, tak samo jak w czasie dzieciństwa nie wystarczają“ (1). Chrześciańska religia była wyższą od wszystkich poprzednich systemów religijnych. Katolicyzm średniowieczny—to chrześciaństwo w pełni swéj siły. Luter, jako burzyciel systemu, który przeżył już swój wiek, doniosłe miał znaczenie dziejowe; ale ustanowiona przezeń religia nie odnowiła chrześciaństwa, przeciwnie cofnęła je wstecz. Odnowić chrześcianizm, znaczy odbudować go z nowoczesną wiedzą i filozofią. Takim miał być nowy chrześcianizm Saint-Simona.

Nouveau Christianisme jest tylko ułamkiem tego dzieła, które Saint Simon zamierzał napisać. Zawiera on przeważnie krytykę katolicyzmu i luteranizmu; dogmatyczna jego część jest bardzo mała. Na początku wypowiada autor wiarę swą w Boga i w boskość wiary chrześciańskiéj. Boskość jéj polega na zasadzie, która uczy, że *ludzie powinni postępować z sobą jak bracia.* „Podług téj zasady, którą Bóg dał ludziom jako prawidło postępowania, powinni oni zorganizować społeczeństwo w jak najkorzystniejszy sposób dla największéj liczby jednostek; powinni we wszystkich swych pracach, we wszystkich swych działaniach, wytknąć sobie za cel, jak najprędsze i o ile można—najzupełniejsze polepszenie bytu moralnego i fizycznego klasy najliczniejszéj. Powiedziałem, że na tém i jedynie na tém polega boska część religii chrześciańskiéj“ (2). Naród żydowski, który otrzymał pierwsze objawienie, „czuł zawsze, że nauka chrześciańska, ułożona przez Ojców Kościoła, była niezupełna, i zawsze głosił, że nadejdzie wielka epoka, którą nazwał mesyaniczną, epoka, w któréj doktryna religijna będzie przedstawiona z całém uogólnieniem, do jakiego jest zdolna,“ i „że wówczas cały rodzaj ludzki będzie miał jednę tylko religią i tę samę organizacyą“ (3).

Saint-Simon nie dostrzegł, że ta zasada, która—zdaniem jego—jedynie stanowi o boskości religii chrześciańskiéj, zasada wymagająca, ażeby ludzie zachowywali się w stosunkach wzajemnych jako bracia, jest zasadą równości. Bracia, w moralném znaczeniu tego wyrazu, muszą mieć poczucie wzajemnéj równości. Wreszcie metoda pozytywna i ogólny pogląd na dzieje powinny były wskazać autorowi, że *zasada demokratyczna równości* należy do tych wielkich haseł, które dzieje powszechne coraz bardziéj realizują, że zasa-

(1) Str. 115 i 116, XV Vol. — (2) Str. 109, XXIII Vol. Nouveau Christianisme.— (3) Str. 114, XXIII Vol.

da ta coraz szersze ogarnia koła i coraz liczniejszych zdobywa zwolenników.

Saint-Simon, jako wyznawca miłości i pokoju pomiędzy wszystkimi ludźmi, był przeciwnikiem gwałtownych środków. Jedynie godną bronią człowieka w mniemaniu jego są: przekonywanie i demonstracya. Zresztą był on tego zdania, że zapał do dobra publicznego zawsze przynosił więcéj pożytku, aniżeli egoizm rozniecony w klasach, mogących najwięcéj skorzystać z nowego porządku.

B. L.





POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA WE FRANCYI.

II. SZKOŁA BRACI DE GONCOURT.

„Dzieło sztuki jest to kąt natury dostrzeżony przez temperament artysty“ (Zola).

„Wszystko, co się robi, może się powiedziéć“ (de Goncourt).

„Każda powieść prawdziwa musi być trucizną dla czytelników delikatnych“ (Zola).

„Nowa forma powieściowa jest rezultatem nauki zastosowanéj do literatury.“

Z takich pojęć wyszła, na takich aksyomatach oparła swoję odrębną doktrynę artystyczną ta szkoła, któréj bracia de Goncourt pozostaną w historyi rzeczywistymi założycielami i mistrzami, choć za ich życia jeszcze podobało się wypiastowanym przez nich samych uczniom uznać w Zoli swojego przywódcę i reprezentanta przed światem. Starałem się już na wstępie niniejszéj pracy, scharakteryzować osobny kierunek wytworzony tym sposobem w wielkim realistycznym prądzie, uchwycić i zgłębić jego istotę, określić i ocenić teoretyczną wartość. Chodzi teraz o pokazanie teoryi w praktycznem zastosowaniu, w dziełach, w których się ona wcieliła. Zadanie to niebezpieczeństw pełne. Jest coś z Diogenesowéj szkoły w szkole braci Goncourt, i panowie ci rzucają chętnie wyzwanie przyzwoitości, choć nie piszą po łacinie. Nie podobna jednak abym się cofnął. Nie mamy tu bowiem do czynienia z przygodnemi jakowemiś wybrykami swawolnego natchnienia, na które godziłoby się spuścić wstydliwą zasłonę, albo przejść mimo odwracając pogardliwie oczy. Cały to świat artystycznéj twórczości stoi przed nami, z którym rachować się bądź-co-bądź trzeba, wobec którego negacya byłaby śmiesznością. Czy można negować Zolę i jego olbrzymi talent?

A Zola należy do tego świata jedną przynajmniéj połową swojéj dotychczasowéj produkcyi. I sam Daudet, autor „Sapho“, stoi od wczoraj jeżeli nie absolutnie jeszcze w jego obrębie, to na granicy. Z całém bogactwem oryginalnych motywów, które wprowadzić do niéj potrafił indywidualny temperament i artyzm twórcy tylu arcydzieł, „Sapho“, jest niezaprzeczoném wcieleniem formuły naturalistycznéj.

A i p. Guy de Maupassant nie jest już od wczoraj jednym z tych, których negować albo ignorować wolno. Takie powieści jak „Une vie“, jak „Bel-Ami“ mogą podlegać krytyce, ale mają prawo do krytyki. To nie *pornografia*, to sztuka *sui generis*, ale sztuka poważna i czasami nawet posępna. Ci panowie nie mają bynajmniéj na głównym względzie zabawy czytelnika. Nie piszą dla krotochwili. Przeciwnie! Rys to charakterystyczny właśnie, odróżniający nową szkołę od antecesorów, których doszukano się jéj w XVI, XVII i XIX nawet wieku. Są zapewne u Maupassant'a i u samego Zoli ustępy przypominające Rabelezyusza, Saint Amand'a, Scarron'a i samego Pawła Kocka. Ale kiedy Scarron, „ta małpa przebrana za człowieka“, sprowadza Wirgiliuszowych bohaterów do pojętéj przez się realistycznéj miary, kiedy Saint-Amand opiewa, z doborem iście naturalistycznych terminów, rozkosze obżarstwa (*la crevaille*, *les goinfres* i t. d.), jeden i drugi baraszkują; sztuka ich jest wesołą. Dziś Zola pisze: „sztuka jest poważną, sztuka jest smutną“, tak samo jak w swoim wstępie do „Kapłana z Nemi“ Renan odzywa się: „kto wié, czy prawda nie jest smutną“? Kierunek naturalistyczny wiąże się tym sposobem z zaznaczoną już w poprzednim rozdziale pesymistyczną tendencyą epoki.

Tak, ci panowie poważnymi są zawsze a często smutnymi. Niemasz nawet u żadnego z nich — mówię o tych, którym przysługuje miano artystów—stałego, systematycznego przywiązania do tyle wyrzucanych im sprośnych motywów. Co najwięcéj, i to w początkowych utworach, niejakie upodobanie w doborze trywialnych zwrotów i gminnych wyrażeń. Sprośność jest w nich częstem wprawdzie, bo w drodze naturalnego następstwa, z założenia, z formuły: „wszystko co się robi, może się powiedzieć“ wynikającém zjawiskiem, ale nie *rzeczą założenia*. Sprośnymi są oni nie dla tego że tak chcą, ale dla tego, że tak *chce* ich teorya, ich ideał artystyczny, ich doktryna. Na przekór zresztą téj teoryi, temu ideałowi i téj doktrynie, formuła dopiero co powtórzona nie doczekała się dotąd u żadnego z nich tego absolutnego zastosowania, jakiego wymagać się zdaje jéj sens absolutny. W gruncie rzeczy z musu i potrzeby trzyma się ta, nietylko klasycyzm ale i sam romantyzm równą pogardą obejmująca

szkoła klasycznéj definicyi Champfleury'ego: „sztuka jest wyborem." Tylko okazuje się mniéj wybredną w wyborze.

I dla tego widzę potrzebę zastrzeżenia na wstępie niezbędnéj mi w tym przypadku swobody słowa przeciw wszelkim, przypuszczalnym, a poszanowania skądinąd godnym drażliwościom i wstrętom. Autorowie, których wybieram się przedstawić czytelnikowi, ci przynajmniéj z grupującego się pod sztandarem naturalistycznym grona, których uważam za godnych tego zaszczytu, są artystami w całém znaczeniu słowa. ludźmi, którzy—podług orzeczenia jednego z nich (pana Huysmans, w przedmowie do powieści p. t. „Marthe, Histoire d'une fille") — „wyrażają, jak mogą najlepiéj to, co widzą, to — co czują i to — co przeżywają", którzy piszą podług swego artystycznego instynktu, natchnienia i sumienia — ale nie piszą dla panienek. Przynajmniéj godzi się życzyć, aby panienki nie zaglądały nigdy do ich książek. Ale téż i ja sam, pisząc o tych książkach, oglądać się nie mogę na tę, miłą mi skądinąd kategoryą czytelniczek. Panienki zechcą tym razem pójść na spacer—aż do następnego rozdziału.

Wskazałem już poprzednio jako ostateczny wyraz wytworzonego przez braci Goncourt kierunku powieść jednego z nich, dotąd żyjącego Edmunda, p. t. „Chérie." Może jednak daléj jeszcze posunął się i krańcową wspólnéj drogi metę wytknął jeden z początkujących adeptów szkoły, p. Céard w powieści p. t. „Une belle journée" (1882). Z tego więc względu—z tego względu tylko—zasługuje powieść ta na wzmiankę. Skoro dla stworzenia dzieła sztuki, dla napisania powieści, dość jest wziąć jakikolwiek przedmiot z natury, poddać go obserwacyi, zastosować doń *metodę eksperymentalną*, przepuścić rezultat przez *osobisty temperament artystyczny* i nie troszczyć się o resztę, ani o fabułę powieściową, bo ta jest zbędną. ani o epizody i perypetye, bo te zawadzają raczéj, ani o styl nawet, bo ten uchodzić powinien za zbytkowny ornament, skoro tak się rzeczy mają i tak chce nowa szkoła, tedy, powiedział sobie p. Céard, nie mam potrzeby suszyć sobie głowy ani wysilać mojéj pomysłowości. Przypuszczam, że p. „Trudon" mój sąsiad z przeciwka. komisant od win i pani „Duhamain", moja sąsiadka z piątego piętra, żona architekta, spotkawszy się na balu publicznym, *au salon des Familles*. dali sobie *rendez-vous* na niedzielę następną. Przypuszczenie pełne prawdopodobieństwa, zważywszy, iż pani „Duhamain" jest młodą i przystojną, p. „Duhamain" starszym o lat dwadzieścia i nudnym, a p. „Trudon" pełnym galanteryi i przedsiebierczym. Cóż daléj? Pani „Duhamain" i p. „Trudon" schodzą się na moście Bercy, jedzą

razem śniadanie w sąsiedniéj restauracyi i — i nic. P. „Trudon“ chciałby czegoś więcéj, ale pani „Duhamain“ nie chce, przynajmniéj tym razem. Więc p. „Trudon“ odwozi panią „Duhamain“ do stacyi kolei żelaznéj w Charenton, gdzie mieszka jéj przyjaciółka, pani „Lamblin“ i na tém koniec. Wszystko to jest bardzo prawdopodobném, ale czy jest w tém wszystkiém materyał do powieści? Czemu nie? Juści przedmiot to z natury wzięty. Ale czy można, za pomocą tego przedmiotu, wypełnić tom o 350 stronach? — Można, jak dowodzi zwycięsko Céard swoją powieścią. Jeżeli się zacznie od szczegółowego opisania stroju przywdzianego przez panią „Duhamain“ w chwili, w któréj dąży na spotkanie pana „Trudon“, jeżeli opisze się następnie z równą dokładnością strój samego pana „Trudon“, jeżeli nie zaniedba się skreślić fizyonomii ulic, przez które oboje przechodzą, w drodze do miejsca spotkania i policzyć przechodniów, powozów, fiakrów, wozów z wiktuałami, napotkanych obustronnie w téj drodze, owóż i z jakie trzydzieści kartek, a powieść dopiero zaczęta. Pani „Duhamain“ i p. „Trudon“ wchodzą następnie do restauracyi. Jak wygląda ta restauracya? Dziesięć kartek. Otwierają im osobny gabinet. Jak wygląda ten gabinet? Kartek pięć. Garson przychodzi po obstalunek śniadania. Jak wygląda ten garson? Dwie kartki. Śniadanie podane. Jakie śniadanie? Znowu dwie kartki. Pani „Duhamain“ i p. „Trudon“ zabierają się do jedzenia, ale nie jedzą oczywiście w ten sam sposób. Jak tedy je pani „Duhamain“, a jak je pan „Trudon?“ Dziesięć kartek. Po śniadaniu pani „Duhamain“ i p. „Trudon“, czekając na zamówioną dorożkę, czytają dzienniki. Każden dziennik ma swoję odrębną fizyonomią. Inaczéj wygląda „Figaro“, inaczéj „Charivari“, a jeszcze inaczéj „République Française.“ W „Figarze“ anonse umieszczają się podług pewnego porządku, a w „République Française“ podług porządku innego. Czterdzieści kartek.....

Nie przesadzam i nie żartuję. Opis dzienników zaczyna się na stronie 22 a kończy się na stronie 268. Prawda, że sam „Indeks kolei żelaznych“, z wyszczególnieniem rozmaitych linii ich krzyżowań i powikłań, zajmuje coś trzy kartki. Czy zaś Céard natomiast żartuje sobie z nas? Bynajmniéj. Céard jest pełnym powagi, namaszczenia, a miejscami nawet pełnym melancholii, jak przystało na prawdziwego naturalistę. I nie pisze też w ten sposób dla nikczemnego zysku, dla przysporzenia *liczby wierszy*; czuć w nim artystę rozmiłowanego w swojém dziele i w swoim ideale. Nie widać w nim wreszcie zupełnego głupca. Obserwuje on nader bystro i oddaje wyraziście rezultaty swéj obserwacyi. Moralizuje także i filozofuje nie bez trafności a nawet głębokości pewnéj. Pani „Duhamain“, ta mieszczka, która znudzona trywialnością małżeńskiego pożycia, szuka cze-

gość nowego w spotkanym na balu i wypoetyzowanym przez się tancerzu, a zbliżywszy się do téj poetycznéj nowości, spostrzega że to *to samo*, tylko ze wstydem i zbrodnią cudzołóstwa w dodatku, i. wróciwszy tedy z zakończonéj takim rozczarowaniem wycieczki, zasypia uspokojona przy mężowskim boku, pani „Duhamain“ jest typem pełnym rzetelnéj prawdy i moralnego znaczenia. Prawdziwą, moralną, filozoficzną i rozumną jest cała powieść Céard'a—tylko jest okropnie nudną.

Dlaczego?

Pytanie domagające się odpowiedzi, boć Céard zrobił co mógł z obranym przez się przedmiotem i wywiązał się sumiennie z zadania i zastosował przyjętą przez się metodę, jak należy. — Więc dlatego chyba, że wprawdzie skreślony na kilku kartkach obraz wrażeń i uczuć, przez które przechodzi pani „Duhamain“ w obmyślanéj dla niéj sytuacyi, mógł nas zająć, ale obrazu tego nie starczyło dla wypełnienia całego tomu, to zaś, czém autor dopomógł sobie w tym względzie, to bogactwo szczegółowych opisów (nie wyłączając trywialnych, jak np. wzmianka o niespokojności objawionéj przez panią „Duhamain“ po śniadaniu, o słowach wymienionych półgłosem z kontuarową damą i o zniknięciu chwilowém w ciemnym kurytarzu— Céard nie byłby inaczéj uczniem swojéj szkoły), ta mnogość akcesoryów, do któréj się uciekł, mogła tylko przyprawić nas o ckliwość rozpaczliwą. Dlatego że snać wartość artystyczna wszystkich przedmiotów, jakkolwiek z natury wyjętych. nie jest jednakową i „sztuka jest wyborem“, jak chce Champfleury, i powieść nie obchodzi się bez fabuły, epizodów i perypetyi, a jeżeli się obchodzi, to zdarza się jéj, że jest bez zarzutu pod względem obserwacyi naukowéj i metody eksperymentalnéj,—ale nudzi.

Po odczytaniu ostatniéj swojéj powieści p. t. „Chérie“ znalazł w niéj Edmund Goncourt nadto jeszcze tych zbędnych we własném pojęciu przypraw. Podobno i tu czytelnicy nie podzielili jego zdania. „Chérie“ jest monografią młodéj paryżanki, panienki paryskiéj z wielkiego świata. Poprzednio, w „Renée Mauperin,“ obaj bracia przedstawili nam już typ panieński, uchwycony w łonie stołecznéj burżuazyi. Tym razem przenosi nas Edmund Goncourt w wyższą sferę. Wyższa ta sfera nie sięga wszelako po za urzędowy świat epoki cesarskiéj. Przyczém autor przyznaje, iż wolałby był może poszukać swojego modelu pośród przedmieścia St. Germain. Ale snać brakło mu do tego pożądanéj zręczności, niezbędnych „dokumentów ludzkich.“ Dowód to jego sumienności. Jakoż sumiennym on jest i dokładnym i wyczerpującym po nad wyraz wszelki. Tylko znowu okropnie nudnym.

Monografia zaczyna się nie od urodzenia wprawdzie panny „Haudancourt“, córki marszałka-ministra wojny, ale prawie — od obiadu ceremonialnego, ofiarowanego przez dziewięcioletnią „Chérie“ swoim rówieśniczkom z cesarskiego *high-life*'u. Obrazek, do którego ten epizod dostarcza autorowi dość zajmujących rysów i żywych barw, grzeszy jedną tylko wadą — rozmiarami obejmującemi ośm kartek. Daléj na przestrzeni pięćdziesięciu kilku kartek przebywamy epokę, w któréj „Chérie“ pozbywa się „bezpłciowéj sylwetki i mimiki nie pozwalającéj odróżnić chłopca od dziewczyny“, a przybiera pozór „miniatury niewieściéj“, z „wiotką szyją, wąskiemi ramionami, płaskim gorsem, nóżkami bez łydek i t. d....“ Daléj jeszcze, na 82 kartce, dochodzimy do pierwszego objawu niewieściéj natury. Panna „Chérie“ ma lat dwanaście i uczuwa *une passionnette*, zakochuje się w młodym i przystojnym oficerze ordynansowym swojego ojca. Na 89 kartce panna „Chérie“ zaczyna uczęszczać do wykwintnego naukowego zakładu pana „Cochemer.“ Na setnéj kartce panna „Chérie“ choruje: przebywa szkarlatynę. Na 109 kartce panna „Chérie“ przystępuje do 1-éj komunii. Przyczém autor zwraca uwagę czytelnika na jeden niedostatecznie jakoby dotąd zauważony szczegół, ten mianowicie, iż „pierwsza komunia jest pierwszą miłością kobiety obudzonéj do życia.“ W ciągu dwudziestu następnych kartek przytomnymi jesteśmy stopniowemu osłabnięciu uczuć religijnych panny „Chérie“, w zetknięciu z wirem uciech światowych. Jedno nabożeństwo do Matki Boskiéj ostaje się w jéj sercu śród tego duchowego rozbicia. Na 134 kartce patrzymy na nową metamorfozę: panna „Chérie“ ma lat czternaście i do jéj pół-dziecinnego, półniewieściego wdzięku „przyczepia się od kilku miesięcy coś niezgrabnego i ciężkiego, coś z chłopca „i jego męskich, brzydkich ruchów.“ Jeszcze trzy kartki, a trafiamy pod XXXIX rozdziałem na sen panny „Chérie“.

„Sen niespokojny, w którym, pośród przejmujących dreszczem widzeń, dokonywa się głuchy ale drażniący proces, wytwarzający kobietę w panience, odwrócenie najczystszego soku jéj żył dla macierzyńskiej funkcyi, ciepłe ocknienie się wegetującego organizmu: to przez kilka miesięcy sen niedojrzałych dziewic, aż do téj gorączkowéj nocy, pośród któréj budzą się one wśród przestrachu i grozy téj krwi nieprzewidzianéj....“

Panna „Chérie“ jest teraz skończoną kobietą, i, opisawszy ze wskazaną drobiazgowością pojedyńcze fazy wytwórczego procesu, który ją doprowadził do tego rozkwitu, autor pokazuje nam z kolei odwrotny, rozkładowy proces, którego pojedyńczemi fazami są rozbałamucenie, *flirtacya*, zdenerwowanie, histerya, — ostatecznym zaś

wypadkiem śmierć przedwczesna. Bo panna „Chérie“ umiera, nie doczekawszy się męża, którego w pierwszych fazach swego zawodu odrzuca z pogardą, a za którym w ostatniéj fazie goni z namiętném pragnieniem. Bo panna „Chérie“ jest może typem, ale typem *wyjątkowym*, przykładem trafiającego się ale osobliwego umysłowego i fizyologicznego rozstroju, wywołanego nadmiarem wrażeń i wynikającą z tego nadmiaru hyparestezyą uczuć i zmysłów. Jakoż samemu Edmundowi Goncourt wiadomo zapewne o panienkach, które nawet do najwykwintniejszego high-life'u należąc, dożyły późniejszego wieku, wyszły za mąż i potrafiły być przykładnemi żonami i matkami. Panna „Chérie“ jest chorobliwém zjawiskiem; i tym sposobem naukowa, eksperymentalna wycieczka Goncourt'a w dziedzinę psychologii i fizyologii doprowadziła go tu, tak samo jak gdzieindziéj, w „Chérie“ tak samo jak w „Germinie Lacerteux“ i w „Pani Gervaisais“—do patologii. Nie pozwoliła mu zaś ona i tym razem ominąć drugiego fatalnego kresu tego rodzaju wycieczek. Przebywszy osobliwego rodzaju gorączkę, którą w pewnych wyjątkowo wrażliwych organizmach wywołuje jakoby zapach siana (*fièvre des foins*), doświadczywszy powszedniejszego zboczenia zmysłów, które skłania niektóre panienki do karmienia się wstrętnemi surowiznami, połykania węgla lub kredy, itd. itd. panna „Chérie“ umiera z histeryi na 355 kartce powieści, i czytelnik także—z nudów.

W dniu w którym Daudet spróbuje zastosować z większą sumiennością i bezwzględnością niż w „Sapho“ tę samę formułę, w dniu w którym odważy się odosobnić, za przykładem braci Goncourt, upatrzony przez się przedmiot obserwacyi i analizy, usunąć na bok epizody humorystyczne, urozmaicające suchy protokół pseudo-naukowych spostrzeżeń i eksperymentów, pozbyć się towarzyszącéj dotychczasowym jego kreacyom barwnéj galeryi dodatkowych figur, w dniu tym czeka go ten sam los nieunikniony. Zola spróbował już kilkakrotnie, w „*La Joie de vivre*“ np., i mimo całéj potęgi jego talentu, rezultat fatalny nie chybił.

Jak atoli miałem już sposobność uprzedzić o tém czytelnika, ani Zola ani Daudet, ani sami nawet Goncourt'owie nie należą do programu niniejszych studyów. Wziąłem przed się wprawdzie uwydatnić w nich całość spółczesnego powieściowego ruchu, ale z osobliwem uwzględnieniem pisarzy mniéj znanych, choć niekoniecznie drugorzędnych. Jeżeli zatrzymałem się przez chwilę nad ostatnim utworem ostatniego z Goncourt'ów, to jedynie dla spoufalenia się bliższego z tym osobnym światem pojęć i ideałów artystycznych, w którym zabłąkać się łatwo bez nici przewodniéj. Bracia Goncourt są tu najdoskonalszymi przewodnikami. Jednemu z ich uczniów, Céard'owi,

oddałem już co mu się należało. Przechodzę do innych, którzy o lepszy dopominają się traktament.

1. Guy de Maupassant.

Ten nie należy do zupełnie nieznanych—nawet nad Wisłą. Kiedy latem zeszłego roku przybyłem do Warszawy, niebieska okładka z napisem „Bel Ami.“ którą miesiącem pierwéj zaledwo zobaczyłem tu w Paryżu na mojém biurku, powitała mnie z poza okien pierwszéj napotkanéj księgarni. Dziesięcioma krokami daléj natrafiłem jeszcze na nią. Zobaczyłem ją u Orgelbranda i u Gebethnera, u Noskowskiego i u Senewalda; prześladowała mnie jéj jaskrawa barwa przez ciąg mojego pobytu w syrenim grodzie—i drażniła mnie, do dam mimochodem, nasuwając melancholiczne refleksye. Komu z nas, czcicieli poważniejszéj rzeczy, chociażby najgenialniejszemu i największą uwieńczonemu sławą, wolno marzyć o tak szczęśliwéj okładce!

Nie przeto sądzę, abym nie miał już nic do powiedzenia o autorze tyle spopularyzowanéj pośród polskich czytelników powieści, coby nie było im wiadomém. „Bel Ami“ jest ostatnim w pokaźnym już szeregu utworów, o których wątpię, aby były równie pospolitemi na półkach księgarni warszawskich; jest wyrazem także maniery, o któréj nie umiem powiedziéć, czy będzie ostatnią manierą szczęśliwego autora, ale która z pewnością nie jest pierwszą jego manierą. Maupassant wyrabia się także, albo przynajmniéj wyrabiał się dotąd.

W każdym razie niezaprzeczona poczytność, któréj doczekał się od wczoraj przynajmniéj u publiczności polskiéj, dostarcza mi otuchy wobec owych przewidzianych na wstępie drażliwości i wstrętów, przed któremi kapitulować mi nie wolno, choć liczyć się z niemi nie zaniedbam i teraz.

Pióro, z pod którego wyszła książka w niebieskiéj okładce, jest tém samém, które napisało „Boule de suif“ i „Une vie“, a te trzy utwory: „Boule de suif“—„Une Vie“—„Bel-Ami“, to punkta wytyczne trzech stacyi na długiéj, bardzo długiéj, choć w ciągu kilku lat przebieżonéj drodze „Boule de suif,“ ta nowella drukowana przed ośmiu laty w zbiorze p. t. „Les Soirées de Medan,“ obok innych próbek tego samego stylu, podpisanych przez pp. Zola, Hüysmans, Hennique, itd. to coś nakształt szkolnego ćwiczenia—nie obiecującego nagrody uczniowi. Uczeń pokazał piękne zdolności, ale nie przykładał się oczywiście w klasie; słuchał z roztargnieniem zadania i nie zrozumiał dokładnie, o co chodzi. Przejął, jak się zdaje, z udzielonych sobie wskazówek i napomnień jedynie skłonność do trywialno-

ści w wyborze przedmiotu, rubaszności w jego traktowania i grubijaństwa a ekscentryczności w doborze wysłowień. Zresztą puścił wodze swemu natchnieniu i fantazyi, a to natchnienie i ta fantazya poniosły go prostą drogą w ślady Pawła Kock'a. Ze swojemi tłustemi wdziękami, kawiarnianym żargonem w gębie a ukrytemi skarbami sentymentalności w sercu, „Boule de Suif," pospolita, lekkomyślna i trywialna ale poczciwa „kokotka", „Boule de Suif," która nie chce oddawać się zajęciom rzemiosła w sąsiedztwie Prusaków, która odrzuca z gniewem propozycye oficera niemieckiego, ale poświęca się ostatecznie, dla oszczędzania przykrości towarzyszom podróży, „Boule de Suif" jest typem pochwyconym z natury, ale napotkanym w bliskiem sąsiedztwie „Dziewicy Belwilskiéj." Autor zapomniał całkowicie o tém, że „sztuka jest poważną i smutną." Pofolgował natomiast przyrodzonéj wenie swojego temperamentu i talentu; pokazał się tém, czém go natura stworzyła a czém nie stworzyła ani żadnego z braci Goncourt, ani Zolę, ani Hüysmans'a, tém czém zapomniał następnie być, przez pewien przeciąg czasu i przez pewien peryod artystycznéj twórczości, aż przypomniał sobie napowrót w „Bel-Ami"—humorystą.

Guy de Maupassant jest humorystą i to wydziela mu osobne miejsce między szkolnemi towarzyszami. Tylko w „Boule de Suif" humor ten nie miał czasu wykształcić się i wyrafinować; pozostaje humorem podlejszego gatunku.

Minęło sześć lat, w ciągu których imię nie dość pilnego ucznia nie doczekało się szerszego rozgłosu i w ciągu których także opamiętał się on widocznie, otworzył baczniejsze ucho słowom mistrza, wniknął głębiéj w treść jego wykładu, przysiedział fałdów—i oto odnajdujemy go w nowéj i prawdziwą, rzec można, niespodziankę stanowiącéj manifestacyi przekształconego talentu. „Une Vie" to już konkursowe dzieło, powieść *podług formuły.* Uczeń zrozumiał, o co chodzi. Może nawet prześcignął swych profesorów w intuicyi własnéj ich teoryi i metody. Z wszelką zaś pewnością zostawił ich daleko za sobą w artystycznéj doskonałości wykonania. „Une vie" jest monografią *à la Goncourt*, monografią kobiety całkiem pospolitéj pod każdym względem i całkiem pospolite wiodącéj życie—przynajmniéj przez połowę swéj ziemskiéj pielgrzymki i przez połowę książki. Bo autor, wziąwszy swój model za rękę na progu życia odprowadza go aż do drugiego progu. Przy końcu monotonność opowiadania urozmaica się romantycznemi i dramatycznemi nawet epizodami. Nawet obmyśla autor dla niewiernego małżonka swéj bohaterki całkiem oryginalny rodzaj śmierci, który oczywiście nie należy już do pospolitéj powszedniości. Wykroczenie to jawne przeciw szkolne-

mu programowi. Ale sam Edmund Goncourt nie potrafił, jak widzieliśmy, osięgnąć zupełnéj doskonałości w tym względzie. Jednemu panu Céard'owi podobno powiodło się to dotąd.

„Joanna," córka barona i baronowéj „Le Perthuis des Vauds," przybywa z pensyi do swoich rodziców w 18-ym roku życia, wydaje się niebawem za wice-hrabiego „de Lamarc" i przeżywa z nim miesięcy kilka nie w wymarzonéj wprawdzie szczęśliwości i rozkoszy, ale w spokoju i zgodzie. Pierwszém przerywającém ten spokój i te zgodę zdarzeniem staje się nieprzewidziany połóg niezamężnéj służącéj „Rozalii". W obec tego faktu, p. „de Lamarc," uzbrajając się w surowość, żąda natychmiastego wydalenia przestępczyni, litośniejsza zaś „Joanna" przemawia za jéj pozostaniem w domu, utrzymuje się przy swém zdaniu i cieszy się z tego zwycięstwa, dopóki nie odkrywa, pewnéj nocy, iż sprawcą katastrofy jest własny jéj mąż, zaniedbujący ją w saméj rzeczy od niejakiego czasu dla téj zgoła niepowabnéj zresztą dziewczyny. Rozerwaną w ten sposób harmonją małżeńskiego pożycia dostraja napowrót poczciwy proboszcz miejscowy, filozof i tolerant; z pozostających zaś „Joannie" niesmaków i zgryzot wyrywa ją przyjście na świat własnego synka. Niebawem jednak czekają ją nowe próby i śmierć ukochanéj matki najpierw, a potém odkrycie nowéj zdrady męża, sprzeniewierzającego się jéj z sąsiadką, baronową de „Tourville." Tym razem jednak kara dosięga niepoprawnego lowelasa. Gruchającą w leśnéj ustroni parę kochanków nadchodząca burza skłania do szukania schronienia w porzuconym opodal na łące przez wędrownych pasterzy owiec, drewnianym domku na kołach. Przypadek sprowadza w tę stronę barona „de Tourville." Widząc konia swojéj żony przywiązanego razem z koniem wice-hrabiego „de Lamarc" u drzwi owego domku, domyśla się zazdrosny małżonek wszystkiego. Skrada się zatém, zasuwa zewnętrzne rygle, odczepia cugle dwóch rumaków, a potém, barczysty i herkulesową obdarzony siłą, wprzęga się w dyszle ruchomego mieszkania, zaciąga je na staczającą się ku przepaścistéj krawędzi równinę i puszcza...

Owdowiałéj „Joannie" zostaje już tylko syn, jedyna pociecha i jedyne zajęcie posępnego życia. Aliści dorastający młodzieniec objawia hulaszcze skłonności, zadłuża się i zniewala matkę do sprzedania ojcowskiego majątku i opuszczenia na starość rodzinnego domu; zakochuje się w podniesionéj z rynsztoka awanturnicy i żeni się z nią. „Joanna" jest teraz samą z jedyném towarzystwem napastujących ją wierzycieli, przerywających jéj sen zgryzot i stającego przed jéj oczami widma niedostatku i nędzy. Wśród tego opuszczenia i wśród téj niedoli, zjawia się obok niéj niespodziany anioł opiekuń-

czy. To „Teresa,“ owa litośném niegdyś przebaczeniem udarowana przez nią rywalka, która, dzięki uzyskanemu za cenę swéj hańby posagowi. wydała się za dostatniego fermiera, i teraz przybywa w pomoc dawnéj swéj pani, porządkuje jéj interesa, zapewnia jéj przyzwoite utrzymanie, i dnia jednego przywozi jéj z Paryża nową i ostatnią pociechę, maleńką wnuczkę, którą, umierając z wycieńczenia rozpustném spowodowanego życiem, marnotrawny syn zostawił opuszczonéj przez się matce.

W dwukołowéj karyolce „Teresy“, wiozącéj ją do nowego domu razem z nową tą zdobyczą „Joanna patrzyła przed siebie w dal, w niebo, kędy, niby szybkie race, pomykały jaskółki, i nagle łagodne ciepło, ciepło życia, przedostając się przez jéj suknie, ogarnęło jéj nogi, przeniknęło jéj ciało: było to ciepło maleńkiego owego stworzenia śpiącego na jéj kolanach.“

„Wtedy nieskończone wzruszenie opanowało ją. Raptownym ruchem odkryła twarz dziecięcia, na którą nie była spojrzała jeszcze: twarz córki jéj syna! A gdy słabe stworzonko, uderzone żywszym blaskiem światła, otworzyło niebieskie oczęta, ruszając usteczkami, Joanna jęła ściskać je namiętnie, podnosząc w górę, okrywając pocałunkami.“

„Ale Rozalia uradowana i zrzędząca zatrzymała ją. „Dajże pani pokój pani Joanno, do płaczu ją pani przywiedzie.“

„Poczém dodała, odpowiadając zapewne na własną myśl: „Życie, widzi pani, nie jest nigdy ani takie dobre, ani takie złe, jak się przypuszcza.“

Cała filozofia powieści streszcza się w tym ustępie. Obok zaś téj filozofii, pełnéj, kto zaprzeczy? trzeźwości i prawdy, jest niezaprzeczenie także, w całym powieści ciągu dużo, bardzo dużo talentu. Jest rzadka przenikliwość i trafność obserwacyi, jest niezrównana siła w realistycznéj reprodukcyi wrażeń, jest bogactwo pomysłów i szczęśliwe uzyskanie dostarczonych przez nie motywów. Jakże szczęśliwie pomyślaną np. a z misternym artyzmem obrobioną jest scena, w któréj stary proboszcz nakłania zdradzoną żonę do pogodzenia się z losem i z niewiernym małżonkiem—zaczynając od ułagodzenia jéj ojca, noszącego się z zapalczywym gniewem barona „des Vauds:“

„... Między nami, panie baronie, zięć pański zrobił to, co robią wszyscy. Czy znasz pan baron dużo małżonków wiernych?... Wiesz co? założyłbym się, że ty sam, połóż rękę na sumieniu... (Tu p. baron chodzący wielkiemi krokami po pokoju zatrzymał się przed starym księdzem, jak wryty)... Naturalnie, robiłeś tak jak inni. Kto wie, może nawet skosztowałeś takiéj małéj dziewuchy jak ta...

I twoja żona nie była przeto mniéj szczęśliwą ani mniéj kochaną, nieprawdaż?“

Jakże wyśmienicie przedstawionym także kontrast między tym prostodusznym, pobłażliwym, rubasznym i trywialnym nawet czasami ale pociągającym do siebie i do reprezentowanéj przez się religii kapłanem, a jego następcą, fanatykiem z jezuickiéj szkoły, który trzyma się litery katechizmu, ugania się za baraszkującemi w towarzystwie dziewcząt parafianami, i zamordowywa z wściekłą zapamiętałością biedną sukę odbywającą połóg pośród zwabionéj ciekawem widowiskiem gromady dzieci.

A uważ scena, w któréj biedna „Joanna“ dowiaduje się z kolei, że tak jak mąż jéj zdradzał ją, tak własna jéj matka, ukochana, czczona nakształt świętéj matka, zdradzała swojego męża, jéj ojca. Myśl nie nowa tym razem. Co jest nowego pod słońcem? Daudet trafił już na nią i wyzyskał ją w swoim „Numa Roumestan.“ Potrafił jednak Guy de Maupassant być oryginalnym i szczęśliwym raz jeszcze a nawet szczęśliwszym. „Joanna“ spędza noc przy zwłokach téj, którą straciła. I w ciągu téj bezsennéj nocy, „myśl rzewna i szczególna“ przychodzi jéj do głowy. Kiedy dławiące ją od lat już kilku astmatyczne cierpienie spać jéj saméj nie pozwalały, nieboszczka lubiła dobywać z kantorka jedną i drugą wiązankę starych pożółkłych listów, które odczytywała całemi godzinami. I zdaje się teraz „Joannie“, że dopełni pobożnego obowiązku, że zrobi coś, co podoba się na tamtym świecie drogiéj zmarłéj, odczytując obok niéj, po raz ostatni te listy—listy pisane podobno przez jéj babkę i dziadka—że „utworzy tym sposobem jakby tajemniczy łańcuch uczuć serdecznych między owymi dawnymi zmarłymi, tą wczorajszą zmarłą i nią samą, pozostającą jeszcze na ziemi.“

I oto związane powiędłemi wstążkami, wyblakłem pismem pokryte pamiątki leżą na łóżku maminem jak niegdyś, i „Joanna“ zaczyna czytać. Tak to rodzicielska korespondencya, list po liście zaczyna się od słów: „*Ma belle petite fille*“, „*Ma chère petite*“, „*Ma mignonne*“, a potém z postępem czasu: „*Ma chère enfant*,“ „*Ma chère Adélaide*“ „*Ma chère fille*“. Aliści „Joanna“ bierze do rąk inną wiązankę: nie poznaje pisma, nie rozumie słów: „Nie mogę już obejść się „bez twych pieszczot. Kocham cię aż do szaleństwa.“ Co to takiego? Na kopercie adres brzmi wyraźnie: „Pani Baronowéj le Perthuis des Vauds.“ Joanna czyta daléj: „Przyjdź dziś wieczorem, skoro tylko on wyjdzie.“ „Będziemy miéć godzinę dla siebie.“ I znowu: „Spędziłem całą noc na daremném żądaniu twych uścisków...“ I jeszcze: „Nie zapomnij spalić tego listu“. Nareszcie na bileciku skreślonym tą samą ręką, ale zawierającym tylko ceremonialną odpowiedź na cere-

monialne zaproszenie, znajduje podpis: „Paweł d'Eunemare," podpis tego, którego jéj ojciec nazywał „swoim poczciwym Pawłem!" I nagle robi się widno w jéj głowie, i nagle gwałtownym ruchem, odrzuca precz biedna „Joanna" te ohydne listy, jakby uczyniła z jadowitym gadem, który by wpełzł na nią, i biegnie do okna, i płakać zaczyna strasznie, z mimowolnemi jękami, które rozdzierają jéj gardło... W tém odgłos kroków daje się słyszéć w sąsiednim pokoju. „Przebóg! to może jéj ojciec! A te listy leżą tam rozrzucone! I wystarczyłoby jednego z nich, aby on sam dowiedział się"!...

Realistyczna to jużci sztuka, ale sztuka! A jest więcéj takich scen w dziele Maupassant'a, a tam gdzie nie pisze on scen, ale bada i analizuje, tam gdzie rzuca pędzel a bierze skalpel do ręki, tam z równą śmiałością i z równém szczęściem wnika w najdelikatniejsze tajnie psychologii i fizyologii niewieściéj czy męzkiéj. Pierwsza noc ślubna, (opisana przez autora z dokładnością i bezwzględnością godną jego szkoły i maniery) nie przyniosła „Joannie" nic, prócz strasznego rozczarowania, upokorzenia i wstrętu. Następne noce przyzwyczaiły ją do znoszenia mężowskich pieszczot, ale nie pozwoliły jéj odkryć w nich żadnéj osobistéj rozkoszy, nie rozbudzały jéj zmysłów. Niecierpliwość miłosna wice-hrabiego „de Lamarc", dopominającego się śród białego dnia o pokój osobny w hotelu, do którego przybywają po dwudniowéj podróży, budzi w niéj tylko—uczucie wstydu przed służbą hotelową. Nazajutrz atoli, śród wycieczki w czarowne korsykańskie okolice pan wice-hrabia dostrzega w swéj towarzyszce nagłą zmianę. Przed odkrytą niespodzianie niebieską zatoką otoczoną ścianami z czerwonego granitu, „Joanna" staje, drżąca, z gardłem ściśniętem, łzy tryskają jéj z pod powiek a usta szepczą: „O mój Juljanie!" nie mogąc wymówić nic więcéj. Odtąd na każdym kroku unoszą ją porywy entuzyazmu i wzruszenia, które niecierpliwią zresztą wice-hrabiego. Nareszcie u napotkanego chłodnego i przezroczystego źródła, z którego czerpią wodę dla orzeźwiania się, przychodzi jéj jedno z tych natchnień, które tylko rozkochanym przychodzą. Napełniwszy usta zimnym jak lód płynem, daje ona do zrozumienia mężowi, że chce napoić go sama, i teraz dopiero, z tego połączenia ich ust tryska nareszcie nie dobyta dotąd iskra elektryczna. Teraz ona szepcze mu do ucha: „kocham cię!" przyciąga go do siebie, „opuszcza się w jego ramionach, zakrywając rękoma zarumienioną od wstydu twarz, dyszé przez chwilę w drażniącém oczekiwaniu, aż wreszcie wydaje krzyk, uderzona jakby piorunem przez dawno wyglądane uczucie"...

Oczywiście, jak zastrzegłem to z góry, panienki czytać tego nie powinny. Ale czy swawola to prosta myśli i pióra? Nigdy w życiu!

Nic łatwiejszego jak tego rodzaju oceny i krytyki, których nie poskąpiła autorowi obrażona pruderya wielu czytelników. Można zresztą mniemać — i gotów jestem prawie przyznać słuszność takiemu widzeniu rzeczy—że są pewne zjawiska w naturze, od badania których lepiéj się wstrzymać, że są rzeczy prawdziwe, których pokazywać nie warto, albo nie godzi się. Ale niezaprzeczenie autor zbadał tu naturalne zjawisko, pokazał rzecz prawdziwą i o zbadanie tego zjawiska, o pokazanie téj rzeczy chodziło mu, nie o zakasowanie pana de Sade czy Kock'a.

Rozwinął zaś niezaprzeczenie także w spełnieniu swego zamiaru obcą całkiem i panu de Sade i Kock'owi potęgę artyzmu, obrazowości, grupowania i uwydatnienia efektów. Opis pejzażu, w którym autor umieścił swój drastyczny „eksperyment"—jest prześliczny. A wieleż podobnych opisów odnaleść by można na tych trzystu kilkudziesięciu kartkach! Guy de Maupassant rozsypuje je z królewską iście szczodrotą. Nie znam dużo piękniejszych obrazów od tego, przed którym „Joanna" spędza pierwszą noc po przybyciu do rodzicielskiego domu, marząc o przyszłości, na tle któréj majaczeje męska postać, nieznana jeszcze, ale przeczuta, pożądana i już ukochana wszystkiemi siłami serca dziewiczego. Długo, długo marzy w ten sposób „Joanna" przy otwartém oknie, podczas gdy księżyc dokonywając swéj niebieskiéj podróży schyla się ku morzu. „Powoli powietrze chłodniało. Od wschodu widnokrąg pobladł. Kogut zapiał w osadzie na prawo; inne odpowiedziały mu z prawéj strony. Ich głosy ochrypłe zdawały się przybywać z bardzo daleka przez szczeliny kurników, i na ogromném sklepieniu, nieznacznie bielejącém tam w górze, gwiazdy jęły znikać jedna po drugiéj. Maleńki krzyk ptaszyny obudził się gdzieś. Dźwięczne szczebiotania, nieśmiałe zrazu, dobyły się z pośród liści; potém ośmieliły się, zadrgały donośnie, wesoło, biegnąc od gałęzi do gałęzi, od drzewa do drzewa. Nagle Joanna uczuła otaczający ją blask, i, podnosząc głowę, którą była skryła w ręce, zamknęła oczy, olśniona wschodzącym brzaskiem. Piętrząca się góra chmur purpurowych, ukryta w połowie za wielką aleją topolową, rzucała krwawe strugi światła na obudzoną ziemię. I powoli, przedzierając zasłonę jaśniejących mgieł, zalewając ogniem drzewa, doliny, ocean, cały widnokrąg, ogromna płonąca kula pokazała się. I Joannie zdało się, że szaleje z radości... Było to jéj słońce! jéj zorze! początek jéj życia! wschód jéj nadziei!"

Kto potrafił tak zacząć powieść, ten ma prawo nie do tego, aby ktokolwiek czytał ją do końca, ale do tego, aby nikt, skoro ją czyta, nie czytał jéj z lekceważeniem.

Język sam — to słaba strona wszystkich adeptów Goncourt'owskiéj szkoły—dostraja się tu, u Maupassant'a, do artystycznego dyapazonu całego dzieła. Zbywa mu na oryginalności wprawdzie, a nie zbywa tu i owdzie na drogich naturalistom choć zgoła nienaturalnych przestawniach i zboczeniach od przyjętéj składni. Trafia się jednak tych ekscentryczności niewiele, a więcéj prosto, jasno i potoczyście napisanych ustępów. Nie wiele także, stosunkowo, choć zapewne jeszcze zawiele gminnych zwrotów i wyrażeń, których użycie ma jednak zawsze cel, artystyczny lub filozoficzny. Wstawszy od stołu, po obiedzie u państwa baronostwa, ksiądz proboszcz dobywa z kieszeni i żuć zaczyna coś podobnego do papierosa.

„— To dla ułatwienia odbijań, tłómaczy z otwartością ludzi wiejskich, bo mam trawienie trochę ciężkie.

„Poczem nagle spoglądając na niebo, gdzie podróżuje jasna planeta, rzecze: — Nigdy człowiek się nie nuży tym widokiem.“

Wzmianka o hygienicznych przezornościach poczciwego kapłana jest może zbyteczną, ale daje okazyą do zabawnéj antytezy.

Utwór Maupassant'a celuje przeto mnóstwem pojedyńczych zalet, przymiotów i piękności nawet pierwszego rzędu. Ale całość utworu? Całość grzeszy jedną wadą — tą samą zawsze. Maupassant bawi nas często i zajmuje, wzrusza czasem i podziwem napełnia, ale w końcu — ogółem powieść jego biorąc — nudzi nas także. Nadto szczegółów i szczególików, nadto opisów, nadto pretensyi do dokładności, która pozostaje dokładnością względną, bo czy Maupassant porachował włosy na głowie swojéj „Joanny“? czy policzył wszystkie godziny jéj życia? Nadto realizmu, nie mniéj względnego także, bo czy autor przypuszcza, że pokazał nam każdą rzecz całkiem tak jak ona jest i powtórzył każde słowo całkiem tak, jak się ono mówi? Jego opis ślubnéj nocy, albo „psychologicznego momentu“ przy źródle w górach korsykańskich obchodzi się bez wielkich ogródek, to pewna; ale przypuśćmy dwóch mężczyzn opowiadających sobie jednę i drugę scenę, niezawodnie użyją oni innych jeszcze, swobodniejszych określeń, wnikną lepiéj jeszcze w istotę rzeczy. Chcąc niechcąc znowu, używa Maupassant zasłon i zadawalnia się półsłówkami i przebiera w szczegółach i pilnuje się formuły Champfleury'ego. Ale że nie pilnuje się jéj z należytą trafnością instynktu artystycznego i wytwornością smaku, że nie przebiera dostatecznie, przeto zaczyna od tego, że nas razi, a kończy na tém, że nas nudzi.

A że tak jest, najlepszym dowodem to, że Maupassant nie upiera się sam przy swojéj manierze i że po „Une vie“ dostaje się nam do rąk „Bel-Ami.“

Założeniem swojém a poniekąd i wykonaniem „Bel Ami“ należy do tejże samej szkoły co i poprzednie utwory autora. Monografia to jeszcze, obchodząca się, przynajmniéj w założeniu, bez fabuły powieściowéj, bez zbędnéj jakoby komplikacyi krzyżujących się interesów i ścierających się namiętności. W jednym atoli punkcie odstępuje tym razem autor od szkolnego programu. I to w sposób stanowczy, radykalny. Już w „Une vie“ nie potrafił on obejść się całkowicie bez tych *epizodów* i *perypetyi*, któremi gardzi Edmund Goncourt. Ale w „Bel-Ami“ epizody i perypetye mnożą się w niespodziany sposób, przybierają niespodzianą rolę. „Bel-Ami“ stoi w całości na epizodach a perypetyach, i to nadaje nowéj téj kreacyi zupełnie odmienną formę — nie nową zresztą bynajmniéj, jedną z najstarszych owszem i najpowszechniéj wyeksploatowanych. Z różnicą języka, stylu, tonu i dyapazonu artystycznego „Bel-Ami“ jest bratem rodzonym „Gil-Blasa“, „Don-Żuana“, „Child-Harold'a“ i samego „Fausta.“ Oto rezultat, do którego doszedł Guy de Maupassant w walce między narzuconym sobie ideałem artystycznym a przyrodzonemi instynktami, skłaniającemi go do napisania czegoś — coby nie nudziło czytelnika. „Bel-Ami“ nie nudzi nas. Owszem! Ale gdzie podziewają się pod niebieską okładką Goncourtowskie teorye, estetyka Zoli i wspomnienia z wieczorów w Medan?

„Bel-Ami“ jest historyą podoficera z wojsk afrykańskich, który wysłużywszy swój czas i dostawszy się bez sposobów do życia na bruk paryski, dobija się fortuny przez dziennikarstwo i kobiety. Zaczyna od reporterki i od miłośnego *sui generis* stosunku z panią „de Marelle“, która za każdą schadzką w najętém przez nią samą *rez-de chaussée*, urania odrobinę złota ze swojéj portmonetki. Raz znajduje „Bel-Ami“ w kieszonce od kamizelki, któréj puste kąty zna aż nadto dobrze, zapomnianego niby luidora. Innym razem w trzewiku, w pudełku od zegarka i t. d. Zaczyna on od oburzenia się, ale że mu głód dokucza, więc jednak *pożycza* parę franków z pierwszego zostawionego luidora, obiecując sobie zwrócić całość za pierwszym zarobkiem. Ale zarobek opóźnia się, suma zaciąganych kolejno pożyczek wzrasta i ostatecznie „Bel-Ami“ wita z satysfakcyą powtarzające się w kieszonkach i trzewikach *niespodzianki*, nie zaniedbując jednak utrzymywać ścisłego ich obrachunku, dla odkładanego na późniéj zwrotu. Na nieszczęście jednego wieczora pani de Marelle spostrzega się, że „Bel Ami“ ma znajomości w „Folies-Bergère“, o których przypuszcza ona, że korzystają z luidorowych niespodzianek. Wyskakuje wtedy z dorożki, w któréj schwytany na gorącym uczynku kochanek napróżno stara się ją przebłagać, płaci dorożkarza i poleca mu, aby odwiózł tego „świntucha“ do domu za jéj

pieniądze. Zwabiony hałasem tłum przyklaskuje, a młody *voyou* wsuwając głowę w otwarte drzwiczki, woła odjeżdżającemu: „Bonsoir, Bibi!“

Tak zaczyna swoję karyerę „Bel-Ami“.

Późniéj jest szczęśliwszym. Wyrabia się w dzienniku, do którego wprowadził go kolega szkolny „Forestier“, a po śmierci tego ostatniego bierze dziedzictwem podwójny spadek: miejsce nieboszczyka w redakcyi i żonę jego, przystojną i zręczną kobietę, z którą się żeni, przemieniając jednocześnie swoje nazwisko z „Duroy“ na „du Roy de Cantel.“ Późniéj jeszcze, zachęcona tém powodzeniem ambicya jego wzrasta. Rozbałamuca on starą panią „Walter“, uczciwą dotąd a nawet surową w swych zasadach i obyczajach żonę swojego dyrektora, od któréj pożycza dziesiątki tysięcy franków; ostatecznie zaś uwodzi jéj szesnastoletnią córkę, „Zuzannę“ i, schwytawszy jednocześnie panią „du Roy de Cantel“ na gorącym uczynku cudzołóstwa z panem „Laroche-Mathieu“, ministrem spraw zagranicznych, bierze z nią rozwód a żeni się z „Zuzanną“, która mu przynosi milionowe wiano — co go nie odstręcza od zachowania 500,000 fr. z zapisu zostawionego dawniéj pani „du Roy“ przez jéj urzędowego kochanka „hr. de Vaudreu“, zapisu, do którego przyjęcia upoważniał on swoję żonę jedynie pod warunkiem równego podziału; ani także od czułego uściśnięcia paluszków pani „de Marelle“, którą, odchodząc od ołtarza, znajduje w zakrystyi winszującą mu nowego małżeństwa i szepczącą do ucha: „*à bientôt.*“

Historya to w głównych swoich rysach prawdziwa; prawdziwa nietylko w moralném ale i w materyalném znaczeniu słowa. Cały Paryż poznał odrazu żyjącego i asfalt bulwarów ścierającego bohatera powieści; powtórzył prawdziwe jego nazwisko. Mogłoby ono i tu być powtórzonem bez skrupułu. Bez niebezpieczeństwa nawet. Prawdziwy „Bel-Ami“ dostał onegdaj w twarz laską i ogłosił nazajutrz w *swoim dzienniku*, że pogłoska o nieprzyjęciu przezeń pojedynku jest mylną, „ponieważ został on wprawdzie uderzonym, ale nie wyzwanym na pojedynek!“ Fikcyjny „Bel-Ami“ nie sięga jeszcze do tego ideału. Fikcyjny „Bel-Ami“ strzela się i zachowuje nawet jaką taką postawę na placu. Strzela się z przymusu, pod groźbą wydalenia z redakcyi; wścieka się na ten przymus i umiera ze strachu, ale się strzela i wychodzi z nie nadto zresztą morderczéj walki z całą skórą ale i z całym honorem. Fikcyjny „Bel Ami“ poprzestaje także na eksploatowaniu swéj ujmującéj i serca kobiece pociągającéj powierzchowności. Prawdziwy „Bel-Ami“ trudni się przedewszystkiém eksploatacyą *szantażu.*

Nie o indywidualną biografią jednak i dokładność osobistego podobieństwa chodziło oczywiście autorowi. Chodziło mu o przedstawienie jednéj strony życia stołecznego, o uchwycenie jéj moralnéj i materyalnéj fizyonomii — i wywiązał się z zadania po mistrzowsku. Portret jest realistycznym jak tylko można, ale bije w oczy prawdą i potęgą wyrazu. „Bel-Ami“ jest typem ogólnego znaczenia i typem prawdziwym. Człowiek to niekoniecznie zły z gruntu. Widać w nim instynkta dobre i niektóre szlachetne uczucia. Pierwszy popęd jest u niego zawsze lepszym od drugiego. Kiedy pani „de Marelle“ gotuje mu niespodziankę w kieszonce od kamizelki, zaczyna on od oburzenia się i od chęci zwrócenia hańbiącego daru. Kiedy dowiaduje się o zapisie „hr. de Vaudrée“, oburza się znowu w pierwszéj chwili i objawia chęć odrzucania zapisu. Kiedy przychodzi do fortuny, nie zapomina o ubogich rodzicach, wydziela im część swych zysków i marzy o zapewnieniu im dostatniego bytu. Kiedy urządza pułapkę dla schwytania na gorącym uczynku pani „de Marelle“, to przez pół dla dostarczenia sobie zręczności do uzyskania rozwodu, a przez pół dla dogodzenia swéj zazdrości i obrażonym uczuciom kochającego po swojemu serca. Wszystkie te rysy uchwycone są z cudowną trafnością, oddane z niezrównaną maestrią. „Bel-Ami“ nie zabiłby muchy dla przyjemności zrobienia jéj krzywdy, ale zamordowałby rodzonego brata, gdyby ten wlazł mu w drogę. Jest on takim, jakim jest dla tego tylko, że właściwe jego krewkiéj naturze a paryskiém życiem rozbudzone i rozjątrzone pożądliwości biorą w nim górę nad sprzeciwiającemi się im instynktami. brakuje zaś u niego wszelkiego etycznego pierwiastku, któryby poskramiał tę nieuniknioną przewagę. Ani religii, ani przesądów, ani skrupułów, ani niczego podobnego niemasz w nim śladu. I to wszystko właśnie czyni z jego osoby typ doskonały, typ paryskiego *bulwardyera* i dziennikarza.

Obok niego zaś ileż innych przedziwnych figur! Pani „de Marelle“, poznająca się na niegodziwości tego, któremu rzuciła się w objęcia i traktująca go jak na to zasłużył, ale wracająca do jego pieszczot i uścisków. Pani „Forestier“ protegująca młodych literatów, których wyręcza w pisaniu artykułów, a pozwalająca się protegować starszym ministrom, od których wyciąga pożądane dla finansowych obrotów informacye; kochająca po swojemu znowu i mężów swoich i kochanków, ale pojmująca i małżeństwo i cudzołóstwo jako praktyczną współkę sprzymierzonych interesów. A pani „Walter“, która dożywszy dojrzałego wieku w cnocie i surowości obyczajów, ulega pokusom klimakterycznéj epoki, szuka obrony przed niemi w dewocyi, trawi noce bezsenne na klęczkach przed wymalowanym przez Munkaczego Chrystusem, ale poznaje w Chrystusowéj

twarzy rysy pięknego podoficera — i ginie ostatecznie w otchłani strasznego upadku. A pan „Walter“ sam, semicki parweniusz, który kupuje za 500,000 fr. owego Munkaczowego Chrystusa i zabiera go z przed nosa cisnącym się na wystawę Paryżanom. A poeta „Norbert de Varenne“, autor „Zachodzących słońc“, który nie wierzy w nic, *tylko w jednę śmierć*, i obrzuca wszystkich i wszystko swoim pesymizmem — choć pesymizm ten nie przeszkadza mu pobierać 300 fran. z kasy dziennika za artykuły nie przenoszące nigdy 200 wierszy i jeść smaczno i wychylać kieliszki do dna.

A ileż scen wyśmienitych, oryginalnie pomyślanych a wykonanych z niezrównaną werwą i humorem, zacząwszy od owéj wspomnianéj już, w któréj pani „de Marelle“ pozbywa się swego fiakrowego towarzysza, a skończywszy na téj, w któréj „Bel-Ami“ pragnie pozbyć się staréj pani „Walter“, aby nie stracić w jéj objęciach zapałów chowanych dla młodszéj pani „de Marelle.“ Pani „Walter“ ociąga się, nie daje się spędzić z kolan kochanka i nagle przychodzi jéj myśl dziwna, „jedna z tych myśli przesądnych, które są często całym rozsądkiem kobiet.“ Jeden z jéj włosów zaczepił się o guzik jego kamizelki, i oto powoli i nieznacznie zaczyna ona okręcać włos po włosie z rozpuszczonych w nieładzie a siwiejących już splotów naokoło jednego, drugiego i trzeciego guzika. Tym sposobem coś z niéj zostanie przy nim po jéj odejściu. odrobina jéj włosów o którą sam nie prosił nigdy! I za chwilę, gdy oddali się on od niéj, włosy te, oderwane raptownie, zabolą ją i cierpieć dla niego i przez niego, co za rozkosz! — W godzinę później nadchodzi pani „de Marelle“; z właściwą swym latającym oczętom bystrością dostrzega jeden z pozostałych u kamizelki włosów. Poznaje po barwie, że to nie włos pani „Duroy.“ Odnajduje, ku wielkiemu zdumieniu biednego „Bel-Ami'ego“, więcéj włosów. Domyśla się z właściwą kobietom przenikliwością zkąd się one wzięły. Zazdrość ją chwyta za serce i zbiera jéj się na płacz. Wtém wpada jéj pod rękę między czarnemi włosami jeden włos biały i natychmiast zazdrość zamienia się w gniew i pogardę.

„— Stara! tak, stara! wdajesz się ze staremi teraz.... Czy płacą ci... powiedz... czy płacą ci dobrze?... Więc zeszedłeś na stare baby... Jam ci tedy niepotrzebna... trzymaj tamtą....“

I gdy „Bel-Ami“ chce ją przebłagać, silny policzek, małą, ale sprężystą wymierzony rączką, dostaje mu się na pożegnanie.

A co za obrazy barwne, ruchome, tryskające życiem, albo misterne znowu, wykończone w najdrobniejszych szczegółach ze zdumiewającą precyzyą, jak obraz redakcyi dziennika „Vie Française“ z interesantami niecierpliwiącemi się w przedpokoju dyrektorskiego

gabinetu. P. dyrektor konferuje od godziny z mężami politycznymi, posłami i podsekretarzami stanu. Jednak „Bel-Ami“, wprowadzony przez „Forestier'a“, dostaje się do strzeżonego przed innemi sanktuaryum i dostrzega zielony stół z rozrzuconemi na nim kartami. Całogodzinna polityczna konferencya jest partyą *écarté*. W sali redakcyjnéj tymczasem sześciu rzędem ustawionych kronikarzy i reporterów zatrudnia się sześcioma w takt poruszanemi bilbokietami. Widzi się to i słyszy, tak jak widzi się leżącego na śmiertelnéj pościeli „Forestiera“, który „zaczyna już śmierdzić“, i słyszy się obok półgłosem prowadzoną rozmowę pani „Forestier“ z panem „Duroy“, którzy zaczynają już gruchać miłośnie....

Typy te, figury i obrazy nie należą zapewne do bardzo podniosłego rodzaju. Cóż ztąd? To samo da się powiedzieć o Rubensowych kiermaszach, co nie przeszkadza im być arcydziełami ani też nie przeszkadza Rubensowi być arcy-mistrzem nawet wtedy, kiedy maluje kiermasze. Artysta uprawnia każdy rodzaj, którego się dotyka; a p. Guy de Maupassant jest artystą i traktuje artystycznie obrany przedmiot. Pod piórem jakiegoś Belot'a ten sam przedmiot byłby tylko sprośną polisoneryą, wstrętną dla delikatniejszego smaku i uczucia. Pod piórem Maupassant'a jest bądź-co-bądź dziełem sztuki i sztuki nieskończenie wytrawnéj.

Niewiem czego spodziewać się można po dalszym rozwoju bardzo nieustalonego jeszcze w swojéj formie, jak mógł zauważyć czytelnik i bardzo szybkim przeobrażeniom podlegającego talentu. Ale obiecuje on wiele, bardzo wiele. Nie bez słuszności jednak w ostatnim swoim krytycznym przeglądzie („Les livres“ w *Nouvelle Revue*) wyraża Sarcey obawę, aby ten obiecujący i do wielkich dzieł przeznaczony talent nie rozproszył się i nie zmarnował w drobnych próbach pióra rozsypywanych bezustannie po „Figarach“ i „Gil-Blasach“, w formie noweli i anegdotycznych opowiadań. Od czasu do czasu wychodzą u Wiktora Havard całe tomy tych tuzinami produkowanych—i tuzinkowych—utworów. Świeżo jeszcze powitała prasa głośną reklamą nowy tego rodzaju zbiór, ochrzczony tytułem jednéj z zawartych w nim nowel: „M-r Parent.“ Pan „Parent“ i jego towarzystwo nie przysporzą sławy młodemu pisarzowi. W całym tym dziale jego twórczości znajduję jednę tylko szczyptę szczerego złota. Kilka to kartek tylko i jedna scena, ale oryginalnie pomyślana, w stylu naturalistycznym. On i ona; on robotnik z Asti w Piemoncie, ona chłopka z Casale wynajmująca się za mamkę, spotykają się sam na sam w wagonie 3-éj klasy. On blady i wycieńczony, ona rumiana i tłusta z piersią wezbraną potężnie. W ciągu drogi ona dobywa z torby i pożywa z apetytem rozmaite wiktuały, on odwraca oczy.

Niebawem atoli zmienia się scena. Ona daje oznaki niepokoju, cierpienia a w końcu trwogi i rozpaczy. Zapytana zwierza się, iż pierś, z któréj od wczoraj niczyje usta nie ciągnęły pokarmu, gniecie ją i dusi swoim ciężarem. Pociąg zatrzymuje się po niejakim czasie, ale na chwilę tylko. Przez okno wagonu mdlejące oczy biednéj mamki dostrzegają tęskniące może do mleka niemowlę. To niemowlę mogłoby przynieść jéj natychmiastową ulgę, ocalić ją... Ale pociąg rusza. Wtedy on zbliża się i nieśmiało, jąkając się, mówi :

— Toć i ja mógłbym ...

Ona zgnębiona boleścią, odchodząca prawie od zmysłów, przyjmuje bez wahania, z wdzięcznością. On klęka tedy przed nią i chciwie, jak dziecie głodne, przykłada usta do żywego zdroju i pije długo, pracowicie, dopóki nie zatrzymuje go ona, odpychając łagodnie i mówiąc :

— Dosyć. Teraz mi już dobrze. Oddałeś mi nielada przysługę. Dziękuję ci.

A on wtedy :

— To ja winienem wdzięczność; oto dwa dni jak nic nie jadłem.

Nazywa się to „l'Idolle.“

Zresztą zbywa Maupassant samemi miedziakami eksploatujących jego imię dziennikarzy. Ale i zdawkową monetą można wydać całą fortunę, jeżeli wydaje się za często.

Kazimierz Waliszewski.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Liske Xawery.—Akta grodzkie i ziemskie z czasów Rzeczypospolitéj polskiéj z archiwum tak zwanego bernardyńskiego we Lwowie wskutek fundacyi śp. Aleksandra hr. Stadnickiego wydane staraniem galicyjskiego wydziału krajowego. Tom XI. Lwów 1886. 4° str. XXV i 567.

Mieliśmy dotąd ogłoszone drukiem zapiski sądowe z kilku zaledwie ziem dawnéj Polski, podczas gdy dla wszechstronnego zbadania rozwoju prawa polskiego w wiekach średnich koniecznèm jest ogłoszenie zapisek sądowych ze *wszystkich* części Polski, które nam dopiero umożliwi jasne ujęcie właściwości partykularnych w rozwoju tegoż prawa, a zarazem wyświecenie jego zasad wspólnych. Nowy a ważny krok, zmierzający do osiągnięcia tego celu, uczynił prof. Liske, wydając w jedenastym tomie „Aktów grodzkich i ziemskich“ najdawniejsze zapiski sądów sanockich od 1423 od 1462. Dzieło to zapoznaje nas z praktyką sądową, jak się ona rozwinęła w ziemiach ruskich. Już z tego powodu winniśmy je powitać z radością, gdyż odsłania przed nami właściwości partykularne, jakie się wyrobiły w téj części Rzeczypospolitéj; staje się zaś ono o wiele ważniejszém z innego jeszcze względu. Wiadomo, że po przyłączeniu Rusi do Polski za Kazimierza W. nie wprowadzono tamże od razu instytucyi prawa polskiego, że pozostawiono mieszkańcom przez wiek cały nietylko w zakresie prawa prywatnego, ale częściowo nawet w urządzeniach prawno-publicznéj natury, dawne ich prawo. Jakkolwiek tedy już w ciągu tego okresu wpływ prawa polskiego zaczął faktycznie oddziaływać na stosunki w Rusi Czerwonéj, to jednak zachowało się tam jeszcze wiele pozostałości ruskiego prawa, które zatrzymało tam moc obowiązującą aż do końca panowania Władysława Jagiełły. Dopiero skutkiem obietnicy, danéj przez Ja-

giełłę w przywileju jedlneńskim z 1433, iż wprowadzi na Rusi prawo polskie, nastąpiło, z początkiem r. 1435—jak wywodzi wydawca na podstawie dwóch współczesnych zapisek—oficyalne uznanie prawa polskiego jako obowiązującego w téj prowincyi. Nasuwa się tedy pytanie, jak wyglądało to prawo ruskie, praktykowane w czasie między r. 1340 a 1435? Na pytanie to dawała nam niedostateczną odpowiedź, nie wielka ilość dyplomatów, dotyczących stosunków ruskich, jaka się dotąd przechowała, a i one wyjaśniały przeważnie stosunki prawno-publicznéj natury, pozostawiając niemal zupełnie ugorem całą niwę t. z. prawa sądowego, tj. materyalnego i formalnego prawa prywatnego i karnego. Łatwo zrozumiéć, że o prawie tém najdokładniejszą podać mogły informacyą zapiski sądowe z tych czasów, których jednak dotąd zupełnie nie znano: prof. Liske ogłasza materyał, który choć w części brak ten wypełni; wydawnictwo jego obejmuje bowiem czas od r. 1423, podaje zatém zapiski z okresu lat dwunastu, w którym na Rusi obowiązywało jeszcze prawo ruskie. Niech nam zaś będzie wolno tutaj zaznaczyć, że pierwsza ta publikacya tego rodzaju źródeł będzie chyba i ostatnią zarazem; żadna bowiem z innych ksiąg sądowych województwa ruskiego, jakie dotąd przechowują się we Lwowie, nie sięga wstecz po za r. 1435, żadna tedy inna nie pochodzi z czasów, w których tamże obowiązywało prawo ruskie. Okoliczność ta zwiększa tylko wartość zapisek sanockich, a wydawnictwo, które je objęło, staje już z tego względu w szeregu najważniejszych publikacyi zapisek sądowych. Podnieść nadto musimy, że lubo ogłoszone w niém zapiski pochodzą w dalszéj części (1435—1462) z czasów, w których na Rusi obowiązywało już prawo polskie, to jednak zawierają jeszcze wiele reminiscencyi dawnych instytucyi prawa ruskiego, które wprawne oko badacza odróżnić potrafi od właściwych, czysto-polskich urządzeń prawnych, a ułatwi mu to niejednokrotnie sam tekst, stwierdzający, iż dana kwestya przedstawia się tak a nie inaczéj *iure* albo *more Ruthenico*. Ta recepcya niektórych zasad prawa ruskiego, w czasach, kiedy obowiązywało już polskie, posłużyć może przyszłemu badaczowi za temat do ciekawego studyum o wpływie prawa ruskiego na polskie i o modyfikacyach, jakich to ostatnie skutkiem tego doznało na Rusi.

Odmienne urządzenie stosunków prawnych w téj części państwa przed r. 1435, spowodowało i odmienną organizacyą sądową, którą wydawca w przedmowie wyświeca po raz pierwszy umiejętnie i gruntownie, dając nam ważny przyczynek do historyi sądownictwa w Polsce. Podczas gdy w innych prowincyach orzecznictwo w pierwszéj instancyi (obok sądów podkomorskich w sprawach granicznych), sprawowały dwojakiego rodzaju sądy: ziemskie i grodzkie,

pierwsze głównie w sprawach cywilnych, drugie przeważnie w sprawach karnych tudzież prowizoryalnych sporach prywatno-prawnych, to na Rusi, zwłaszcza w ziemi sanockiéj przed r. 1435 takiego dwoistego podziału sądownictwa najniższego nie było; istniał tylko jeden sąd dla wszystkich bez wyjątku spraw w najniższéj instancyi. Skład téż jego był inny niż w innych sądach polskich. Wchodził tu mianowicie starosta jako naczelnik sądu, daléj sędzia, zwany *iudex terrestris*, wojewoda (w znaczeniu ruskiém, podrzędny urzędnik sądowy, który się téż późniéj przemienił w burgrabiego grodzkiego), w końcu pisarz i kilku ze szlachty przypadkowo na kadencyi obecnych. Starosta w sądzie tym odgrywa niepoślednią rolę; jeżeli przypadkiem nie jest obecny na roczkach, a pod rozstrzygnięcie pozostałych członków sądu dostanie się jakaś sprawa większéj wagi, natenczas zawieszają oni ją aż do przybycia jego (*ad adventum domini capitanei*), starosta w braku sędziego samowolnie oznacza jego tymczasowego zastępcę, on wreszcie ustanawia i mianuje wojewodę, a nawet z urzędu strącić go może. Jak widzimy, sąd ten składa się z osób, które gdzieindziéj w Polsce stanowiły dwa odrębne rodzaje sądów: starosta i wojewoda (burgrabia) należeli do sądu grodzkiego, sędzia ziemski i pisarz (ziemski) do sądu ziemskiego; tutaj złączeni są oni w jednę, wspólnie wyrokującą instancyą sądową. Wspólny ten sąd, któremu współczesne zapiski nadają nazwę: sądu ziemskiego, choć w niewłaściwém, nie-polskiém znaczeniu, nie posiada jeszcze w swym składzie wszystkich tych osób, które współcześnie w Polsce tworzyły sąd grodzki z jednéj, a ziemski z drugiéj strony, mianowicie, jest sędzia i pisarz ziemski, lecz nie spotykamy żadnego sędziego i pisarza grodzkiego; nadto zaś brakuje jednego z członków sądu ziemskiego, a mianowicie podsędka (*subiudex*), który na Rusi zjawia się dopiero po nadaniu prawa polskiego, a zatém dopiero w r. 1435.

Wspólny ten *ruski* sąd ziemski różni się skutkiem tego i pod względem kompetencyi od *polskiego* sądu ziemskiego; jest on właściwym do rozstrzygania wszelkiego rodzaju spraw w instancyi pierwszéj, które gdzieindziéj należały bądź to tylko przed gród, bądź téż tylko przed ziemstwo, sądzi zatém zarówno sprawy karne jak cywilne, i uskutecznia czynności jurysdykcyi niespornéj w sprawach o nieruchomości, czego w Polsce, przed wprowadzeniem t. z. zasady *wieczności grodów*, nie wolno było załatwiać sądom, na których czele stał starosta. Wyraźne stwierdzenie tego faktu podaje zapiska z r. 1442 (nr. 1445), więc z czasów panowania prawa polskiego: *Tempore iuris Ruthenicalis erat moris inscriptiones facere coram capitaneis pro causis quibuscunque.*

O ile wszakże sąd ten pod względem przedmiotowym miał szeroki zakres kompetencyi; o tyle pod względem terytoryalnym był on bardziéj ograniczony, aniżeli późniéj, po wprowadzeniu nowéj organizacyi. Wiadomo, że późniéj każda z pięciu *ziem* ruskich miała dla całego swego okręgu *jeden* sąd ziemski, podczas gdy przed r. 1435 nie każda ziemia, ale każdy *powiat*, miał prawdopodobnie własny swój sąd zorganizowany na wzór sanockiego: każdy z nich zatém rozciągał swą władzę na terytoryum znacznie mniejsze, aniżeli późniejsze sądy ziemskie. Wydawca przytacza spis tych powiatów, podówczas na Rusi istniejących, i wymienia prócz lwowskiego, halickiego, przemyskiego i sanockiego, nadto jeszcze: trębowelski, kołomyjski, koropiecki, samborski, tyczyński, denowski i drohobyski. Spis ten, ułożony na podstawie wzmianek zawartych w zbiorze obecnie wydanym, nie daje nam oczywiście dokładnego jeszcze wyobrażenia o ówczesnym podziale administracyjnym Rusi; dalsze wydawnictwa zapisek sądowych i inne źródła zdołają go z czasem uzupełnić. (Tak np. w dwóch dyplomatach z 1430 i 1451 czytamy wzmianki o powiecie jarosławskim. Por. Kod. dypl. miasta Krak. I, str. 189 i 214).—Inna rzecz, czy w sądzie każdego powiatu zasiadał starosta, lub téż, czy w niektórych z nich, podrzędniejszego znaczenia, sąd taki składał się tylko z sędziego i wojewody. Na pytanie to obecnie trudno dać stanowczą odpowiedź; wydawca przypuszcza jednak możliwość istnienia takich sądów nawet bez współudziału starosty, jako rzecz, mającą więcéj za sobą prawdopodobieństwa. Również niewyjaśnioną jest kwestya, czy wszystkie powiaty i ich sądy były sobie równorzędne, czy téż pozostawały do siebie w stosunku nad—i podporządkowania. To drugie przypuszczenie zdaje się być więcéj uzasadnionèm, na poparcie zaś jego przytoczyć można wyrobione już bardzo wcześnie wybitne znaczenie starosty lwowskiego, który przecież nie mógł ograniczać swéj władzy wyłącznie tylko na powiat lwowski, jak nie mniéj zapiskę (nr. 3437), z któréj wynika zawisłość powiatu tyczyńskiego od sanockiego.

Z zaprowadzeniem prawa polskiego na Rusi znika ta odrębność organizacyi sądowniczéj; *ruski* sąd ziemski rozpada się na dwie osobne władze: na sąd grodzki ze starostą, sędzią grodzkim, wojewodą (burgrabią) i pisarzem grodzkim, tudzież właściwy sąd ziemski z sędzią, podsędkiem (który teraz dopiero się pojawia) i pisarzem ziemskim. W ślad za tém idzie rozdział kompetencyi w sprawach spornych i niespornych, pomiędzy obu tymi sądami, zupełnie na modłę polską. Pewne wyjątkowe stanowisko zachowuje wprawdzie i późniéj ziemia sanocka—ale obecnie już tylko ona, nie zaś inne ziemie województwa; wyjątkowość zaś ta pochodzi stąd, że przeszła ona ja-

ko oprawa do królowéj-wdowy Zofii. Stąd téż np. królowa, a nie król sprawuje tutaj orzecznictwo w instancyi najwyższéj, ona rozstrzyga wszystkie sprawy ważniejsze, ona wreszcie mianuje urzędników sądowych. Takie stanowisko zajmuje ziemia sanocka do śmierci Zofii w 1461.

Prócz zapisek *ruskiego* sądu ziemskiego, obejmuje zbiór nasz, począwszy od r. 1435 zapiski, sądów grodzkich i ziemskich (w znaczeniu polskiém); daléj zapiski sądów królowéj, wpisywane zazwyczaj do ksiąg ziemskich, zapiski sądów nad osadnikami rozrzuconych na Rusi wsi wołoskich (*iudicia Valachorum*), sprawowanych przez sąd grodzki i w jego księgach pomieszczane, w końcu zapiski najwyższego sądu prawa niemieckiego w Sanoku, które w ciągłości rozpoczynają się dopiero z r. 1457, z których jednak zachowało się jeszcze kilka luźnych fragmentów z czasów dawniejszych, z lat 1425, 1446 i 1449. Zbiór nasz, pierwszy ze wszystkich dotychczasowych wydawnictw dawnych zapisek sądowych, obejmuje pomniki praktyki sądowéj miejsko-niemieckiéj.

Rozpatrzmy nieco bliżéj materyał tu ogłoszony. Z natury rzeczy wynika, że przeważnie podaje on nam wiadomości o zasadach ówczesnego prawa sądowego; rzuca on jednak nie mało światła także i na stosunki społeczne i polityczne. Przedewszystkiém mamy tu szereg dat wyjaśniających organizacyą sądową; napisy roczków, podające dokładnie skład każdorazowego sądu, pozwalają gruntowniéj zbadać tę kwestyą, niż np. napisy ksiąg krakowskich, które pod tym względem są daleko bardziéj małomówne. Szereg zapisek rozbierających sprawę kompetencyi sądów, liczne zarzuty niewłaściwości, i remisye spraw z jednego sądu do drugiego pozwolą po dokładném zbadaniu pociągnąć nieco dokładniejsze granice w tyle chwiejnéj i wątpliwéj co do szczegółów kwestyi jurysdykcyi ówczesnych sądów. Uderzająco wielką jest ilość inskrypcyi, dotyczących dóbr nieruchomych, zeznawanych w sądach grodzkich z zamiarem przeniesienia ich do ksiąg ziemskich na najbliższych rokach, jeden dowód więcéj, jak wielce dla społeczeństwa dogodną stała się przeprowadzona późniéj zasada wieczności grodów, uznająca moc prawną inskrypcyi zeznanych w grodzie, bez konieczności przeniesienia ich do ziemstwa. Ciekawą jest zapiska nr. 714 opisująca terminy odbywania wieców i roków ziemskich. Według niéj odbywać się miały wiece trzy razy do roku we Lwowie, Przemyślu, Sanoku i Haliczu, roki ziemskie zaś co cztery tygodnie w każdéj z tych ziem. Z uchwał wiecowych przez ogół szlachty uchwalonych, mamy tu tylko jednę, dotyczącą postępowania ze złodziejami. Podajemy ją w całości jako przyczynek do historyi ustawodawstwa partykularnego: *Nos supra-*

scripti invenimus et laudavimus, si aliquis homo fuerit pro furio per castrum vel ipsius nuncium inculpatus, et stare ipsum facient et non comparebit, et si tunc profugus homo ille fuerit, tunc media pars bonorum omnium, quae profugus post se dereliquit debet dari pro castro et media pars bonorum domino haereditatis, in qua haereditate talis homo fuerit (nr. 398 z r. 1430).

Kilka zapisek podaje ceny rozmaitych towarów ustanawiane dla kupców i rzemieślników sanockich przez komisyą złożoną w części ze szlachty w części zaś z reprezentantów mieszczaństwa, pod przewodnictwem starosty (nr. 1003, 2637). Do wyświecenia stosunków ekonomicznych, zwłaszcza zaś historyi cen materyał ten ma nie małe znaczenie; ze stanowiska prawnego zapiski te mają wagę z tego względu, że zawierają na przekraczającego cennik nie tylko karę pieniężną, ale i zawieszenie w wykonywaniu handlu lub rzemiosła przez rok i sześć tygodni.

Do wyjaśnienia stosunków społecznych znajdziemy niejeden cenny szczegół. Górujące znaczenie szlachty, jéj prerogatywy przed innemi stanami, zwanemi (w jednéj z zapisek) nie jak zwykle plebejuszami lecz laikami (*laici*), występują na jaw. Gdzieniegdzie podniesioną mamy różnicę między stanowiskiem prawném szlachty posesyonatów i nieposesyonatów, natomiast t. z. zarzuty nieszlachectwa i wywody szlachectwa powtarzają się tutaj stosunkowo rzadko. Zaledwie sześć zapisek (159, 162, 704, 1984, 2066, 2666) dotyczy w całym okresie od r. 1423—1462 wywodów szlachectwa; liczba bardzo mała, jeśli porównamy ją z ilością zapisek tego rodzaju, jakie się nam z tego czasu przechowały w księgach krakowskich. Częste zetknięcie starostwa sanockiego z mieszczaństwem sanockiém, oraz zapiski najwyższego sądu prawa magdeburskiego w Sanoku dają nam możliwość wejrzéć nieco dokładniéj w stosunki mieszczaństwa, liczne wzmianki o wójtostwach i sołtystwach, pozwolą wyrobić sobie jaśniejsze wyobrażenie o rozszerzeniu organizacyi na prawie niemieckiém. Badania nad urządzeniem wsi i osad wołoskich, o których posiadamy dotąd ledwo jednę, niewyczerpującą monografią Stadnickiego, znajdują tu obfity materyał do zużytkowania, wspomniane poprzednio osobne roki w sprawach wołoskich, odbywane przed grodem, liczne wzmianki o kniaziach i kniaztwach (w jednéj z zapisek kniaztwo nazwano *sculteti*a), a nawet kilka ustępów które wyraźnie zaznaczają zasady prawa wołoskiego (*ius*, *modus Valachorum*, nr. 3039, 3255) podają wiele wskazówek do rozjaśnienia téj materyi. O kmieciach i poddanych nie brak również informacyi. Liczne zapiski wyjaśniają podległość ich jurysdykcyi patrymonialnéj lub sądów publicznych, ich prawa i wolności wobec panów (1119, 3433), ich obo-

wiązki, ciężary, czynsze, pańszczyzny i robocizny, przedstawiają stosunki prawne, dotyczące osiedlania kmieci na roli, zwalniania ich z obowiązków poddańczych wobec panów, manumisyi ze stosunku poddańczego wogóle, nie mniéj téż zasady stosowane do zbiegostwa kmieci, poszukiwania i zwrotu takowych. Ciekawe są wzmianki o *kmethones haereditarii* (3024) *possessionati* (527, 528, 3628, 3672), przedewszystkiém zaś o pewnych szczególnych kategoryach kmieci, nieznanych podówczas gdzieindziéj w Polsce, jako to: o dwornikach, kmieciach sotnych, dziesiętnikach i t. zw. kmieciach służebnych (*kmethones serviles*, *servitores*). Wszystko to są stosunki, z jakiemi podówczas spotkać się możemy tylko na Rusi. Mianowicie na uwagę zasługuje stanowisko kmieci służebnych, którzy na wzór dawniejszych naroczników polskich zdają się być przeznaczeni do służby około grodu. Kilka zapisek (2059 c., 3232) podaje bliższe daty co do wykonywania téj służby (t. z. *servitium castrense*); jedna (2681) jest ważną z tego względu, że wykazuje sposób repartycyi posług grodowych między wieśniaków poszczególnych miejscowości.

Uderzającą jest rzeczą, że w całym zbiorze nie ma nigdzie żadnéj wzmianki o żydach, podczas gdy np. zapiski krakowskie co chwila o nich wspominają. Stanowisko prawne cudzoziemców, czyli jak ich zwano „gości“, rozebrane jest bliżéj w dwóch zapiskach; jedna stwierdza (nr. 3300), że cudzoziemcy zwykli się byli oddawać w opiekę panującego (*tuitio regis*) celem zapewnienia bezpieczeństwa dla osoby swéj i majątku, druga (2304) poświadcza, że dla „gości“ otwierano księgi sądowe nawet w niedzielę i święta, kiedy sądy zwykle były zamknięte. Na pewne odrębne zasady, których się trzymano w postępowaniu w sprawach handlowych zdają się wskazywać zapiski nr. 1618 i 1619, wspominające nawet wyraźnie o osobném prawie kupieckiém (*ius mercatorum*).

Najbogatszego plonu dostarczy nasz zbiór do wyjaśnienia zasad prawa sądowego. Co do prawa *prywatnego* szereg kontraktów kupna-sprzedaży, darowizny, zamiany, cesyi i t. p. podaje szczegóły o stosunkach dotyczących tych instytucyi, układy stron przy zawieraniu tranzakcyi o nieruchomości odnoszące się do rozmaitych kwestyi ubocznych, jako to: obowiązków kmieci na dobrach osiedlonych, służby wojennéj z dóbr tych, względnie zaś opłaty t. z. wojennego (*pecunia expeditionalis*), wzajemnych służebności, czyli jak je w prawie polskiém nazywano, wolności (*libertates*) i t. p. rozświecają mnóstwo ciekawych kwestyi. Znaczna ilość zapisek dotyczących poręki (*fideiussio*), niekiedy nader szczegółowych, może pozwoli wyrobić jaśniejsze wyobrażenie o rzeczy traktowanéj dotąd po macoszemu w podręcznikach. W sferę stosunków majątkowych małżeń-

skich wkracza szereg innych zapisek, przyczém zaznaczamy, że terminologia sądów sanockich nie zawsze odróżnia dokładnie pojęcie posagu od wiana i oprawy. Ciekawą jest zapiska nr. 1308, według któréj staje układ małżeński pomiędzy rodzicami narzeczonych téj treści, że w razie zerwania tego układu strona ponosząca winę zapłacić ma karę umowną w połowie stronie drugiéj, w połowie zaś staroście. O kwestyi nieprawego pochodzenia mówi zapiska 2472. Ciekawy sposób zawierania kontraktów przez królowę wyjaśnia zapiska 1961, według któréj Zofia zaciągając pożyczkę u Mikołaja Burzyńskiego, sędziego ziemi sanockiéj, *super eo dedit manum suam domino iudici et dixit verbo suo reginali tamquam coronata regina et fideiussit sola pro se... dare et solvere.* Kilkanaście zapisek poucza o wysokości stopy procentowéj przy pożyczkach. Zabytki dawnych uroczystych lub symbolicznych czynności przy tradycyi własności znajdujemy pod nr. 102 i 1104. Pierwszy stwierdza, że niejaki Iwan Dzatko rezygnuje na rzecz Matyasza z Boisk rolę swoję w Jutryłowie w te słowa: Owa tobie rola etc. Druga zapiska opowiada o rezygnacyi jednéj trzeciéj części młyna przez dotychczasowego właściciela na rzecz swoich braci *per signum rami alias* rozgu. O czynnościach procesowych oczywiście najliczniejsze znajdujemy wiadomości, bo każda zapiska, o ile nie stwierdza jakiejś czynności jurysdykcyi niespornéj, jest tém samém poświadczeniem jednego lub więcéj aktów procesowych. Do skreślenia historyi procesu polskiego znajdujemy w wydawnictwach zapisek sądowych najobfitszy materyał. Z ciekawszych rzeczy podnosimy: zapiski o pozwach nieprawidłowych (*citatio viciosa*), liczne daty o warunkach dylacyi, o środkach dowodowych i ciężarze dowodzenia, o wsteczy, którą to instytucyą oznacza tutaj zwrot: *ad stateram*, *ad librum recipere*, nie zaś *ad corulum*, jak gdzieindziéj, podczas gdy *corulus* ma tutaj znaczenie inne, mianowicie wyraża on jakiś znak, za pomocą którego pozywano ludzi nieosiadłych i złéj sławy (por. nr. 3074 gdzie pewien szlachcic pozwany *per corulum* żali się, że go pozwano *more ribaldorum, non per litteram neque aliquo mandato sed simplici signo ribaldorum*). Zasługują na uwagę zapiski o skutkach utwierdzenia sporu (*litis contestatio*, 3195), o kondemnacyach niesłusznych, o sposobie wykonywania ciąży sądowéj, t. z. kaucyi powództwa, z którą spotykamy się tylko w zapiskach sądu teutońskiego, pod nazwą gwara, gewehre (3642).

Zabytki praktyki sądowéj grodzkiéj, w części także i ziemskiéj, podają znowu mnóstwo szczegółów do historyi prawa karnego. Zbrodnie rabunku, podpalenia, kradzieży, najazdu na dom szlachecki, zgwałcenia kobiet, fałszowania monety, powtarzają się często,

składając smutne świadectwo o poziomie moralnym ówczesnego społeczeństwa sanockiego; nie mniéj téż zbrodnia zabójstwa i stojący z nią w związku instytut pokory (*humiliatio*), do któréj wyjaśnienia znajdujemy ciekawe przyczynki (129, 182, 235, 1321). Zdaje się, iż sposób wymierzania sobie sprawiedliwości na własną rękę był wtedy praktykowany w Sanockiém na wielką skalę, lubo prawnie zakazany i sądownie ścigany. Wyrazem takich stosunków są liczne wzmianki o pogróżkach, jakie jedna strona czyni swemu nieprzyjacielowi, zastrzeżenia, które przy kontraktach niejednokrotnie czyniono, że gdyby jeden z kontrahentów został zmuszony wykonać swe zobowiązanie, nie będzie z tego powodu czynił żadnych pogróżek drugiemu i to pod oznaczoną z góry karą umowną. Wyrazem niepewnych stosunków częste wypadki uwięzienia jednego z przeciwników przez drugiego i mnóstwo zapisek, w których sąd zakłada *vadium* między stronami, na wypadek gdyby między sobą naruszyły pokój (*interpositio poenae vallatae*, *vadii*, *foedus pacis*, *tranquillitas pacis*). Do ciekawych zjawisk należą częste zobowiązania jednostek, iż poddadzą się pewnemu rozkazowi starosty lub sądu pod karą na honorze i poczciwości (*sub fide et honore*), a nawet pod karą śmierci i konfiskaty dóbr (*sub collo et bonis*). Niekiedy zdają się strony wprost na łaskę i niełaskę sądu (*deditio in gratiam*, 473, 1548, 2273, 2392, 2488, 2751). Ażeby nie uronić nic z tego przeglądu rzeczy w zbiorze naszym zawartych, wspomnijmy o tego rodzaju występkach, jak herezya (2751), świętokradztwo (2254) i wyjawienie tajemnicy na spowiedzi powierzonéj (2253, 2292); i że konkubinat z osobą niechrześciańskiego wyznania uważano za występek (168). Wśród kar za cięższe przewinienia spotykamy: wieżę, ucięcie języka, konfiskatę dóbr i karę śmierci, wykonywaną niekiedy przez rozpięcie na krzyżu (*patibulum crucis*). Raz spotykamy wzmiankę o klątwie kościelnéj (2423). Nie znajdujemy natomiast żadnego śladu tortury przy inkwizycyi winowajców.

Tak się przedstawia treść publikacyi pod względem prawnym. Zwróciliśmy nań główną uwagę dla tego, że akta sądowe są przeważnie materyałem do badań nad historyą prawa. Że obok tego znajdziemy tu liczne wskazówki do wyjaśnienia stosunków ekonomicznych, życia towarzyskiego i wogóle najrozmaitszych kierunków ówczesnéj cywilizacyi, dodawać nie potrzeba. Na jednę jeszcze okoliczność zwrócimy uwagę. Akta te pisane są od początku do końca w tym nawet okresie, kiedy na Rusi nie zaprowadzono jeszcze prawa polskiego, łaciną, co prawda, częstokroć bardzo niepoprawną; obok tego jednak podają one cały szereg wyrazów polskich, które pisarz umieszczał, jeżeli dla wyrazu jakiegoś nie mógł znaleść odpo-

wiedniego terminu łacińskiego, albo jeżeli mu chodziło o to, aby rzecz dosadniéj określić; wtedy obok wyrazu łacińskiego umieszczał odpowiedni polski, łącząc je spójnikiem *alias*. Wyrazów tych, niekiedy całych zwrotów zachowała się tutaj bardzo znaczna ilość, przyczém zaznaczamy, że używana tutaj polszczyzna zostaje jeszcze częściowo, zwłaszcza pod względem przybierania końcówek, pod wpływem języka ruskiego. Badania lingwistyczne mogą tedy nie mało skorzystać z niniejszego materyału.

Pozostaje nam jeszcze kilka słów dodać o metodzie wydawnictwa. Kwestya ta nie małą ma wagę ze względu, że od wyboru właściwéj metody zależy szybkie, uprzystępnienie materyału zawartego w dawnych księgach sądowych; że zaś wybór metody przedstawia trudności, najlepszym tego dowodem fakt, że i w teoretycznych exkursach o sposobie wydawania zapisek i w samém ich wydawaniu panuje dotąd wielka różnica zapatrywań. Przy wydawaniu zapisek średniowiecznych. postępowano dotąd, jak słusznie zauważył wydawca ksiąg krakowskich, w sposób trojaki. Helcel ogłasza zapiski sądowe sposobem eklektycznym. wybiera tylko rzeczy ważniejsze, pod jakimkolwiek względem naukowym, a pomija inne. Z tego względu zrobiono mu zarzut, że wybór taki zależéć będzie zawsze od podmiotowego zapatrywania wydawcy, że indywidualizm jego wyciśnie piętno na całéj publikacyi; specyalny kierunek studyów skłoni go do uwzględnienia tych przedewszystkiém zapisek, które się odnoszą do jego przedmiotu, a inne działy zostaną mniéj uwzględnione. Nadto zaś eklektycyzm taki prowadzi do wypuszczenia wielu zapisek, które może same w sobie mniejszą przedstawiają wagę, ale nabierają jéj w porównaniu z innemi, téj samej sprawy dotyczącemi zapiskami. Cierpi na tém t. z. ciągłość spraw procesowych, któréj znajomość do badań naukowych staje się niekiedy konieczną. Innéj metody trzymano się przy ogłoszeniu zapisek ziemi czerskiéj, wydano bowiem księgę sądową tak, jak się ona zachowała do naszych czasów nie pomijając żadnéj zapiski, umieszczając je w dosłownem brzmieniu w takim porządku, w jakim następują w księdze, uważając jak się wyraża Ulanowski. księgę sądową za jednostkę, którą podać należy w całości do użytku badaczów. Taka metoda chroni przed niedogodnościami wynikającemi z eklektycyzmu, przedstawia jednak sama pewne wady. Ogłaszać bez żadnéj zmiany księgę w jéj obecnym kształcie jest rzeczą ryzykowną, najczęściéj bowiem pojedyńcze jéj kartki są poprzerzucane, w niewłaściwe miejsca wszyte, skąd wynika zamieszanie dat i zapisek. Nadto metoda taka zmusza do dosłownego przedrukowywania wszystkich zapisek, co zwiększa ramy wydawnictwa do wielkich rozmiarów, dających się z łatwością ścieśnić, je-

żeli, w późniejszych zwłaszcza zapiskach, opuścimy zwroty formalne, powtarzające się w sposób stereotypowy. Inną drogę obrał Ulanowski w publikacyi najdawniejszych zapisek krakowskich. Czyni on różnicę między zapiskami z wieku XIV i XV. Co do pierwszych oświadcza się za tém, ażeby nie pominąć w wydawnictwie żadnéj bez wyjątku, dla niego tedy jednostką jest zapiska sama; nie drukuje on jednak każdéj w téj formie, jak się zachowała w księdze sądowéj; niektóre z nich, zwłaszcza te które zawierają formułki częściéj powtarzające się, regestuje, tj. ogłasza tylko treść ich istotną, pomijając zwroty formalne. Co do zapisek z wieku XV, sądzi wydawca, że nie możnaby ich w ten sam sposób publikować; należałoby tylko wybierać zapiski z najrozmaitszych ksiąg odnoszące się do tego samego przedmiotu i uprzystępniać je w osobnych zbiorach.

Sądzimy, że zasada postawiona przez Ulanowskiego co do zapisek z wieku XIV, jest wogóle biorąc najwłaściwszą. Unika się przez to niebezpieczeństw, jakie nastręcza eklektycyzm, a zarazem, przez regestowanie, zyskuje się możliwość objęcia większego materyału w stosunkowo szczuplejszych ramach, bez uronienia jakiegokolwiek szczegółu mogącego mieć wagę dla nauki. Sądzimy nadto, tutaj już wbrew zdaniu Ulanowskiego, że ta sama metoda zastosowaną być winna do wydawnictwa wszelkich średniowiecznych zapisek sądowych, że zatém rozciągnąć ją należy także i do całego wieku XV. Wyszukiwanie zabytków, odnoszących się do poszczególnych instytucyi prawnych ze wszystkich archiwów, wymagałoby ciągle powtarzanéj, zmudnéj pracy i nie małego nakładu, co większa, nie usunęłoby tych braków, jakie w ogóle z eklektycyzmem się łączą, bo zawsze decydującym czynnikiem w wyborze zapisek pozostałaby indywidualność wydawcy; w końcu, postępowanie takie wymagałoby powtarzania jednéj i téj saméj zapiski w rozmaitych zbiorach, jeżliby dotyczyła kilku odrębnych materyi. Wątpimy, czy tą drogą doszlibyśmy kiedy do zupełnego wyzyskania średniowiecznych ksiąg sądowych, a gdyby to było nawet możliwém, to po dojściu do tego rezultatu musielibyśmy sobie powiedzieć, że metodą proponowaną przez Ulanowskiego co do zapisek z w. XIV, można go było osiągnąć daleko mniejszym zachodem. Obawa, że publikując w całości wszystkie księgi sądowe z wieku XV musielibyśmy wydrukować blisko 200 tomów, że skutkiem tego na całkowite ujęcie materyału przyszłoby wyłożyć ogromne nakłady, i, co ważniejsza, czekać nań długo, odpada, jeżeli do wydawnictwa wprowadzimy system regestowania, który, co do zapisek z wieku XV, posiadających już częstokroć obszerne formuły, zastosować się da na znacznie większą skalę, niż co do zapisek z wieku XIV. Najlepszym tego dowodem omawiane przez

nas wydawnictwo prof. Liskego, które wszystkie zapiski trzech kategoryi ksiąg sądowych (ziemskich. grodzkich i najwyższego sądu niemieckiego) z całego okresu lat czterdziestu (1423—1462) zdołało objąć w jednym tomie. Mamy tu zapiski oddrukowane w dosłownem brzmieniu i w streszczeniu; pierwszego sposobu używa wydawca co do tych, które zachodzą w formie mało lub wcale nie powtarzającéj się. drugiego co do tych, które ujęte są w kształty stereotypowe. Liczba tych ostatnich (w wydaniu naszém oznaczonych gwiazdkami) jest bardzo znaczną; znaczną téż jest oszczędność miejsca. Zastosowując do aktów sądowych z wieku XV zasadę, wypowiedzianą przez Ulanowskiego co do zapisek z wieku XIV, różni się prof. Liske, od poprzednika swego, w niektórych szczegółach co do praktycznego przeprowadzenia rzeczy, nie wyłącza bowiem zapisek regestowanych w osobny dział, drukowany odrębnie od zapisek nieregestowanych; przeplata on jedne drugiemi, zachowując porządek przestrzegany w księgach. Zdaje nam się, że jestto droga właściwsza, niż ta, jaką obrał Ulanowski, nie gmatwa bowiem rzeczy, badacza zaś w błąd wprowadzić nie może, gdy każda zapiska streszczona odróżnioną jest osobnym znakiem. Materyał rozdzielono tu chronologicznie, tj. pod każdym rokiem wydrukowane są odnośne akta sądu ziemskiego, grodzkiego i niemieckiego, podobnie jak to uczynił Helcel. Pierwotny tekst oryginału oddaje wydawca wiernie, nie poprawiając ani polonizmów w łacinie, ani stylistycznych, niekiedy potwornych błędów. Wydawnictwo samo celuje starannośeią, a korekta jest tak znakomitą, że błąd drukarski należy do białych kruków.

Publikacya lwowska jest pierwszym zbiorem zapisek sądowych, który zaopatrzony został indeksami. Mamy ich trzy: indeks imion własnych, obejmujący wszystkie nazwiska, z wyjątkiem imion (zazwyczaj tylko chrzestnych) ludności wieśniaczéj, drugi indeks wyrazów i zwrotów polskich, trzeci wreszcie rzeczy prawnych. Ponieważ indeks ten ułożony został przez piszącego niniejszą recenzyą, przeto wstrzymujemy się od wszelkich nad nim uwag krytycznych, podajemy tylko zasady, których trzymaliśmy się przy układzie. Każda zapiska cytowaną jest pod wyrazem, odpowiadającym temu stosunkowi prawnemu o który w zapisce głównie chodzi, o ile jednak zawiera ona inne jeszcze uboczne a ważne lub ciekawe szczegóły, o tyle podaną została o nich również osobna wzmianka w indeksie. Zapiski ogólnie i niedokładnie sformułowane, nie dające się odnieść do żadnego ściśle określonego stosunku prawnego, zostały pominięte, jak nie mniéj zapiski dotyczące pewnych często powtarzających się czynności procesowych, o ile o nich nie podają jakichś ciekawszych dat. Indeks nie jest tedy bezwględnie dokładnym, bo takim nigdy

ponoś nie będzie mógł być indeks rzeczowy do zapisek sądowych, podaje jednak wszystkie ważniejsze daty dotyczące danych instytucyi prawnych. Szczegółowa dyskusya co do sposobu układania tego rodzaju spisów ustali może z czasem zasady, których się trzymać należy; będziemy się czuć szczęśliwymi, jeżeli pierwsza ta próba nasza dyskusyą taką wywołać zdoła.

Pod koniec przedmowy swojéj zapowiada wydawca, iż w najbliższym tomie Aktów grodzkich i ziemskich ogłosi najdawniejsze zapiski sądów halickich. Mamy nadzieję, że na realizacyą téj obietnicy nie długo nam czekać przyjdzie.

Dr. Oswald Balzer.

J. H. Taylor.—Zmyślność i moralność roślin.—Zarys życia i obyczajów królestwa roślinnego. Przekład z angielskiego J. K. Potockiego.—Warszawa, 1886, str. 232.

Pomimo paradoksalnego nieco tytułu, dziełko to stanowi bez wątpienia bardzo cenny nabytek dla naszéj literatury naukowéj popularnéj. „Czytelnik może uważać nagłówek téj książki i znaczną część jéj zawartości za przenośnią“—powiada autor w przedmowie, daléj jednakowoż stara się wykazać, że przenośnia podobna nie daleką może jest od rzeczywistości. Nadzwyczajna obfitość treści utrudnia streszczenie, postaramy się atoli w krótkości wyłożyć poglądy Taylor'a, odsyłając ciekawego czytelnika do samego dziełka.

We Wstępie (Rozdział I), zastanawia się Taylor nad pytaniem, o ile w roślinach, jako „istotach żyjących“, możemy przypuszczać obecność świadomości? i biorąc pod uwagę różne objawy ich życia i porównywając rośliny z najniższemi przedstawicielami królestwa zwierzęcego, którym przypisujemy mniejszy lub większy stopień świadomości,—daje ostatecznie odpowiedź twierdzącą. Pojęcie „instynkt“, które często w mowie potocznéj stosujemy i do roślin, każe w nas przypuszczać wiarę w pewną świadomość roślin. Nie tak jeszcze dawno zwierzętom, nawet wyższym, nie przyznawano świadomości i przejawy ich umysłowe podciągano pod niejasne pojęcia „instynktu“, „zmyślności“, atoli psychologia porównawcza, dzięki takim badaczom jak Lubock, Romanes i inni, wykazała, że „instynkt“, „zmyślność“ tego lub owego zwierzęcia od rozumu ludzkiego różnią się głównie ilościowo, a nie jakościowo. Autor ma nadzieję, że wkrótce może rozwinie się nowa gałęź wiedzy—„psychologia roślin“; „nie w dalekiéj może przyszłości nastręczy się sposobność wykazania, iż życie, bezwzględnie pozbawione wszelkiéj działalności *duchowéj*,—nie istnieje. iż druga jest wynikiem pierwszego; wkrótce

może dowiedzioném zostanie, że istnieje w roślinach pewien równoważnik „instynktu“ zwierząt, a mianowicie: zdolność nabycia doświadczenia osobistego i przenoszenia go na potomków dla ich pożytku—nie całkiem bezwiednie.“

Wogóle, między cechami charakteru człowieka, upodobaniami jego i wstrętami, cnotami i przywarami z jednéj strony i różnemi przejawami życia roślin—z drugiéj, dają się przeprowadzić liczne analogie, przedstawienie których na przykładach i poparcie faktami stanowi zawartość dalszych rozdziałów; biorąc ściśléj rzecz pod uwagę—jest to niejako poglądowy wykład teoryi Darwina. Dwa następne rozdziały (II i III), zatytułowane: „Nieporozumienia“ i „Przedstawienie sprawy“, podają nam wyjaśnienie istotnéj przyrody roślin i ich organów, a daléj mamy krótkie przedstawienie życia roślinnego jako całości (mianowicie zjawiska kiełkowania, wzrostu, budowa komórkowa, odżywianie się, rola korzeni i liści, przeznaczenie kwiatów).

Roz. IV, („Przebiegłość kwiatów“) przedstawia spis szczególnych środków (przystosowań się) jakiemi posługują się wyższe rośliny w celu uniknięcia nieprzyjaciół, tudzież dla zapewnienia sobie wzrostu i upowszechnienia gatunków; „rośliny są tak dobrze samolubne i chciwe jak zwierzęta“, a potwierdzenie tego zdania możemy znaleźć w stosunku względem siebie roślin w lasach i na polach, między roślinami wijącemi się i pnącemi, lub uzbrojonemi kolcami, wąsami itd.

W rozdziałach (V, VI), zatytułowanych „Dyplomacya kwiatów“ znajdzie czytelnik barwny lecz dokładny opis ciekawych sposobów, używanych przez rośliny w celu wytworzenia potomstwa, ochrony i zapewnienia mu egzystencyi; do takich środków należy rozmnażanie się roślin bezpłciowe (bulwami, pączkami, pędami itp.), a jeszcze więcéj krzyżowanie się roślin, które ze swéj strony warunkuje najrozmaitsze kształty i barwy kwiatów w celu przywabienia owadów, jako głównych pośredników krzyżowania.

Przez „Grę w chowanego“ (Roz. VII) rozumie autor sposoby praktykowane przez rośliny w celu rozsiewania nasion i przenoszenia ich na znaczne odległości przy pomocy wiatru, mechanicznych przystosowań, lub za pośrednictwem ptaków i zwierząt ssących. Chociaż więc zwierzęta często pomagają roślinom, w osiągnięciu ich celów, z drugiéj atoli strony mogą szkodzić, pożerając ich liście, gałązki i owoce; ale nie wszystkie rośliny poddają się biernie swemu losowi, liczne z nich w całym szeregu pokoleń, zdołały wyrobić w sobie pewne środki obronne przeciwko podobnym napaściom (Roz. VIII „Obrona nie zaczepka“); do środków takich musimy zaliczyć wydzielanie substancyi trujących lub odstraszających (np. tru-

cizny, gorycze, kwasy i t. p.) przez organa najbardziéj wystawione na niebezpieczeństwo lub szczególniéj ważne dla roślin. Inne znów rośliny unikają wzroku nieprzyjaciół, czołgając się po ziemi lub maskując swe organa (tak zwane mimiery owoców i nasion), jeszcze inne pokrywają się lepem, gęstemi włoskami (przeciwko mrówkom i mszycom), albo kolcami i cierniami (przeciwko ślimakom). — Nie obcą jest roślinom zasada, że masa stanowi siłę, za dowód czego mogą służyć tak zwane rośliny towarzyskie, np. goryczki alpejskie, sasanki, które często biorą nad innemi przewagę w walce o byt (zagłuszają je).

Współdziałalność (Rozd. IX) występuje nietylko między pojedyńczemi roślinami, ale nawet między organami jednéj i tejże saméj rośliny, jak to widzimy np. w kwiatostanach roślin baldaszkowatych lub złożonych, w których pojedyńcze drobne kwiatuszki grupując się jedne koło drugich, tém pewniéj mogą zwrócić na się uwagę owadów i liczyć na zapłodnienie; w tychże kwiatostanach skrajne kwiatki często bardzo dla zapewnienia powodzenia innym, zmieniają się odpowiednio robiąc ofiarę ze swéj własnéj płodności—nie można chyba nazwać tego inaczéj jak altruizmem kwiatów. Mówiąc o współdziałalności roślin, należałoby wspomnieć, czego jednakże autor nie uczynił, o porostach, przedstawiających współkę grzyba z wodorostem, współkę, w któréj jednemu i drugiemu dobrze się dzieje, grzyb bowiem ciągnie pokarm mineralny i wilgoć z podścieliska, a wodorost jako posiadający barwnik zielony (chlorofil) asymiluje węgiel z powietrza.

Przezornosć i rozstropność ze względu na przyszłość — te wielkie zalety społeczeństwa ludzkiego, w wysokim stopniu bywają praktykowane przez rośliny (Rozd. X. Społeczne i państwowe gospodarstwo roślin); mamy tu na myśli zaoszczędzanie i nagromadzanie materyału odżywczego w nasionach, pączkach, bulwach, korzeniach i t. p. organach—wszystko to ma na celu zachowanie gatunku, uchronienie go od zagłady. Niemniéj wyraźnie występuje u wielu roślin zasada rozumnéj oszczędności, np. rośliny zapładniane przy udziale wiatru mają często kwiaty pozbawione korony i kielicha, albo zamiast tych części znajduje się jedna tylko okrywa—okwiat; licznych przykładów podobnéj polityki ekonomicznéj dostarcza rodzina jaskrów. Lecz jak w społeczeństwie ludzkiém znajdują się osobniki, które wskutek własnéj niezaradności lub innych jakichś przyczyn dochodzą do stanu ubóstwa i bankructwa, podobnież i w królestwie roślinném znajdujemy nędzarzy i bankrutów (Rozd. XI), do ich kategoryi zalicza autor rośliny „uwstecznione“ i „zwyrodniałe“, które w walce o byt z innemi zatrzymały się w wydoskonalaniu swych na-

rządów. Doskonały przykład „zamożności“ i „ubóstwa“ przedstawia rodzina różowatych, między któremi znajdujemy tak niepodobne do siebie rośliny, jak jabłoń i drobny gwiazdosz (*Alchemilla*). Samozapładnianie możemy również uważać za objaw ubóstwa. Nasze paprocie znów są to bankruci w porównaniu z drzewiastemi paprociami stref podzwrotnikowych.

Liczni z tych nędzarzy roślinnych nie chcąc ostatecznie przepaść, uciekli się do rabunku i morderstwa (Rozd. XII); są to rośliny pasorzytne, które odpowiednio uprościły organizacyą swoję i zaczęły żyć kosztem innych. Najwięcéj przykładów czerpie autor z flory podzwrotnikowéj, chociaż nie brakuje ich i między roślinami europejskiemi (jemioła, gązewnik, kanianka i in.). Są jednakże i takie rośliny, które może od początku swego istnienia nie znały innego sposobu życia jak tylko kosztem innych,—mowa tu o licznych a ciekawych ze swych zwyczajów grzybkach pasorzytnych, które autor traktuje po macoszemu, albowiem przytoczył tylko krótki i niewiele pouczający ustęp z dzieła znanego mykologa Cooke'a.

W Rozd. XIII („Odwrotna strona medalu“) zaznajamia nas autor z ciekawą grupą roślin mięsożernych, opisując po kolei dość szczegółowo obyczaje i przystosowania, mające na celu chwytanie i przetrawianie owadów — rosiczki (*Drosera*), muchołówki (*Dionea*), dzbanecznika (*Nepeuthes*), tłustosza (*Pinguicula*), pływacza (*Utricularia*) i in. Szkoda, że pominięto milczeniem nowe odkrycie Sims'a, tyczące roślin mięsożernych, mianowicie, że pęcherzyki trawiące pływacza zdolne są chwytać i przyswajać nie tylko drobne raczki i poczwarki owadów, ale nawet i mniejsze rybki.

Nakoniec Rozd. XIV (Geograficzne upowszechnienie roślin) wyjaśnia, z punktu geologicznego, rozmieszczenie roślin na kuli ziemskiéj, wymagając jednakże znajomości pewnych szczegółów z historyi naszego planety, nie zupełnie więc może być zrozumiany przez przeciętnego czytelnika, tembardziéj, że autor zwraca głównie uwagę na swoję ojczyznę.

Taka jest w najogólniejszym zarysie treść dziełka; większość przytoczonych w niém faktów i oryginalnych zapatrywań Taylor'a pominęliśmy milczeniem, lecz mamy niepłonną nadzieję, że niejeden z czytelników ciekaw będzie zapoznać się z niemi.

Młodzi czytelnicy, którzy posiadają już pewne ogólne wiadomości z botaniki, przeczytawszy uważnie „Zmyślność i moralność roślin“ muszą niewątpliwie, nie usłyszawszy prawie ani razu imienia Darwina, przyjść sami przez się do przekonania, że to, co nazywamy gatunkiem, nie przedstawia nic stałego ale może się zmieniać, doskonalić lub wyradzać pod wpływem różnorodnych czynników zewnętrznych.

Co się tycze samego wydania polskiego, to nie wiele mu można zarzucić, chyba nie dość dokładną korektę i nędzne drzeworyty; np. na rys. 21 szparki oddechowe przedstawiono zupełnie fałszywie; na str. 43 autor jako przykład rośliny pnącéj się przy pomocy wąsów wspomina „dzikie wino“ (*Ampelopsis hederacea*), tymczasem na odpowiednim rys. 8 przedstawiono gałązkę winorośli (*Vitis vinifera*); nakoniec drzeworyty 21 do 25 umieszczone zostały nie na odpowiednich stronicach. Zresztą, są to wszystko usterki mało-znaczące, a tłómaczowi należy się podzięka za przyswojenie dziełka Taylor'a popularnéj literaturze polskiéj. *D.*

= **Życie dworskie Kochanowskiego**. (*Przyczynek do biografii poety*) *napisał Stanisław Windakiewicz*. (*Krak. 1886, str. 43*). — Jest-to już drugi zbiór szczegółów rozjaśniających już-to wprost już bezpośrednio życie największego naszego poety w wieku XVI, a zebranych przez autora z różnych archiwów. Pierwszy, pomieszczony w „Pracach filologicznych“, podawał wiadomości o rodzinie Kochanowskich, obecny przedstawia pobyt Jana na dworze królewskim w roku 1562 i 1563. A przedewszystkiém bardzo zajmujące czerpie z akt krakowskich dane co do stanu dworzan wielkopańskich i królewskich wogóle, uwydatniając między innemi i tę okoliczność, że nawet u bogatych mieszczan krakowskich niejeden ziemianin XVI stulecia znajdował przytułek jako sługa. Materyalny byt dworzan nie może być poczytywany za świetny; szlachetka, nie zawsze mogąc być pewny dłuższego pobytu na jedném miejscu, nie zaopatrywał się bardzo w sprzęty, ale chąc się pokazać ludziom przyzwoicie lub nawet okazale, dbał wielce o zasób ubrania. Konia własnego rzadko posiadał dworzanin, natomiast rząd nań, siodło „wołoskie w mosiądz oprawne“ prawie każdy, Kochanowski miał białogrzywka Glinkę. Zwykła zabawa dworzan miała charakter zebrań tanecznych, które (za świadectwem Modrzewskiego) urządzała młodzież wespół z żonatymi, zapraszając mężatki i panienki, przychodzące często bez mężów, rodziców, a nawet służebnic. Te i tym podobne szczegóły o życiu dworzan podawszy wogóle, kreśli następnie zawsze z pierwszych źródeł branemi rysami dwór ks. Piotra Porębskiego, kanonika krakowskiego; mówi o autorze zaginionych „skotopasek“ Stanisławie Porębskim, o Gabryelu z Makowiska (Papaverinus) pisującym epigramata treści religijnéj, obyczajowéj i pochwalnéj. Wspomina o Feliksie Kosie, służebnym Marcina Izdbieńskiego, o tym Kosie, którego Kochanowski umieścił we Fraszkach. — Przechodzi potém autor do przedstawienia szczegółów życia na dworze Filipa Padniewskiego,

wstępującego w marcu r. 1562 na biskupstwo krakowskie. Z licznego dworu wybitnieją szczególniéj: Krajewski, Patrycy, Paweł Stempowski, lekarz Jakób Montan. Ponieważ w drugiéj połowie 1562 Kochanowski wszedł do służby wojewody bełskiego Firleja—opisuje więc autor dworzan firlejowskich, a mianowicie Jędrzeja Trzycieskiego, Stanisława Meglewskiego i rozszerza się nad domem Bonarów i Betmanów, gdyż żona Firleja Zofia Bonarówna była córką Betmanównéj; usprawiedliwia się zaś ten epizod tém, że Kochanowski w sprawie wywiezienia skarbów po Janie Bonarze brał udział, jak to autor udowadnia odszukanym przez siebie dokumentem. Mówi wreszcie p. W. o znajomych i przyjaciołach Kochanowskiego z tego czasu: Mikołaju Trzebuchowskim, kasztelanie gnieźnieńskim, o Jędrzeju Bzickim, o Annie Pileckiéj i jéj synu Krzysztofie Kobyleńskim, autorze łacińskich epigramatów wydanych r. 1558, a wreszcie o mieszczanach krakowskich: Janie i Jurku Glacu, jak nie mniéj o ich rodzinie, oraz o Stanisławie Fogelwedrze. Autor przypuszcza, że razem z Firlejem zjechał na sejm do Warszawy w końcu r. 1563, kiedy Kochanowski „Satyra“ swego napisał. Wierszowi temu poruszającemu te same kwestye i w téj saméj myśli, co podkanclerzy Myszkowski, przypisuje autor zmianę w położeniu poety. Rzuca on służbę u Firleja, d. 7 lutego 1564 dostaje od Myszkowskiego kanonią poznańską, a przed 3 kwietnia tegoż roku otrzymuje godność sekretarza królewskiego. Na wprowadzeniu poety do kancelaryi Zygmunta Augusta kończy p. Windakiewicz swą wielce interesującą pracę.

= **Maryan Gawalewicz. Figiel Benwenuta**, *komedya w jednym akcie. Warsz. 1886 (str. 78).* Niewłaściwie a więc niepotrzebnie nazwał autor utwór swój komedyą i tym sposobem powiększył wymagania krytyki. Nie chcemy atoli stosować wielkiéj skali komizmu do téj błahostki dyalogowanéj, którą p. G. wykonał bardzo zręcznie, a niekiedy nawet wykwintnie. Wśród ładnie zarysowanéj sceny z życia artystycznego we Włoszech z początków XVI stulecia, sceny, któraby może wydała się prawdziwszą, gdyby do dowcipnych przekomarzań się artystów z kobietami dodał trochę więcéj namiętności i trochę więcéj siły, pojawia się Benvenuto Cellini z chłopcem przebranym za kobietę i tym figlem oszukuje całe towarzystwo; wszyscy artyści zaczynają się zalecać do pięknéj nieznajoméj, naznaczają jéj schadzki itp. a Benvenuto śmiejąc się w duchu z szału spółtowarzyszy, dopełnia istotnego celu swoich odwiedzin, karci swą kochankę i godzi się z nią napowrót. Ale i figlarz ten dowcipny może kiedyś będzie pokonany własną swą bronią, bo oto ów chłopiec przywdziawszy strój płci swéj właściwy, już zdążył rozmarzyć kochankę Benvenuta

i o mało do pocałowania siebie przez nią nie skłonił; będzie miał Cellini z tym rywalem niejedno przejście: tymczasem jeszcze wszystko kończy się w zgodzie i wesołości upojenia pełnéj. Pomysł, jak widzimy, dość błahy; to téż cała wartość tego dyalogu leży w jego staranném i niekiedy pełném świeżości wykonaniu. W druku razi uporczywie przez całą sztukę przeprowadzona Pent*a*zilea zamiast Pent*e*zylea.

= **Jan Zacharyasiewicz. W dole i na wyżynach,** *nowele i powiastki*, (Warsz. 1886, str. 248). W czterech utworach zawartych w tym zbiorze znany dobrze talent naszego powieściarza obrabia temata, które przeważnie żartobliwemi, poczęści karykaturalnemi nazwać można; nie idzie bowiem autorowi o odsłonięcie jakichś głębin duszy ludzkiéj, ani téż o ukazanie nam ludzi ze wszech stron, lecz jedynie o wyzyskanie ich słabostek w celu rośmieszenia czytelnika. Najobszerniejsze opowiadanie, jakie tu znajdujemy, „Swaty ekscelencyi“ są szeregiem scen komicznych i to zazwyczaj prawdziwie komicznych, ale powiedzieć niepodobna, żeby były wiernym z życia obrazkiem; nie,—autor zaobserwował wprawdzie fakta podobne do tych, o jakich mówi (zależność myśli i postanowień od wpływu możnych i wpływowych osób, oraz częste zmiany gabinetu w Austryi), ale je skupił w takiéj ilości i do jednego indywiduum zastosował, że musiał popaść w karykaturę. Całość czyta się z przyjemnością, ale po przeczytaniu można raczéj mówić o zręcznym koncepcie autora niż o prawdzie charakterów. Podobnież i drobniejsze farsy („Różne drogi“, „Wolny wybór“) mają dużo rysów prawdziwych, tylko że te rysy zbyt dowolnie powieściopisarz kombinuje, nie oglądając się bardzo na warunki rzeczywistości. Obrazek „Kozica“ z życia górali tatrzańskich ma nastrój poważniejszy; wadą zaś jego jest, iż myśli i uczucia górali autor przyobleka w szatę zanadto literacką.

= **Szach i Mat** (*Karyerowicz*), *komedya w czterech aktach przez Józefa Blizińskiego* (*Wydawnictwo Echa Muzycznego, Teatralnego i Artystycznego, Warsz. 1886, str. 216*). Autor „Pana Damazego,“ jak każdy zresztą pisarz o indywidualności wyrazistéj, każdy utwór zaznacza właściwą sobie cechą, którą najlepiéj odtwarza i któréj brak dziwiłby nas bardzo. I w najnowszéj téż jego komedyi znajdujemy tę cechę w doborze osób do niéj wchodzących. Znana to nam dobrze z dawniejszych sztuk p. Blizińskiego szlachta wiejska, po większéj części nieukształcona, grosza chciwa, kopiąca pod sobą wzajem dołki, śmieszna, ale w gruncie rzeczy poczciwa. Takich Byłkiewiczów, Truńskich, Hordakowskich i ich połowice jakbyśmy żywych widzieli, lubo dodać musimy, że widywaliśmy ich już dosyć często. Do pewnego stopnia nową figurą jest p. Grdyńska, która uroiła sobie, że

zmarły jéj krewny podkochiwał się w niéj niegdyś, rości sobie jakieś pretensye do spadku po nim i dla dowiedzenia tych pretensyi przedstawia paczkę listów, najobojętniejszych w świecie, w których takie wyrażenia jak „kochana kuzynko“ i t. p. usiłuje interpretować w znaczeniu gorącego dla niéj afektu. Doskonałe też są w téj komedyi wyrostki szlacheckie, łobuzy wierutne: Maciuś, Maksio, Zisio, doskonała niby trusia, panienka 15-letnia Lisia, któréj bardzo zasmakowały rozmowy i całusy Maciusia. Niezła też jest postać starego wygi, notaryusza Szeligi, który chcąc wybrnąć z trudnego położenia, w jakiém postawił testament zmarłego z powodu zawartych w nim warunków, podsuwa maleńką plotkę, ażeby zbić z tropu gryzących się wzajem krewniaków a tymczasem plan swój dawny doprowadzić do skutku. Wszystkie te postaci, nie wyjmując i starego sługi Wystalskiego, posługującego się w odpowiedziach przysłowiami, otacza autor pełną pobłażliwości sympatyą; wystawia ich śmiesznostki lub śmieszności, ale pragnie wlać w widza to przekonanie, że to dobrzy ludziska. Natomiast karyerowicza Alfreda Krzyskiego, zrujnowane hrabiątko, które posagiem panny chciało podreperować swoje zachwiane w świecie stanowisko, a nie wiedząc z powodu zawikłania sprawy, kto w rezultacie spadek otrzyma, lawiruje wśród szkopułów wyraźnych oświadczyn, autor stawia pod pręgierzem i skazuje go w końcu na zostanie zamiast zięciem--rezydentem tylko, cierpianym z łaski. Dwoje kochanków dodatnich: Zenobia, córka Hordakowskiego i Zenon Olicki, są jak wszyscy kochankowie dość konwencyonalnie, szablonowo skreśleni. Najwięcéj ruchu dramatycznego i dowcipu jest w 1-ch dwu aktach; późniejsze już nie sprawiają tego wrażenia; intryga, bardzo szczupła, wydaje się zanadto przewleczoną. Werwa komizmu głównie w sytuacyach nie zaś dowcipnych zwrotach się uwydatnia.

= **Hajota. Co życie dało**, *nowele i obrazki. Z portretem autorki.* (*Warsz. Nakł. Teod. Paprockiego. 1886, str. 336*). — Samym napisem nowego zbioru swoich nowel, a raczéj opowiadań i obrazków, autorka chciała niejako odpowiedzieć na zarzut krytyki stosowany do dawniejszych jéj utworów, że nie są brane wprost z życia i bezpośredniéj obserwacyi, ale z nasłychu, oczytania i rozmysłu. Hajota uprzedza czytelnika z góry, że to, co mu przedstawia, wzięła z życia. Przez życie atoli nie rozumie ona wcale szeregu zewnętrznych jedynie wypadków, ale także i to, co się w myśli odbywa tylko, na jaw, na pokaz nie wydobywając się nigdy. I dlatego obok obrazków, których treścią jest rzeczywistość zewnętrzna, podaje także kilka „fantazyj,“ przedstawiających sprawy czysto duchowe. Fantazye te mogą być pewną miarą zasobu wyobraźni autorki i charakterystyką jéj

upodobań umysłowych. Nie są to ani dzikie, ani marzycielsko-łagodne obrazy, ale dobrze od dawien dawna znane i, powiedzmy prawdę, strasznie przestarzałe alegorye. Za czasów Klementyny Tańskiéj takie alegorye były w modzie; mężczyźni i kobiety lubowali się w nich, uważając je za rzecz bardzo ładną z jednéj strony, a bardzo nauczającą z drugiéj. Dziś potrzeba niepospolitego talentu słowa i niepowszedniego bogactwa myśli, ażeby formę przebrzmiałą uczynić znowu żywotną. Styl Hajoty jest poprawny, ale mdły, wyobraźnia jéj nie posiada zdolności wyższego lotu, a myśli nie odznaczają się świeżością; ztąd jéj fantazye o tancerce-nadziei, o zemście — za pośrednictwem świadczenia dobrodziejstw kochankowi opuszczającemu dziewicę, o zaklętem źródle rozkoszy, obudzającém niczém nieugaszone pragnienie i doprowadzającém do samobójstwa, o szarém bóstwie zapomnienia, o uosobionym nowym roku plotącym komunały, ani zająć formą, ani obudzić żywego ruchu w umyśle nie są zdolne. W ostatniéj swojéj fantazyi wypowiedziała autorka pogląd na powieść. Nie lubiąc „naturalizmu z realizmem“ dlatego, że odzierają powieść do naga i zmuszają takie młode istoty jak uosobiony „nowy rok,“ do rumienienia się po uszy; nie lubiąc też sentymentalizmu dlatego, że jego „różowo-błękitne obsłonki“ są nadzwyczaj mgliste i drą się prędko, Hajota utrzymuje, że „Psychologia, trzymając za ręce Dowcip i Prawdziwe uczucie,“ najlepiéjby się mogła z tym rodzajem twórczości uparać. Przeciwko temu określeniu środków, któremi powieściopisarz posługiwać się winien, to tylko nadmienić można, że do wyrazu Psychologia. dodać należało doświadczalna, opierająca się na dokładnéj obserwacyi. A jeżeliby autorka ten dodatek przyjęła i jeżeliby chciała zrozumiéć właściwe znaczenie metody realistycznéj, która przecież nagich nagimi, a ubranych ubranymi przedstawiać musi, nie mogąc indyanina żyjącego w swoich lasach przedstawiać w europejskim stroju balowym; toby musiała cofnąć wyrazy potępienia, na realizm rzucone, i możeby coś skorzystała na rzecz własnych kreacyi, branych, jak powiada, z życia rzeczywistego. Możeby wówczas zamiast wypisywać 116 stronic „Z pamiętników krótkowidza,“ ograniczyła się do jakich kilkunastu kartek, wiedząc, iż przeciąganie tematu opartego na mało prawdopodobnym pomyśle (że się żadne binokle nie mogły utrzymać na nosie owego nieszczęśliwego krótkowidza, który okularów nosić nie mógł...) tylko bardzo dowcipnym ludziom się udaje. Możeby także zamiast kreślenia hulaszczych scen w *cabinets particuliers* („Pamiętasz“), których zapewne nie zna, wspomniała o tém jako o rzeczy słyszanéj tylko. Możeby wtedy i katastrofa, która Bronisię, najzacniejszą w świecie dziewczynę, odwiedzającą ukochanego przy śmierci, robi „zgubioną“ w opinii

ogółu sądzącego z pozoru, była lepiéj umotywowaną, niż przez jakieś dziwne zapomnienie, połączone z dziwną przezornością, kiedy oddala się z domu, gdzie była nauczycielką, rzadko uczęszczaném wyjściem i bierze klucz z sobą, lubo daleko było prościéj wyjść głównemi drzwiami i oznajmić pani domu, że dzieci jéj opiece powierzone musi pozostawić bez nadzoru... Jak wielu autorów dawniéj, tak Hajota nanowo wystawiła w obrazku „Tylko słowa“ zabójcze działanie niewyrozumiałéj i szyderskiéj krytyki na talent twórczy w zarodku. Obrazek to jeden z najudatniejszych; daje nam poznać człowieka niegdyś utalentowanego, następnie upadłego, który jednak nawet w upadku ma jeszcze jakąś odrobinę szlachetnéj wstydliwości, woli napisać rymowany anons o restauracyi litewskiéj, niż posłać do bogacza prośbę o jałmużnę. Nie wątpimy, że w młodości krytyka zjadliwa, zarzucająca mu, że nie czuje tego, co pisze, mogła go przygnębić i jako dla człowieka mamy dla niego szczere i głębokie spółczucie; ale zarazem dodać musimy, że był to widocznie talent słaby, że był to charakter miękki, rozbujany marzeniami romantycznemi; wobec talentu prawdziwego i charakteru dzielnego krytyka jest bezsilną; przebije się on zawsze; a cierpienia nie są przywilejem zwykłych jedynie ludzi.

= **Pisma Narcyzy Żmichowskiéj** (*Gabryelli*) *z życiorysem autorki skreślonym przez Dra Piotra Chmielowskiego. Wydanie uskutecznione staraniem Redakcyi Bluszczu* (*Warsz. Nakł. M. Glücksberga. 1885—1886, tomów 5*). — Nowe to wydanie utworów niezapomnianéj, gienialnéj poetki jest o wiele zupełniejsze od pierwszéj zbiorowéj edycyi z roku 1861; nie tylko bowiem mieści pisma po r. 1861 powstałe, ale także uzupełnienia do drukowanych poprzednio. Znalazły się mianowicie w papierach Gabryelli własnoręczne przez nią spisane dalsze ciągi lub odmiany do dwu pięknych powieści: „Książka pamiątek“ i „Biała róża.“ Są-to wprawdzie urywki tylko, nie zaokrąglające bynajmniéj owych powieści, ale jako pomniki myśli i uczuć Gabryelli, wykonane właściwym jéj stylem, zasługują na rozwagę i słusznie zostały wcielone do tomu III (str. 98—123) i do tomu V (str. 1—59); szkoda tylko, że pierwszy z tych urywków w niewłaściwe miejsce został włożony; powinien był być wydrukowanym przed słowami: „Na tych wyrazach przerwało się“ i t. d. Waryant zaś „Białéj Róży“ powinien się był znaleść w tomie IV. W tomie V-tym oprócz wspomnianego waryantu „Białéj Róży“, niewłaściwie „dokończeniem“ przezwanego, znajduje się fragment powieści: „Kasia i Marynka“ znany czytelnikom *Ateneum*, daléj utwór przedśmiertny: „Czy to powieść“, poprzedzony szkicem planu ogólnego, z którego cząstka tylko została wykonaną, oraz dopełniony dopiskami, jakie się znalazły w egzemplarzu przeglądanym przez autorkę. W końcu pomieszczo-

no kilka rozpraw treści pedagogicznéj, jako to „O wychowaniu początkowém“ „Słowo przedwstępne do dzieł dydaktycznych Hofmanowéj“, „Dla jednéj mojéj znajoméj i bardzo wielu nieznajomych. „rzecz o służących.“ Kto zna piękność i myślową doniosłość utworów Gabryelli, ten z pewnością życzyć będzie jaknajszerszego rozpowszechnienia téj nowéj, zbiorowéj ich edycyi, z któréj można się zapoznać z całością twórczéj działalności autorki, zasługującéj na to, ażeby jéj dzieła znalazły się w rękach wszystkich, co mają ochotę do wykształcenia wyższego. „Listy Narcyzy Żmichowskiéj do rodziny i przyjaciół“, wydane r. 1885 w dwu tomach w Krakowie stanowić mogą wyborny komentarz do dzieł poetki. Na nich i na notatkach, udzielonych autorowi przez panią J. B. oparty jest życiorys, skreślony przez Piotra Chmielowskiego i dołączony do pierwszego tomu nowéj edycyi „Pism Gabryelli.“

NEKROLOGIA.

† **Jan Dobrzański** urodzony w roku 1820, odbywszy nauki we Lwowie, rzucił się w młodym wieku do publicystyki i był jednym z najgorliwszych i najzręczniejszych budzicieli ruchu umysłowego i patryotycznego w Galicyi wschodniéj. Jako redaktor „Dziennika mód paryskich“ od roku 1846 skupia on w tym jedynym naówczas organie wszystkie siły literackie téj części Galicyi. Jako agitator wystąpił w pamiętnym r. 1848; wtedy redagował gazetę polityczną p. n. „Rada Narodowa.“ W dobie reakcyi znowu się zwrócił do czasopiśmiennictwa literackiego a wydawane przezeń „Nowiny“ (1854 do 1856), a szczególniéj „Dziennik literacki“ były wybornemi na swój czas organami, które umiał ożywić umiejętném dobieraniem sił pisarskich i wynajdywaniu tematów będących na dobie. Od r. 1862 do 1885 redagował bardzo rozpowszechnioną i wpływową „Gazetę Narodową“, a jako agitator polityczny miał masy za sobą; bez niego nie obyła się żadna ważniejsza sprawa. Pisał dużo krytycznych i publicystycznych artykułów, w których nie tyle był utalentowanym literatem. ile nader zręcznym publicystą. I utwory jego beletrystyczne: „W kraju i za morzem“, „Ciotunia“ tenże mają charakter. Przez długie lata był kierownikiem teatru lwowskiego. Od roku usunął się od publicystyki. Umarł we Lwowie 31 maja.

† **Leopold Sztyrmer** urodził się 30 kwietnia 1809 r. w Płońsku, gdzie stał wówczas jeden z pułków księstwa warszawskiego, w którym ojciec jego był lekarzem. Nauki pobierał najprzód w Siedlcach, gdzie się poznał z młodszym o lat trzy Kraszewskim; potém w korpusie kadetów w Kaliszu. Przybył następnie do Warszawy i kształ-

cił się tu na inżyniera.. W r. 1834 wstąpił jako porucznik artyleryi do akademii wojskowéj w Petersburgu. Skończywszy ją, szybko się posuwał po stopniach godności; został pułkownikiem sztabu jeneralnego, naczelnikiem wydziału w departamencie osad wojskowych i zarządzającym kancelaryą akademii wojskowéj petersburskiéj. W dziedzinie literatury wystąpił po raz pierwszy r. 1840 w noworoczniku wydawanym przez Barszczewskiego w Petersburgu p. n. „Niezabudka.“ W pierwszym właśnie tomiku tego wydawnictwa pojawił się szkic zatytułowany: „Pantofel, historya mojego kuzyna“; podpisany on był imieniem żony Eleonory (z Janowskich). Ten pseudonim kobiecy, starannie i stale zachowywany, oraz dzielność spostrzeżeń i jędrność stylu zwróciły odrazu uwagę krytyki i ogółu na nowego pisarza. Odtąd rok-rocznie w „Niezabudce“ a potém i w „Roczniku literackim“ ukazywały się szkice i obrazki z silnym podkładem satyrycznym a z dążnością religijną. Zebrane razem utworzyły dwa tomy „Powieści nieboszczyka Pantofla“ (Wilno 1844, drugie wydanie w Petersburgu, 1860). Wszedłszy do redakcyi „Tygodnika Petersburskiego“ należał do t. z. pentarchii konserwatywnéj (Przecławski, Rzewuski, Hołowiński, Grabowski, Sztyrmer), która przez lat kilka trzymając się siebie spójnie, stanowiła nielada potęgę na Litwie i Rusi. Tu odtąd pomieszczał swoje powieści mniejsze i większe („Czarne oczy“ 1844, „Kataleptyk“ 1846, „Światło i cienie“ 1849); tu pod pseudonimem Gerwazego Bomby pisywał artykuły krytyczne, druzgocące ówczesnych pismaków i pisarzy, między innymi i Kraszewskiego. Po r. 1850 zamilkł na lat dziesięć, gdyż odezwał się dopiero 1859 pisząc swoję „Noc bezsenną.“ Ale był-to chwilowy tylko powrót na arenę literacką; odtąd nie spotykamy się w literaturze z jego nazwiskiem. Umarł 4 czerwca r. b.

† **Anna Libera Krakowianka**, córka nauczyciela wiejskiego, sama się ukształciła i to na „Pszczółce krakowskiéj“ wychodzącéj od r. 1819—22, a więc w duchu klasycznym; ideałem poety był dla niéj Karpiński. Zajmowała się robotami ręcznemi, któremi utrzymywała siebie i swą starą matkę; w chwilach wolnych pisała poezye, których pierwszy zbiorek ukazał się w Krakowie 1842; w cztery lata potém wyszedł drugi „Nowe poezye“, a w 1849 w Paryżu „Poezye narodowe.“ Równocześnie pisała opowiadania prozą dla ludu; r. 1845 „Przygoda z czartem Janka Magury“, „Dobra pani i dobra sługa.“ Po r. 1850 na czas jakiś drukować przestała. Dopiero 1859 wyszła jéj sielanka wierszem „Wiejska rodzina“, następnie w r. 1867 dramat trzyaktowy „Jadwiga Królowa Polska“, a w 1879 poemat w 7-miu pieśniach p. t. „Apostata“. Umarła w wieku sędziwym w połowie czerwca r. b. w Krakowie.

KORESPONDENCYA.

Ogłoszone w ostatnim zesz. „Ateneum“ pismo prof. dr. Al. Raciborskiego zniewala mnie do następującego objaśnienia. Upoważnieni przez Autora do zmian stylistycznych, wydrukowaliśmy w zesz. czerwcowym Bibl. Warsz. 1885 r. artykuł jego: „Przedmiot i podział filozofii“ pod jaśniejszym dla ogółu tytułem: „Nauka filozofii oraz rozkład systematyczny jéj gałęzi pojedyńczych“, przy wprowadzeniu w tekscie kilku drobniejszych poprawek językowych. Prof. R. przesłał nam pod dn. 5 Lipca komentarz swojéj redakcyi, przy którym kładzie te zmiany na karb „korektora“ i dodaje ze względu na drugi artykuł, którego początek już w zesz. lipcowym był wydrukowany, te słowa: „pozostawiając redakcyi przeprowadzenie w piśmie przez nią wydawaném jednostajnéj pisowni i jednostajnych zasad gramatycznych, nie pozbawiam się prawa żądania, aby zresztą prace moje nie uległy żadnéj choćby najmniejszéj zmianie. Tym razem jednak *nie występuję w obronie* powyższego przysługującego mi prawa, chcę już tylko sprostować niektóre myśli mojego wykładu“ i t. d. W odpowiedzi d. 18-go lipca 1885 staraliśmy się usprawiedliwić postąpienie nasze, dowodząc, że różnica naszéj redakcyi nie dotyczy rzeczy, ale stylu i czystości języka, trudność zaś porozumienia się z redakcyą Autora leży w tém, że sz. profesor tłómaczy wyrazy obce leksykalnie tylko, z czego wynikło wysłowienie wymuszone, naciągane, my zaś piszemy po polsku to, cośmy w umyśle naszym przetrawili. Ograniczenie nas do prawa zmian w granicach „jednostajnéj pisowni“ i jednostajnych „zasad gramatycznych“ uważamy za przedmiot usuwający się z pod wszelkiego rozbioru naukowego, bo pomijając kwestyą „pisowni“, zwracaliśmy uwagę sz. profesora na to, że „zasady gramatyczne“ są wynikiem oraz ostatecznym wyrazem historycznego rozwoju języka i stylu, które równie redakcye jak i autorowie nawet dzieł filozoficznych święcie szanować powinni. Nie odebrawszy na te uwagi rychléj odpowiedzi, mniemaliśmy, że Autor artykułu „Pojęcie przyczynowości i t. d.“ pogląd ten podzielił, zwłaszcza, żeśmy mu obszernie dowodzili, że niepodobna drukować artykulu z towarzyszącym mu komentarzem stylistycznym i językowym ze strony redakcyi. Po wydrukowaniu całości tego artykułu, który częściowo przez autora nadsyłany, rósł do rozmiarów przekraczających granice pisma peryodycznego, tak, że wymagał usunięcia niepotrzebnych długich cytat angielskich, odebraliśmy obszerny do niego komentarz, który był przedmiotem korespondencyi niżéj podpisanego z prof. R., zamkniętéj obecném wyjaśnieniem. Z pomiędzy przykładów naszych „przeróbek przytaczamy z powodu ciasnych granic, jakie nam objętość pisma peryodycznego zakreśla, chociażby jednę. Prof. Raciborski napisał: „Skeptycyzm, polegający.... na „mniemaniu, że nie ma żadnego poznania, że każde zdanie jest zarówno jak i wykluczająco sprzeciwiające się mu (sein contradictorischer Gegentheil) dowodliwe lub niedowodliwe.“ Bibl. oddała to zdanie temi słowy (zesz. lipcowy str. 13): „Skeptycyzm, polegający... na mniemaniu, że nie ma żadnego poznania, że nie ma zdania, któreby nie było dowodliwém lub niedowodliwém na równi z tém, które mu się wprost sprzeciwia (sein contradictorischer Gegentheil).“ Redakcya nasza opierała się na téj uwadze, że Kremer nazywa słusznie *judicia contradictoria* = sprzecznemi; *judicia contraria* zaś przeciwnemi. Wysłowienie się p. R.: „wykluczająco sprzeciwiające się mu“ nie jest ani polskie ani dokładne, dla tego staraliśmy się wyrazić dokładniéj dany stosunek myśli.

Warszawa, dnia 25 Czerwca 1886 *J. K. Plebański*
Red. Bibl. Warsz.

Wydawca, **W. Spasowicz.** -- Redaktor, **Piotr Chmielowski,**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum"

w ciągu m. Maja i Czerwca 1886 r.

---

1. **O wrażeniach zmysłowych**, przez D-ra *Henryka Nussbauma*. Z licznemi drzeworytami w tekście. Warsz. nakł. księgar. A. Gruszeckiego, 1886. 8-o, str. 242 i jedna nlb.
2. **Slavische Geschichtsquellen zur Streitfrage ueber das Jus primae noctis**. Von Dr. *Karl Schmidt*, Oberlandesgerichtsrath, zu Colmar i E. (odbitka z „Zeitschrift der Hist. Gesellschaft f. d. Prov. Posen"). Posen, 1886, 8-o, str. 35. Cena marka 1,50.
3. **Woda Łódzka pod względem sanitarnym i technicznym**. Skreślili *A. Fuchs* i *B. Knichowiecki*. (Dodatek do „Dziennika Łódzkiego"). Łódź, 1886, 8-o, str. 34.
4. **O położeniu obecnem ubezpieczeń rolnych w Królestwie Polskiem** (wydawn. „Korespondenta Płockiego"). Płock, 1886, 8-o, str. 21.
5. **Dzieła** *J. Ursyna Niemcewicza*, tom V: Jan z Tęczyna (wydawnictwa Kazimierza Bartoszewicza t. XXI). Krak. nakł. K. Bartoszewicza, 1886, 8-o, str. 341.
6. **Korespondencya poufna ex-agenta dyplomatycznego z damą dworu i wyjątki z jej dziennika od r. 1813—1819**. Przez *R. Baudouin de Courtenay*. Krak. 1886, 8-o, str. 32 + III.
7. **Z okien wagonu**. Wrażenia z podróży po Skandynawii. Z notatek przepisał *Kazimierz Ostaszewski-Barański*. Nakł. księgar. J. Leona Pordesa. Lwów, 1886, 8-o, str. 193.
8. **Alfred Daniell. Zasady fizyki**. Podręcznik z 257 drzeworytami w tekście. Przełożył *J. J. Boguski*, zeszyt III (od str. 321 do 472). Warsz. nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1886, 8-o.
9. **Pamiętnik Akademii umiejętności w Krakowie**. Wydziały: filologiczny i historyczno-filozoficzny. Tom V, (z 2 tablic.) Krak. 1885, wielkie 4-to, str. 240.
10. **Akta historyczne do objaśnienia rzeczy polskich służące**, t. VIII: Prawa, przywileje i statuta miasta Krakowa (1507—1586) tom I, zeszyt II. Krak. 1885, 4-o, str. XXI i od str. 625 do 1204.
11. **Zbiór wiadomości do antropologii krajowej**, wydawany staraniem komisyi antropologicznej Akademii Umiejętności w Krakowie. T. IX. Krak. małe 4-o, 1885, str. 14 + 92 + 302 (z tablicą litogr.).
12. **Pamiętnik Akademii Umiejętności w Krakowie**. Wydział matematyczno-przyrodniczy. Tom X (z 14 litogr. tablic.) Krak. 1885, wielkie 4-o, str. 117 + 100. Tom XI (z 1 tabl. druk., 5 tabl. litogr. i 6 tabl. fotodrukowemi) str. 128 + 60.
13. **Rocznik filarecki**. Rok pierwszy. Krak. 1886, 8-o, str. 719.
14. *Michał Bałucki* **Sabina**. Powieść (Pisma Michała Bałuckiego, tom IV). Warsz. nakł. S. Lewentala, 1886, 8-o, str. 310.
15. **Kwiat szczęścia**. Powieść *Elżbiety Werner*, przekł. z niem. Antoniny Morżkowskiej. Warsz. nakł. S. Lewentala, 1886, 8-o, str. 244.

Дозволено Цензурою, Варшава 21 Іюня 1886 г.